

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

Ishbel Szatrawska.
Jak pisarka
dba o zdrowie
psychiczne ► 24



FOT. ADA KOPEĆ-PAWLIKOWSKA

Marian Banaś:
Ci ludzie
zakładają, że PiS
zaraz wróci do
władzy ► 7

Brytyjczycy
nam
zazdroszczą
► 21



**WYSOKIE
OBCASY**

**Nie potępiam
gwałciciela,
potępiam system**

MAGAZYN
wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Nie pracują,
nie studiują,
nie chcą się
wyprowadzić
► 4



Dorośle dzieci siedzą w domu

FOT. MONTAŻ: ŁUKASZ IRZYK, JAKUB PIOTROWSKI, FOT. SHUTTERSOTOK (2)

wyborcza
Wydawnictwo Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348398

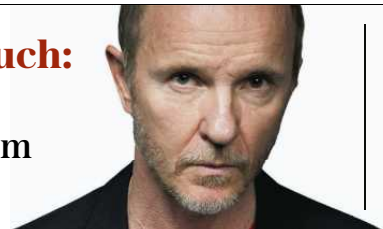


Czują się bogami
Co mówią w PiS
po miesiącu
z Nawrockim ► 3

**Byłam w niewoli
u Rosjan**
Pytali mnie
o Polaków ► 19

Jacek Borcuch:
Po rozwodzie
jestem lepszym
ojcem ► 33

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK



**Szlachta
nie pracuje,
chłop tyra?**
Bzdura ► 40

Agnieszka
KublikFejki mają więcej żyć
niż koty

Gdy nieprawdziwa informacja zostanie sprostowana, powinna umrzeć, prawda? Nic z tego. W dzisiejszych czasach jest pewne, że będzie miała długie, intensywne i barwne życie. Falszywa informacja, że Joanna Dunikowska-Paź zapytała Władysława Kosiniaka-Kamysza o prezydenta, używając inicjałów „KN”, rozeszła się na X wśród ponad 8 milionów użytkowników.

Pytała w ten niezbyt elegancki sposób dziennikarka TVN24, ale stacja się nie przyznała. Sprostowania TVP Info i samej prezenterki „19:30”, flagowego serwisu informacyjnego telewizji publicznej, nie zatamowała ścieku. Jak sprawdził Instytut Monitorowania Mediów, od podania nazwiska Dunikowskiej-Paź do odwołania tej informacji minęło 40 minut, a wiadomość żyła przez kolejne kilkanaście godzin, wywołując falę hejtu na dziennikarkę.

Niechlubną rolę odegrała Marzena Paczuska, dziś w KRRiT, wcześniej szefowa „Wiadomości” w TVP Jacka Kurskiego, uwiarygodniając fałszywe informacje. Niestety, Paczuska nie czuje, co zrobiła, bo

obwinia o powstanie fałszywej informacji... ofiarę.

W mig rozeszło się też – i wygenerowało mit, który pokutuje we wpisach alt-rightowców i rosyjskich trolli – fałszywe zdjęcie, na którym europejscy przywódcy siedzieli na krzesłkach na korytarzu, czekając, aż Trump ich wezwie do Gabi-

netu Owalnego. Choć trudno pojąć, jak można było w nie uwierzyć, skoro Macron ma 4 nogi, w tym dwie w szpilkach, rozsyłali je nie tylko politycy, ale i – krytyczni przecież z założenia – dziennikarze.

Albo najnowszy przykład: zdjęcie i nagranie, jak wieniec podczas obchodów rocznicy 1 września 1939 w Berlinie składa pracownik zieleni miejskiej. Przygotowania obchodów TV Republika pokazała jako samą uroczystość. Zafalszowany kadr przesyłali posłowie i urzędnicy poprzedniej władzy. Sprostowanie MSZ na nic się zdało, fejk niesie się po serwisach społecznościowych.

Wierzą w te fałszywe fotki ci, którym pasują do ich wizji świata. I do kwestii tak fundamentalnych, jak to, kogo nienawidzić – tu każde świństwo jest z automatu wiarygodne – i kogo wielbić; tu każde, choćby rutynowe działanie staje się sukcesem godnym pochwały.

Tylko patrzeć, jak ktoś się zabawi i przygotuje fałszywe nagranie, jak Nawrocki, czekając na Trumpa, mówi do kamery TV Republika, że dziękuje Panu Bogu i Najświętszej Pani, że może uściskać pomazańca Bożego. Albo jak Trump po spotkaniu z Nawrockim mówi do kamer Fox News i Republiki, że po raz pierwszy spotkał się z prezydentem, z którym tak wspaniale gawędziło mu się o kociakach.

Uważajcie, bo wasi widzowie też to lykną bez mrugnięcia. Z satysfakcją zaczną rozsyłać fałszywkę potwierdzającą ich ogląd świata. I fejk poniesie się po sieci jak pożar stepu. ●

Rzym
Make Vatican Great Again

FOT. REUTERS/VATICAN MEDIA

Plac Świętego Piotra, Leon XIV przybywa na audiencję generalną. Trump byłby zachwycony – nie dość, że papież z Ameryki i do tego, choć krytyczny wobec upolitycznienia chrześcijaństwa, mniej postępowy w kwestiach obyczajowych niż Franciszek, to jeszcze wierny amerykańskiej symbolice. Byłby, ale nie będzie, gdy przyjrzy się zdęciu – bo amerykański papież dośiada nie Harley-Davidsona czy Indian, tylko niemieckie BMW.

Kod dostępu
do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju
i ze świata
czytaj teraz na
wyborcza.pl

**UŻYJ
BEZPŁATNEGO KODU**
i bądź na bieżąco
przez cały weekend*

VH6J29K

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostęp do serwisu w dniach 6-7.09.2025 r.

Taylor Swift i Travis Kelce?
Kto jest najgorętszą parą Ameryki

Odpowiedzcie, że to: gwiazda pop Taylor Swift i Travis Kelce, gwiazda futbolu amerykańskiego. Niedawno ogłosili zaręczyny, co w serwisach społecznościowych przyjęto z prawdziwą histerią.

Tak, to najsłynniejsza para celebrytów w USA - w dziale „entertainment”. A w sporcie? Ciekawe, że tu też musimy wymienić Trávisa. Jest graczem NFL, a futbol amerykański to największa namiętność kibiców za oceanem – koszykarska liga NBA czy hokejowa NHL mogą się schować.

Kelce gra na pozycji tight enda. To pozycja „hybrydowa” – tight endzi mogą pomagać linii ofensywnej w blokowaniu graczy przeciwnika, albo łapać podania od rozgrywającego, quarterbacka.

Kelce nie jest byle jakim tight endem, bo jednym z dwóch (obok Roba Gronkowskiego) najlepszych w całej historii zawodowej ligi NFL. Gra w Kansas City Chiefs. Podania rzuca mu quarterback Patrick Mahomes, uznawany z kolei za największą obecną gwiazdę NFL. Pano wie na boisku świetnie się rozumieją,



FOT. REUTERS/CARLOS BARRIA

Kelce jest ulubionym „celem” Mahomesa w najtrudniejszych momentach meczów. Razem wygrali już trzy tytuły mistrzowskie. A poza boiskiem są przyjaciółmi Kelce był świadkiem na ślubie Mahomesa, który nazywa go „bratem”. A Taylor Swift zaprzyjaźniła się z Brittaney, żoną Mahomesa. Cała czwórka jest widziana razem na trybunach wielkich koncertów czy wydarzeń sportowych.

Teraz Patrick i Travis wracają na boisko. W weekend rozpoczyna się nowy sezon NFL. Kansas City Chiefs pierwszy mecz grają w nocy z piątku na sobotę. ●
Maciej Drzewicki

Andrzej rysuje



Cytat dnia



Jeżeli w kosmosie już na początku zaczniemy ignorować takie rzeczy, jak prawa reprodukcyjne, mniejszości czy prawo pracy, stworzymy rzeczywistość, od której nie będzie odwrotu – Konrad Szocik, bioetyk, autor „Science” więcej ► Wyborcza.pl/nauka

Liczba dnia

86
TYSIĘCY



samozatrudnionych, przybyło w ciągu roku. To wzrost aż o 23,3 proc. Powód – optymalizacja podatkowa. Ale tym razem nie menedżerów czy topowych informatyków. W fikcyjną przedsiębiorczość uciekają średniacy dotknięci brackiem creep, czyli nienadążaniem fiskusa za wartością pieniądza. Napędzana inflacją podwyżka wynagrodzeń sprawia, że szybciej przekraczamy drugi próg podatkowy. Pensje i tak nie nadążają za kosztami życia, ale ktoś, kto zarabiał 10 tys. zł, a teraz zarabia 11,5, wcześniej osiąga progowe 120 tys. więcej ► Wyborcza.biz

FOT. SHUTTERSTOCK

Co ujawniła Rada Gabinetowa i spotkanie z Trumpem

Wielki powrót Tuska. Ale na jak długo?

KO nie jest przyzwyczajona do roboty. A przecież rachunki za energię elektryczną, obrona rolnictwa i inne pomysły prezydenta to nie są sprawy, których rząd nie mógłby sam wymyślić – śmieją się w PiS

Gruszczyński



Politycy PiS przyznają, że Rada Gabinetowa była porażką Karola Nawrockiego. – Ale zmartwię pana: w ogóle nas to nie zniechęca – mówi jeden z posłów.

– Za bardzo wasza strona się podnieca jednym wystąpieniem Tuska, który na terenie Karola powtórzył to, co mówi codziennie, a więc nie za wiele – słyszę od posła, kiedy zwracam mu uwagę, że Radę wygrał premier. Ze spokojem i merytorycznie odpowiedział na większość zarzutów prezydenta.

A Nawrocki nie mógł się powstrzymać i arogancko kazał ministrom przedstawiać się, zanim zabiorą głos, bo nie wszystkich zdążył poznać, nazwał Adama Szlapkę „sympatycznym panem rzecznikiem” i obiecał, że może w każdej chwili przesłać Koalicji 15 Października ich obietnice wyborcze.

Wyszło, jak wyszło: Nawrocki był narwanym nastolatkiem, który nie przygotował się do klasówki, a Tusk poważnym i odpowiedzialnym starszym kolegą, który może nie jest prymusem, ale kiedy trzeba, to potrafi zaważyć o swoje. Rada Gabinetowa, która – jak słyszę od ważnego polityka PiS – „miała być elementem większej strategii na walkę z rządem”, dała tlen rządowi i przywróciła Tuskowi władzę.

Nie jest tajemnicą, że po wyborach prezydenckich koalicja rządząca przeżywała ciężkie chwile. Część posłów oskarżała Tuska, że nie kontaktuje się z zapleczem, za bardzo ufa współpracownikom, zamyka się na pomysły i nie ma serca do bieżącej administracji państwem.

Szybko okazało się też, że premier nie ma żadnego pomysłu na Nawrockiego: kto w obozie władzy przypuszczał, że Rafał Trzaskowski przegra wybory. Rząd był gotowy na pracę ze sprzyjającym prezydentem.

Lider obozu władzy zapowiedział nowe otwarcie, zwrócił się do Sejmu o wotum zaufania, otrzymał je, ale zamiast opowiadać o urzędzie o planach na najbliższe dwa lata, wracał cały czas do epoki PiS. Faktycznie ludzie szybko zapominają o złodziejstwie z lat 2015-23, ale jednocześnie oczekują rozwoju, zahamowania rosnących kosztów życia i jasnej odpowiedzi, kiedy poprawi się opieka zdrowia, szkolnictwo, spadnie inflacja.

Ani powołanie rzecznika, ani rekonstrukcja nie dała rządowi nowego napędu. Wymiana Adama Bodnara na Waldemara Żurka czy Hanny Wróblewskiej na Martę Cienkowską zainteresowała dobrze zorientowaną część społeczeństwa. Nadal nikt do końca nie wiedział, po co ten rząd rządzi i jaki ma plan. Z nie do końca wiadomych powodów rząd wciąż nie stosuje wszystkich dostępnych narzędzi

do komunikacji z ludźmi. Nie ma błyskotliwych kampanii społecznych, ministrowie wrzucają na Instagrama filmiki, których głównymi bohaterami są oni sami, nie wykorzystuje się reklam na YouTube czy przed najważniejszymi serwisami informacyjnymi w tradycyjnych telewizjach. Słyszałem, że niektórzy eksperci zatrudnieni przez rząd chcieli zamawiać gry edukacyjne dla dzieci i nie mieli na myśli aplikacji, tylko zwykłe, kartonowe planszówki. Widziałem też posłanki, które z dumą pokazywały mi filmiki, na których z koleżankami stały na ulicy i wspólnie coś krzyczały, ale nie miały podpiętych mikrofonów.

A w tym czasie nowy prezydent wygłosił konfrontacyjne orędzie, w którym zapowiedział ostrą walkę z rządem, zawetował kilka projektów ustaw, wcisnął się na telefoniczną rozmowę z Trumpem i europejskimi przywódcami, odwiedził kilka mniejszych miast i wysłał do Sejmu własne projekty ustaw.

Ale coś się zaczęło zmieniać właśnie przy okazji rozmowy z Trumpem, kiedy okazało się, że Nawrocki jest za krótki i nie otrzymał zaproszenia na osobiste spotkanie z prezydentem USA i najważniejszymi politykami z Europy. Tusk skomentował to jednym zdaniem: pierwsze koty za płoty.

Potem było coraz gorzej. Otoczenie Nawrockiego przekonywało prezydenta, że premier jest w słabej kondycji fizycznej i psychicznej, tę narrację podbiły prawnicze media, więc Pałac Prezydencki uwierzył we własny geniusz. No i w trakcie Rady Gabinetowej to Nawrocki okazał się nieprzygotowanym do rządzenia politykiem, którego Tusk w kilku zdaniach ustawił do pionu. Rada była wielkim powrotem premiera.

– Trudno się z panem nie zgodzić: Rada nie była sukcesem, na pewno Kancelaria Prezydenta powinna przemyśleć jej formułę – mówi mi jeden z posłów PiS, który odparował na wstęp Karola Nawrockiego, do stał po prostu większe pole manewru.

Inni polityk z jądra ugrupowania Kaczyńskiego przypomina spotkania Tuska z prezydentem Dudą. – Premier obrażał Andrzeja, a ten stał i się uśmiechał. I w ogóle nie odpowiadał na słowa Tuska. Nawrocki jest inny: nie odstawia nogi nie tylko, jeśli chodzi o to, co opowiada premier, ale też, jeśli chodzi o wetowanie projektów ustaw i kontakty z rządem.

Biorę pod lupę Radę Gabinetową, ponieważ była pierwszym realnym starciem liderów, a także odmiennych wizji świata. Ale to tylko jeden z elementów nowego sezonu politycznego, który rozpoczął się z zaprzysiężeniem Nawrockiego. To nie tylko siedem zawetowanych ustaw, ale też niespotykana aktywność prezydenta, który w miesiąc zrobił więcej niż Andrzej Duda w ostatni rok prezydentury.

Temu wszystkiemu przyglądają się posłowie PiS. Na mieście już zaczyna się mówić, że współpracownicy Nawrockiego czują się jak bogowie, którzy mogą dyktować nowe osie konfliktów politycznych. Słyszę też, że Zbigniew Bogucki, czyli szef

Kancelarii Prezydenta, dorobił się przezwiska: niektórzy nazywają go wiceprezydentem, choć tak naprawdę tę funkcję pełni Paweł Szefernaker, szef gabinetu prezydenta. Więc pytam moich rozmówców wprost: a co na to wszystko Kaczyński? Czy to możliwe, że budowa silnego ośrodka polityczna w Pałacu Prezydenckim podoba mu się?

– Nie sądzę, żeby prezes to zatrzymał, przecież to się nam oplaca: partia jest zmobilizowana, chce nam się pracować, mamy punkt odniesienia. Może niektóre weta nie były konsultowane z Nowogrodzką, ale nowy prezydent musiał przeanalizować ponad 30 ustaw w bardzo krótkim czasie. No i przecież PiS popiera decyzje Nawrockiego – słyszę w sejmowym korytarzu. – Powiem panu jedno: nigdy nie widziałem, aby tak wielu polityków, działaczy społecznych i naukowców chciało współpracować z prezydentem. Wiem, że do Kancelarii Prezydenta i osobiście do Nawrockiego zgłaszają się tłumy ludzi – opowiada były minister, współpracownik Mateusza Morawieckiego. I dodaje, że wielu z posłów marzyło o pracy z Nawrockim. – Każdy się tam pchał, no ale wiadomo, że w Sejmie też jesteśmy potrzebni.

Na mieście już zaczyna się mówić, że współpracownicy Nawrockiego czują się jak bogowie, którzy mogą dyktować nowe osie konfliktów politycznych

Ten sam polityk twierdzi, że PiS jest przekonane co do jednego: Tusk nie ma pomysłu na Nawrockiego, nie spodziewał się, że prezydent będzie co dwa dni ogłaszał nowe decyzje. – I ja to jakoś rozumiem, ponieważ KO nie jest przyzwyczajona do roboty – śmieje się poseł. – A proszę popatrzeć: wszystkie pomysły Nawrockiego są zakorzenione w społecznych oczekiwaniach. Rachunki za energię elektryczną, obrona rolnictwa... to nie są sprawy, których rząd nie mógłby sam wymyślić – ironizuje mój rozmówca.

Pytam więc posła i byłego ministra, po co otoczenie Nawrockiego zorganizowało Radę Gabinetową, skoro cały polityczny światek doskonale wie, że takie publiczne debaty są dla Tuska wymarzoną areną. – Trzeba próbować różnych rzeczy: raz na trzy razy coś nie uda, to jest wpisane w naturę robienia polityki – odpowiada.

Tym przemyśleniem już się z moimi rozmówcami nie dzielę, ale czy nie za bardzo popadają w tryumfalizm? Bo na malowanym przez nich obrazku pojawiają się pierwsze rysy.

Tuż po zaprzysiężeniu Nawrocki zapowiedział, że będzie regularnie odwiedzał polskie miasta i miasteczka. Skończyło się na trzech wizytach. W kalendarzu prezydenta w najbliższym czasie nie ma za-

planowanych z wyborcami z mniejszych miejscowości.

Zapatrzenie ludzi PiS w Nawrockiego i entuzjazm na Nowogrodzkiej nie potrwają długo, gdyż do Kancelarii Prezydenta nie weszli żadni przedstawiciele frakcji Zbigniewa Ziobry. – Bo się tam nie pchaliśmy za bardzo. Jesteśmy jednak w stałym kontakcie z otoczeniem prezydenta, mamy zaplanowane jakieś spotkania – zapewnia poseł z kręgu byłego ministra sprawiedliwości.

Lecz nie wytrzymuje: – Ale między nami mogą panu powiedzieć, że nie wiadomo, jaka to będzie prezydentura. Lepiej przyglądać się nieco z boku, obserwować rozwój wypadków.

Zagadką pozostaje też udział Nawrockiego w rozpoczynającej się – formalnie, bo w istocie już rozkręconej – kampanii wyborczej do Sejmu i Senatu. Według „Polityki” prezydent ma wziąć udział nie tylko w jej inauguracji, ale też przylączyć się do prac nad programem PiS, które niebawem ruszą.

Ale na Nowogrodzkiej wciąż dominują uśmiechy satysfakcji i optymizm. Bo choć Nawrocki stracił w pierwszym bezpośrednim starciu z Tuskiem, odrobił - ich zdaniem - z pomocą Trumpa. I dlatego, że wizyta takiej rangi zawsze buduje polityka w oczach obywateli, i dlatego, że obyło się bez niezgrabności czy wpadek wizerunkowych.

Wizyta w Białym Domu - mimo ostentacyjnej niechęci kancelarii nowego prezydenta do reguł dyplomacji - przebiegła w spokojnej, nawet może nieco nudnawej i przewidywalnej atmosferze. Donald Trump stwierdził, że „nie popiera byle kogo” i cieszy się z popularności Nawrockiego. I wygłosił tyradę przeciwko Bidenowi, co niby nikogo już nie wprawia w niedowierzanie, bo stało się tradycją, ale jakoś zawsze wpędza jego gości w odrętwienie.

Lecz ważniejsze od tego wszystkiego była deklaracja prezydenta USA o żołnierzach, którzy zostaną w Polsce i o obronie naszego kraju w przypadku wojny. Cele polskiej dyplomacji zostały więc osiągnięte, mimo wcześniejszej szarży Marcina Przydacza, odpowiedzialnego za sprawy międzynarodowe w Pałacu Prezydenckim, który wyśmiewał publicznie stanowisko rządu, o którego powtórzenie proszono Nawrockiego.

Z tego też w PiS są zadowoleni: Kaczyński dalej stawia na polaryzację, ale akurat w polityce zagranicznej, zwłaszcza w relacjach z Ameryką, Polacy i o odbierają przepychanki. Czasem więc dobrze zademonstrować, że dla dobra kraju jest się zdolnym wzniesć ponad podziały.

Taka kalkulacja brzmi cynicznie, ale jako obywatele powinniśmy się cieszyć, zwłaszcza po katastrofalnych antyukraińskich wetach Nawrockiego: mniej o motywacje, gdy dowiadujemy się, że w sprawach fundamentalnych koniec końców i tak oba obozy polityczne mówią tym samym językiem polskich interesów.

Po miesiącu z nowym prezydentem i entuzjaci, i nieliczni na razie sceptycy w jego obozie są zgodni co do jednego. Od jednych i drugich w PiS słyszę: – Prezydent wierzy, że może wszystko. ●

Arkadiusz Gruszczyński



Pokolenie *ani-ani*

Ojciec mówi do syna: „Idź do roboty”, a syn odpowiada: „Niby dlaczego?”

Krystyna Romanowska

Jadę taksówką, zagadujemy z kierowcą o pracy.
– Może pani mi coś poradzi, skoro psychologia to pani działka – mówi kierowca. – Mam dwóch synów. Ze starszym, prawie trzydziestoletnim, nie rozmawiam od zeszłych świąt. Nie chce się wyprowadzić, nie dokłada się do czynszu, pracuje tylko dorywczo. Dziewczyna u niego bywa, mogliby razem coś wynająć, ale nie. Ani nie sprząta, ani nie robi zakupów. Ostatnio stwierdził, że to nasza wina, bo nie kupiliśmy mu mieszkania.
– A młodszy? – pytam.
– Już zapowiedział, że po maturze zostaje z nami. Studia go nie interesują, praca też nie. I wie pani... ja ich z domu nie wyrzucę. Ale nikt mi nie powie, że to normalne.
Gdzie skończyło się normalne i zaczęło „nie-normalne”? Dlaczego taksówkarz nie może powiedzieć

synom: „Taka jest kolej rzeczy, że młodzi mężczyźni wyprowadzają się z domu na swoje?”

„Normalne” się skończyło

– „Normalne” skończyło się, gdy zaczęła działać teoria krytyczna – czyli ten cały nurt, który od pół wieku uczy nas rozbiierać na części reguły i autorytety. Zamiast przyjąć, że istnieje pewien środek ciężkości, z którego wypływają zasady – rodzina, ojciec, religia, prawo – zaczęliśmy to podważać: „A może to przemoc, może kaprys, ukryty interes?”. I w ten sposób rozmontowaliśmy wszystko – uważa Wojciech Kruczyński, psycholog.

Kontynuuje: – Efekt jest taki, że dziś ojciec mówi do syna: „Idź do roboty”, a syn odpowiada: „A niby dlaczego?”. I to nie jest bunt wobec jednego zdania ojca, tylko efekt całego procesu, w którym każda reguła jest traktowana jak podejrzana.

Dziecko nie rozumie rodzica, rodzic nie rozumie dziecka – bo nie ma już wspólnego punktu odniesienia. I dlatego taksówkarz nie może powiedzieć synom: „Ta-

ka jest kolej rzeczy”. Bo ta „kolej rzeczy” została w całości wrzucona w ogień teorii krytycznej i zrelatywizowana.

Zostało tylko to, co czuję. A uczucie – jak się dziś potwarza – jest realne, ważniejsze niż reguła. Więc młody mówi: „Czuję, że nie chcę się wyprowadzać, bo źle na mnie działa” – i tyle.

Dlaczego nie chce się wyprowadzić z dziewczyną na swoje? Od zawsze było to marzenie młodych ludzi: seks i wolność bez wścibskich oczu starych.

Kruczyński: – Taki chłopak wie, że wtedy wejdą w grę reguły – odpowiedzialność, zasady, dzielenie kosztów. Woli mieć i dziewczynę, i rodziców naraz, bez konieczności przechodzenia w dorosłość. To znaczy, że nie rozwiązał edypalnego kryzysu – nie zrezygnował z matki i ojca, by w pełni wejść w związek z kimś innym. To właśnie unikanie punktu granicznego, który zobowiązuje.

Dr Katarzyna Szumlewicz, pedagogka i filozofka z Uniwersytetu Warszawskiego, nie zgadza się z poglądem, że źródłem problemu bierności zawodowej jest teoria krytyczna i jej podważanie tradycyjnych wartości.

– To nie dekonstrukcja idei doprowadziła do sytuacji, w której część osób nie chce podejmować pracy. Chodzi o przemiany obyczajowe i kulturowe – dawniej praca sama w sobie była traktowana jako wartość i sens życia, dziś coraz częściej liczy się pieniądź, a jeśli perspektywa zarobku nie jest satysfakcjonująca, wielu ludzi rezygnuje – uważa.

– Dawniej mężczyzna mógł budować tożsamość na byciu pracującym i zarabiającym. Dziś ten obowiązek osłabił, a praca stała się mało satysfakcjonującą koniecznością. Skoro i tak wielu młodych ma poczucie, że nie zarabia dużych pieniędzy, wybierają stagnację. Bezczytność mężczyzn to problem szczególnie niepokojący, bo bardzo szybko prowadzi do izolacji i braku perspektyw.

NIT, NEET, czyli „ani-ani”

NIT po polsku (NEET – po angielsku) to sztuczna statystyczna kategoria. Wymyślono ją na określenie młodych osób nieuczących się i niepracujących (not in education, employment or training). To synowie taksówkarza.

Zaczęto o nich pisać jakieś 15 lat temu jako o „pokoleniu ani-ani”. Dziś mają już nową nazwę – są NITS-ami/NEET-sami. Z ostatniego raportu OECD „Education at a Glance 2024 – Poland” wynika, że nie jest tak źle – odsetek młodych ludzi (18-24 lata) w Polsce, którzy nie pracują ani się nie uczą, spadł z 18 procent w 2016 roku do 11,4 procentu w roku 2023.

– Polska na tle innych krajów europejskich wypada trochę lepiej niż średnia unijna. Lepsze wyniki osiągają kraje skandynawskie – tam przejście z edukacji na rynek pracy jest bardziej płynne. Gorzej radzą sobie kraje południa, jak Włochy, Grecja czy Rumunia i Bułgaria – mówi Mateusz Smoter, analityk z Instytutu Badań Strukturalnych, autor i współautor analiz tego zjawiska.

Przy okazji zżyma się na media, które wybierają na bohaterów reportaży o NIT-ach młodych mężczyzn tkwiących przed komputerami, tracącymi czas na myślenie o bogactwie, które jest na wyciągnięcie ręki.

– Do jednego worka wrzucamy tu: młodych rodziców, osoby z niepełnosprawnościami, ludzi faktycznie zniechęconych, którzy najczęściej stają się twarzą tej grupy w mediach, a w rzeczywistości stanowią mniejszość. Ta różnorodność jest kluczowa – różne przyczyny oznaczają zupełnie odmienne potrzeby i wymagają innych działań – podkreśla Mateusz Smoter.

Barbara Kwapiszewska, dyrektorka Wojewódzkiego Urzędu Pracy w Poznaniu, ma najświeższe dane ze swojego podwórka, które zmniejszają optymizm wyników OECD: – W Wielkopolsce aż 9,5 procent młodych, 15-34 lata to osoby z grupy NIT. Tylko w ciągu kilku miesięcy – od grudnia 2024 do lipca 2025 – liczba bezrobotnych wzrosła z 46,6 tysiąca do ponad 51 tysięcy, w tym młodych do 30. roku życia z 12,3 do 13,2 tysiąca – szacuje.

Ale trochę trudno się dziwić mediom, że koncentrują się na młodych mężczyznach. To jeden z unikalnych etapów w historii naszej cywilizacji, w którym – bardzo często – oni sami z wyboru wolą stagnację niż podbój świata i mieszkanie z rodzicami zamiast seksu z partnerką.

– Trzeba ostrożnie interpretować podgrupę „z wyboru”: młodych mężczyzn, którzy wydają się rezygnować z aktywności, wybierając życie przed komputerem czy w domu. Niektórzy z tych mężczyzn mogą mieć faktyczne trudności psychologiczne czy poczucie braku sensu pracy – i tu rzeczywiście potrzebne są działania motywacyjne, psychologiczne – mówi Smoter.

NIT w co trzecim domu

Kamil z małej miejscowości w województwie lubelskim, od kiedy skończył 15 lat, wiedział, że nie pójdzie do pracy i nie wyprowadzi się z domu. Wtedy żartował, że będzie „siedział matce i ojcu na głowie”, dwa lata później – że zostanie youtuberem, i cztery lata później słowa dotrzymał. Wprawdzie nie został youtuberem, ale nie zdał matury i siedzi w domu.

– Rodzice pytają mnie: „Dlaczego nie pójdziesz do pracy?”. Odpowiadam im, że praca, którą mi proponują, nie jest żadną drogą do dorosłości, tylko formą przymusu. Za minimalną stawkę mam stać przy kasie albo nosić paczki w magazynie. To nie jest rozwój, to tresura. Oni się martwią, wiem. Ale martwi ich to, że nie wpisuję się w schemat szkoła – praca – kredyt. A ja widzę, że ten schemat jest klątką. Odmowa pracy może być gestem wolności – uważa Kamil.

Mateusz Smoter: – Badania pokazują, iż NIT-si częściej niż inni młodzi ludzie mieszkają na terenach wiejskich i małomiasteczkowych, gdzie dostęp do dobrych ofert pracy czy szkoleń jest ograniczony. To także czynniki strukturalne, a nie tylko indywidualne „zniechęcenie”.

Kamil dużo czasu spędza na forach dla NIT-ów, bo – co jak co – ale życie w sieci tacy młodzi ludzie prowadzą bardzo aktywne.

– Urzędnik w urzędzie pracy pyta mnie, czemu odrzucam oferty. Mówię: „Bo to oferty zlej jakości”. Oni chcą, żebym w formularzu był NIT-em, ale nie rozumieją, że to ja stawiam pytanie: Dlaczego nie ma ofert, które byłyby warte mojego wysiłku? Dlaczego moje życie ma być wcisnięte w rubrykę?

To nie ja jestem problemem – mówi Kamil. – Problemem jest rynek, który nie ma nic sensownego do zaproponowania. Rodzina często zarzuca mi lenistwo. Ale lenistwo wobec czego? Wobec normy, która każe codziennie wstawać o szóstej i spędzać osiem godzin na czynnościach, które mnie niszczą? Jeśli odpoczywam, czytam, myślę, gram – to nie jest bezczynność. To inny sposób bycia, którego system nie potrafi uznać. Dla mnie bycie NIT-em to wybór i krytyka – Kamil lubi grę słowami. – Wpisują mnie w rubrykę NIT, a ja mówię: właśnie jako NI(K)T mogę pokazać, że człowiek nie jest tylko narzędziem pracy.

W jednym z powiatów północno-wschodniej Polski NIT-ów jest coraz więcej, mieszkają pewnie w co piątym domu. Justyna, pracowniczka tamtejszego urzędu pracy, słowo „NIT” wpisuje od 11 lat zgodnie z założeniami unijnego programu „Gwarancji dla młodzieży”. I wzdycha nad nowymi zmianami.

Oficjalnie nowa Ustawa o rynku pracy i służbach zatrudnienia z 20 marca 2025 roku ma być przełomem: poszerza katalog osób objętych wsparciem o biernych zawodowo, czyli także młodych z grupy NEET/NIT, wprowadza platformę ePraca z bazą CV i systemem dopasowywania ofert, a także nowe narzędzia – bony edukacyjne, dofinansowania szkoleń czy pożyczki na podnoszenie kwalifikacji.

Justyna zderza te przepisy z rzeczywistością: – Ta ustawa, choć w zamierzeniu ma aktywizować najmłodszych niepracujących, w praktyce związała nam ręce. Bezrobotny jest teraz świętą krową – może odmawiać

Diagnoza jakiegoś zaburzenia staje się atrakcyjna, bo jest najprostszym wyjściem z ucieczki od dorosłości

i nic nie robić, a my i tak musimy go prowadzić w systemie. Kiedyś groźba wykreślenia z ewidencji działała, ludzie bali się utraty ubezpieczenia. Teraz tego bata nie ma.

W programie „Gwarancje dla młodzieży” i w naszej ustawie mamy obowiązek jako urząd w ciągu czterech miesięcy od rejestracji zaproponować ofertę dobrej jakości. Dobrej jakości, wie pani? To po prostu my tu parskamy śmiechem, bo w Warszawie, w Białymstoku, w Gdańsku, w Szczecinie oni mogą sobie przebierać, bo jest multum fabryk, urzędów, szkół, czegokolwiek. A tutaj – co to znaczy dobra jakość? U nas większość to są jednoosobowe działalności gospodarcze, które same ledwo przetrwają.

W Poznaniu jest inaczej. Jak zapewnia Barbara Kwapiszewska, młodzież nie stoi w miejscu – korzysta ze staży, szkoleń czy dotacji.

– W 2024 roku mieliśmy 3,7 tysiąca staży, blisko 1,7 tysiąca szkoleń i ponad 1,6 tysiąca dotacji na biznes. W pierwszych siedmiu miesiącach 2025 roku to już kolejne tysiące osób, które zdobywają doświadczenie i startują z własną działalnością.

Szczególnie cieszy nas efekt projektu „Rzemieślnik plus” – 9 z 10 uczestników wyszło z grupy NEET. To dowód na to, że jeśli młodym da się realną szansę, indywidualne wsparcie i praktyczne umiejętności – potrafią świetnie odnaleźć się na rynku pracy – mówi.

Dzień NIT-a:

Mazowieckie Obserwatorium Rynku Pracy zdecydowało się zbadać, jak wygląda typowy dzień NIT-a.

10.30 – pobudka. Większość NIT-ów nie wstaje wcześniej, bo nie ma szkoły ani pracy (aż 70 proc. ma co najwyżej średnie wykształcenie, więc obowiązków edukacyjnych brak).

11.00 – telefon w dłoń. Social media, YouTube, scrollowanie – to codzienność dla ponad 60 proc. tej grupy.

13.00 – coś do jedzenia, może pomoc w domu.

Okolo 20-25 proc. pomaga rodzinie w obowiązkach – zakupy, opieka nad młodszym rodzeństwem albo prace domowe.

15.00 – dorywcza fucha albo nuda. Aż 90 proc. NIT-ów, jeśli w ogóle pracuje, to tylko krótko i na śmieciówkach – proste prace, często niskopłatne.

19.00 – spotkanie ze znajomymi albo znowu internet. To główny sposób spędzania czasu wolnego – kontakty towarzyskie i online dominują nad nauką czy rozwojem.

22.00 – chill, serial, gry. Poszukiwanie pracy?

Kursy? Mniej niż 15 proc. w ogóle się do tego zabiera, więc dzień kończy się podobnie, jak się zaczął – bez planów na jutro.

32-letni Łukasz z Wrocławia ma fobię społeczną, więc boi się jeździć środkami komunikacji miejskiej – z tego powodu jeździł taksówkami na uczelnię. Wprawdzie skończył informatykę, ale od zakończenia studiów nie pracował. Mieszka tylko z babcią, rodzice pracują za granicą. Oficjalnie zajmuje się babcią, nieoficjalnie babcia sobie radzi.

– U mnie to wygląda tak: budzę się około 11, pracy dorywczej nie mam, moja „roboata” to kawa i włączenie kompa. 13.00 – obowiązki domowe. Podobno część NIT-ów pomaga rodzinie. Ja robię zakupy babci, ale to raczej wyjątkowa akcja, a nie codzienny punkt programu. 15.00 – internet. Tu się zgadza. Tylko raport mówi „scrollowanie”. A ja zamiast TikToka wolę kod. Siedzę w projektach, dłubię w apkach, ale ich nie monetyzuję – może kiedyś?

Kiedyś otwierałem zakładki z ofertami pracy, ale rozwalalo mnie: „minimum dwa lata doświadczenia”. Jak mam mieć doświadczenie, skoro nikt mnie nie zatrudni? 19.00 – spotkania ze znajomymi? U mnie raczej gry. Fobia społeczna i spotkania? To nie ta bajka.

23.00 – wieczór. Tylko że u mnie to się przeciąga do drugiej, trzeciej w nocy. Głównie więc komputer, nocny tryb życia i ciągle kombinowanie, jak się nie zderzyć z ludźmi. Raport tego nie pokaże – mówi Łukasz.

Odraczanie dorosłości czy wieczne dzieciństwo?

Psychologowie mówią, że zjawisko NIT-ów to „odroczone dorosłość”. Ekonomisci widzą w tym zagrożenie dla rynku pracy i systemu emerytalnego, a socjologowie – znak przemiany wzorców życiowych i wydłużania młodości.

Postać niepracującego żyjącego na koszt rodziców nie jest zresztą nowością. Ilja Oblomow, córki Goriot, bracia Karamazow, współczesny bohater filmu „Failure to Launch” czy rodzina z „Parasite” – wszyscy oni uosabiają dorosłość zatrzymaną w pół kroku.

W ich historii powtarza się motyw bierności, zależności od rodziny i życia na kredyt cudzej energii. Z perspektywy kultury widać więc jedno: postać „wiecznego dziecka” powraca jak refren – tylko dziś zamiast literackiej metafory mamy twarde dane i realne wyzwania społeczne.

Ale problem się zmedykalizował. Wśród mężczyzn, którzy nie pracują ani się nie uczą, coraz częściej główną przyczyną bierności zawodowej okazują się problemy zdrowotne, a w szczególności zaburzenia psychiczne.

Amerykańskie dane (m.in. Alana B. Kruegera z Princeton University) pokazują, że niemal połowa mężczyzn w wieku produkcyjnym, pozostających poza rynkiem pracy, każdego dnia sięga po środki przeciwbólowe, z czego w dwóch trzecich przypadków są to leki przepisywane na receptę.

W raporcie Youth Futures Foundation (YFF) w Wielkiej Brytanii z 2024 roku czytamy, że aż jeden na czterech młodych NIT-ów wskazał zdrowie psychiczne jako główną barierę uniemożliwiającą podjęcie pracy, a 21 procent wszystkich ankietowanych młodych ludzi zadeklarowało pogorszenie kondycji psychicznej w ostatnim roku.

Wojciech Kruczyński nie jest zdziwiony tymi liczbami. – To efekt prymatu uczuć nad codziennością. Zamiast uczyć się dźwigać trud, młodzi dostają sygnał, że

każde napięcie to powód do tego, by się wycofać. Wtedy ból wydaje się nie do zniesienia, a lęk – nie do udźwignięcia, więc łatwo sięga się po tabletki.

Psychologowie, często niechęć, wzmacniają to przekonanie, że najważniejsze jest to, co czujesz. Problem w tym, że człowiek odciepy od wysiłku i frustracji nie rozwija odporności, tylko staje się coraz bardziej kruchy. W ten sposób rodzi się stan przedpsychotyczny – życie podporządkowane emocjom, a nie rzeczywistości. A jeśli rządzą wyłącznie emocje, naturalnie zanika chęć działania.

Niestety, ta chęć działania nie pojawi się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Przeciwnie.

Mateusz Smoter: – Młodzi ludzie zawsze są grupą najbardziej narażoną na problemy ze znalezieniem pracy. To oni wchodzi na rynek po raz pierwszy, bez doświadczenia, a w sytuacjach kryzysowych jako pierwsi tracą zatrudnienie.

Problemem są przedłużające się okresy bez pracy. W statystyce i polityce publicznej przyjmuje się, że jeśli ktoś pozostaje bez pracy przez okres od 6 do 12 miesięcy lub dłużej, uznaje się go już za osobę długotrwale bezrobotną. I to wtedy zaczynają się poważniejsze konsekwencje – zawodowe, społeczne czy psychologiczne, które mogą mieć dalekosiężne skutki. Dlatego ważne jest, żeby wsparcie przychodziło szybko.

Diagnoza jakiegoś zaburzenia staje się atrakcyjna, bo jest najprostszym wyjściem z ucieczki od dorosłości

Wsparcie bywa iluzoryczne. Młodzi, którzy nie podejmują dorosłych prób, czynią szukać różnych intelektualnych ofert – teorii, etykiet, wyjaśnień, które mają nadać sens.

– I wtedy diagnoza jakiegoś zaburzenia staje się szczególnie atrakcyjna, bo jest najprostszym wyjściem z ucieczki od dorosłości. Zamiast konfrontować się ze światem, można powiedzieć: „to jestem ja – z tą diagnozą”. To daje ramy i poczucie kompletności bez przechodzenia przez realne doświadczenia i koszty dorastania.

Ale im dłużej ucieka się od dorosłości, tym gorzej – uważa Kruczyński. – Bo to nie jest tak, że można odłożyć wejście w życie i wrócić później bez kosztów. Każdy rok zwłoki potęguje kryzys. W wieku szesnastu czy siedemnastu lat można jeszcze próbować bezpiecznie, bo wtedy wszyscy próbują. Ale gdy ma się dwadzieścia trzy i dalej stoisz w miejscu, zaczyna się rodić coś dziwnego – zamiast dorosnąć, człowiek ucieka coraz dalej w swoje dziwactwa. I wtedy wejście w dorosłość staje się już o wiele trudniejsze. Czasami niemożliwe.

Justyna, pracowniczka urzędu pracy z północno-wschodniej Polski, potwierdza: – Wiem, że część z tych, których wpisałam jako NIT w 2014 roku, nadal nimi są. Tylko zmienili status z młodych niepracujących na po prostu bezrobotnych.

Kobiece NIT-y

Skupiając się na zmitologizowanych męskich NIT-ach z wyboru w wersji uzależnionej od komputera, zapomina się, że w tej grupie jest także wiele młodych kobiet. Oficjalnie w statystykach nawet więcej niż mężczyzn – według Polskiego Instytutu Ekonomicznego kobiety stanowią w tej grupie 11,5 procent, mężczyźni – 6,9 procentu.

Tyle tylko, że one de facto pracują. Zdaniem dr Katarzyny Szumlewicz duża część niepracujących kobiet nie jest wcale bierna – to młode matki lub opiekują się dziećmi,

starszymi rodzicami czy osobami z niepełnosprawnościami.

I jasne, że są młode kobiety, którym nie chce się pracować – przyzna to pewnie większość właścicielek zakładów fryzjerskich czy kosmetycznych, do których przychodzą na praktyki uczennice liceów czy studentki studiów kosmetycznych.

– Modlę się, żeby to już się skończyło, bo widać dokładnie, że nie chcą się niczego nauczyć – mówi z przekąsem jedna z kosmetyczek w Gdańsku. – Zresztą, po samochodach, jakimi przyjeżdżają po nie ich partnerzy, wnioskuję, że traktują swoją pracę raczej jako niezbyt absorbujące hobby.

Istnieje też grupa kobiet, które funkcjonują jako „utrzymywane” przez partnerów – i tu również obyczaj nie jest już tak surowy.

– Społecznie wciąż łatwiej wybacza się kobiecie życie na utrzymaniu, podczas gdy mężczyzna w tej samej sytuacji spotyka się z potępieniem. Mężczyźni w takiej roli przypina się etykietę nieudacznika, kobieta wciąż może uchodzić za zaradną albo ładną czy sprytną – mówi Szumlewicz.

– Widzimy więc wyraźnie, że to zjawisko nie jest symetryczne płciowo. Kobiety pozostające bez pracy częściej są aktywne w sferze prywatnej i opiekuńczej, mężczyźni – w większym stopniu pogrążają się w marazmie. I choć obie grupy żyją w kulturze, w której praca straciła dawny sens, to właśnie mężczyźni są bardziej zagrożeni bezczynnością.

A co się stanie, gdy rodziców zabraknie?

To pytanie, którego nikt nie chce głośno zadać. Urzędnicy notują w tabelkach „bierność zawodową”, ale nie wpisują w rubryki, że za kilkanaście lat tysiące dzisiejszych NIT-ów mogą zostać bez dachu nad głową i bez źródła utrzymania.

Rodzice są dla nich nie tylko sponsorem, ale i instytucją opiekuńczą, która amortyzuje wszystkie koszty dorosłości. Kiedy ten „system rodzinny” się skończy, pozostanie pustka – a wraz z nią pytanie o to, czy państwo i społeczeństwo są gotowe przejąć tę rolę.

Wojciech Kruczyński uważa, że część niepracujących młodych ludzi w pewnym sensie czeka na śmierć rodziców, żeby dorosnąć.

– Kiedyś ludzie żyli po 40-50 lat, separacja następowała naturalnie wskutek śmierci rodziców. Po prostu nie było, co jeść, więc trzeba było wziąć się do roboty. Teraz rodzice żyją znacznie dłużej, dbają o siebie, często dożywają osiemdziesiątki w całkiem dobrej formie. I mają potencjał, by przez dekady utrzymywać dzieci, które siedzą w domu.

To oznacza, że w praktyce młodzi zaczynają się separować dopiero w wieku czterdziestu lat, kiedy kończy się możliwość posiadania dzieci albo kiedy umierają rodzice. Wtedy dopiero pojawia się realny brak – głód, brak dachu nad głową – coś, czego nie da się zrelatywizować.

Co powiedziałby Kruczyński, gdyby siedział na moim miejscu obok sfrustrowanego taksówkarza? Nic intelektualnego, żadnych głębokich rozmów. Rodzice są w takich momentach bezradni, a dziecko błyszczy, pokazując im, że wszystkie ich reguły są względne. To dlatego rozmowa nie działa – bo wszystko można zakwestionować. Działa dopiero zderzenie z realnym brakiem: chorobą rodzica, pustym portfelem czy niewygoda, której nie da się zagadać.

– Tu potrzebna jest akcja, nie dialog – uważa Kruczyński. – Gdybym siedział wtedy z tytułu taksówki, powiedziałbym coś w rodzaju: „Niech ten gówniarz w końcu pójdzie do roboty, bo pan zostanie bez kasy, a jak się pan rozchoruje, to kto się panem zajmie?” – coś, wobec czego nie da się przejść obojętnie. To ma być jak skandal, który trafia w środek, uruchamia i legalizuje myśl, której on się boi i którą tłumi, czyli: »jestem frajerem we własnym domu«. Tylko takie uderzenie ma szansę coś zmienić. ●

Parafraza

Kto zna hasło Davida Lane’a – „Musimy zabezpieczyć byt naszego narodu i przyszłość białych dzieci”- ten wie, że Bekier i Torkowska je parafrazują.



Michał Rusinek

Przemysław Witkowski, dziennikarz i poeta, zwrócił ostatnio uwagę na z pozoru niewinną wypowiedź Bartosza Bekiera i Samuela Torkowskiej, umieszczoną na ich profilach instagramowych.

Oboje są postaciami malowniczymi: pani Torkowska była uczestniczką 4. edycji Top Model, która zasłynęła głównie za sprawą swoich wypowiedzi, że „nie chce żydostwa, nie chce LGBT, nie chce wielu rzeczy, które obecnie są” oraz odmówiła odpowiedzi na pytanie, komu życzyłaby zwycięstwa w wojnie ukraińsko-rosyjskiej. Jest działaczką Konfederacji.

Pan Bekier natomiast jest działaczem nacjonalistycznym, przywódcą Falangi i organizatorem pierwszego Marszu Niepodległości. Zdarzało mu się posługiwać symboliką faszystowską, deklarował poparcie dla Baszara al-Asada, brał udział w prorosyjskich demonstracjach w czasie aneksji Krymu przez Rosję, na prowadzonym przez siebie portalu internetowym publikował teksty neofaszystów i był wydawcą przekładów książek Aleksandra Dugina. No i koleguje się z tzw. kamratami, czyli Wojciechem Olszańskim i Marcinem Osadowskim.

Na wspomnianej instagramowej rolce oboje mówią tak: „Musimy zabezpieczyć byt naszego narodu oraz przyszłość naszych dzieci. Dlatego spotykamy się już 24 sierpnia w Warszawie na Placu Trzech Krzyży, skąd ruszy wielki marsz przeciwko imigracji. Musimy powstrzymać wielką podmiannę demograficzną. Bierność oznacza powolną śmierć i koniec Polski, jaką znamy. Koniec bezpieczeństwa i naszej europejskiej cywilizacji, dlatego nie może nas tutaj zabraknąć”.

Witkowski zauważył, że pierwsze zdanie tej wypowiedzi stanowi parafrazę słynnych „14 słów” (Fourteen Words), czyli złożonego z 14 słów hasła – a właściwie dwóch hasel – neofaszystów, neonazistów i rasistów. Brzmiały one: „We must secure the existence of our people and a future for White children” („Musimy zabezpieczyć byt naszego narodu i przyszłość białych dzieci”) i „Because the beauty of White Aryan women must not perish from the earth” („Ponieważ piękno białych aryjskich kobiet nie może zniknąć z tego świata”). Autorem tego hasła był David Lane, członek organizacji The Order, frakcji kościoła Aryan Nations, działającej w latach 80. XX wieku w amerykańskim stanie Idaho, będącej de facto organizacją terrorystyczną. Inspiracją dla Lane’a był ponoć fragment „Mein Kampf” Adolfa Hitlera.

O historii The Order napisano sporo literatury fachowej, można też obejrzeć film Justina Kurzela z Judem Lawem w roli agenta FBI tropiącego członków tej organizacji. Ja natomiast chciałbym przyjrzeć się mechanizmowi parafrazy zastosowanej przez duet Bekier & Torkowska. Przede wszystkim za-

stąpili oni przymiotnik „białych” zaimkiem „naszych”, dzięki czemu ich zdanie utraciło rasistowski charakter i właściwie mogliby się pod nim podpisać wszyscy, którzy chętniej posługują się pojęciem „naród” niż „społeczeństwo”, a więc w naszym przypadku właściwie wszyscy oprócz lewicy.

Dla neofaszystów i rasistów ta podmianka musi być zrozumiała: żeby 14 słów (w przekładzie – dziewięć) mogło się pojawić w dyskursie publicznym bez negatywnych konsekwencji dla wypowiadających, trzeba najbardziej newralgiczne z nich zamienić na bliskoznaczne: przecież wszyscy wiemy, że nasze polskie dzieci są białe. Innymi słowy: kto zna hasło Lane’a, ten wie, że Bekier i Torkowska je parafrazują. Kto nie zna, a ma choć odrobinę prawicowe poglądy – ten mu przykłaśnie, nie wiedząc zapewne, że przy okazji przyklaskuje faszystom.

Zagrożone „piękno aryjskich kobiet” zostaje już sparafrazowane głębiej, bo zamienione jest na „wielką podmiannę demograficzną”. „Wielką”, żeby zwiększyć poczucie zagrożenia i zasugerować coś w rodzaju planu, jaki ktoś chce zrealizować w Europie wpuszczając do niej imigrantów. „Podmiana demograficzna” nie zawiera newralgicznego i zapalającego czerwone światło słowa „rasa”, ale gdyby poprosić pana Bekiera lub panią Torkowską o wyjaśnienie tego sformułowania, z pewnością musieliby się tym słowem posłużyć. Choć Grzegorz Braun z ostrożności posługuje się w tym przypadku pokrewnym pojęciem etnosu.

Pani Torkowska natomiast nie bawi się w operowanie abstrakcyjnymi pojęciami, tylko mówi wprost: „Brzydzę się Polkami, które wiążą się z czarnymi”. I wszystko jasne. Gdzie się jednak podziało „piękno kobiet” z oryginalnego neofaszystowskiego hasła? Przypomnijmy, że mamy do czynienia z instagramową rolką, która operuje nie tylko słowem, ale i obrazem, w dodatku ruchomym. Obok zatroskanego o czystość rasową naszego narodu przywódcy Falangi, odzianego w beżowy dwurzędowy garnitur, stoi uczestniczka programu Top Model, ponadprzeciętnej urody, sprowadzona – zapewne za jej własną zgodą – do funkcji ornamentacyjnej, będąca żywą egzemplifikacją „piękna aryjskich kobiet”. Trochę szkoda, że Falandze nie udało się pozyskać jakiejś innej modelki o blond włosach, jaśniejszej karnacji i mniej semickim imieniu. Ale nie bądźmy drobiazgowi.

Ważniejsze jest co innego. Wypowiedź tej malowniczej pary nie ukazała się bowiem w Dark Webie, tylko na ogólnodostępnym serwisie społecznościowym. Ot, zachęta do wyjęcia udziału w antyimigranckim marszu jakich zapewne sporo. Oglądamy ją i wzruszamy ramionami. A zarazem, jak pisze Witkowski, tzw. okno Overtona przesuwają się nieco dalej. Okno Overtona, czyli okno dyskursu, zjawisko opisujące poszerzanie granic tego, co powszechnie akceptowalne. Cóż, może jeszcze nie powszechnie, może jeszcze nieco traktujemy to jako radykalne, ale wiele wskazuje na to, że niebawem już nikt nie będzie się dziwić parafrazowaniu amerykańskich neofaszystów. Może nawet nie będzie widzieć nic złego w tatużach z dwiema ósemkami (czyli ósmymi literami alfabetu, będącymi skrótem „Heil Hitler”), bo skoro powiedziało się A i nikt nie zaprotestował, to można powiedzieć B. I też nikt nie zaprotestuje. ●

Marian Banaś, prezes NIK: Większość prokuratorów Ziobry czy ludzi Kamińskiego w CBA dalej działa.

Zakładają, że PiS zaraz wróci
do władzy i chcą się wykazać.

DOMINIKA WIELOWIEYSKA: Koalicja rządząca ma już kandydata na pańskiego następcę w fotelu prezesa NIK. To Marcin Haładyj, prezes Prokuraturii Generalnej. A pan chce walczyć o kolejną kadencję. Podobno prowadzi pan zabiegi, by Haładyj nim nie został.

MARIAN BANAS: – Jeśli będzie wola posłów, abym kontynuował swoją misję, to jestem do tego przygotowany. Obroniłem niezależność NIK. Razem z pracownikami broniliśmy grosza publicznego i byliśmy absolutnie apolityczni. Działaliśmy w interesie państwa polskiego i obywateli.

Prezes Prokuraturii jest uważany za zaufanego człowieka byłego premiera Mateusza Morawieckiego. Pan sugeruje, że marszałek Sejmu Szymon Hołownia forsował tę kandydaturę, bo PiS go przekonał, na przykład podczas nocnego spotkania z Kaczyńskim?

– Ja tylko polecam posłom, aby się dokładnie zapoznali z życiorysem kandydatów na prezesa NIK. Liczę, że posłowie zastanowią się, czy ten kandydat będzie gwarantem linii, którą ja realizowałem. Jest wiele afer, które dotyczą środowiska Mateusza Morawieckiego, choćby afera Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych. NIK odegrał bardzo znaczącą rolę w ujawnieniu i opisanu tych patologii.

Drugim kandydatem na szefa NIK jest Tadeusz Dziuba, zgłoszony przez PiS.

– Pracując tu, w Izbie, działałem w interesie PiS. Musiałem odsunąć go od nadzoru kontroli, bo wymuszał zmianę

Marian, trzeba cię usunąć

Z **MARIANEM BANASIEM**
ROZMAWIA **DOMINIKA**
WIELOWIEYSKA

ustaleń kontrolerów na korzyść ówczesnej władzy. A kontrolerzy wykonywali swoją pracę rzetelnie i obiektywnie. Potem potwierdzili informacje o naciskach Dziuby. Za rządu PiS złożyliśmy ponad 400 różnych zawiadomień i prawie wszystkie zostały za sprawą prokuratora generalnego Zbigniewa Ziobry umorzone.

Pan został wybrany na szefa NIK przez PiS w 2020 r. Ówczesna opozycja protestowała z powodu niecisłości w pańskim oświadczeniu majątkowym. Następnie TVN wyemitowała reportaż o należącej do pana kamienicy w Krakowie i pokojach wynajmowanych na godziny oraz pańskiej współpracy z osobami ze świata przestępczego. PiS próbował zmusić pana do dymisji. Za chwilę straci pan immunitet i problemy powrócą. – Byłem jedynym bezpartyjnym ministrem, państwowcem, fachowcem w rządzie PiS. Prezes Kaczyński złożył mi propozycja szefowania NIK, bo byłem znany ze skuteczności: przeprowadziłem konsolidację służb skarbowych i celnych, która przyniosła do budżetu ponad 300 miliardów dodatkowych pieniędzy.

W resorcie finansów powiedzą, że na wyrost przypisuje pan sobie te zasługi. Do uszczelnienia luki VAT przyczyniło się wielu ludzi i z rządu PO-PSL i z rządu PiS.

– Ja wiem, co robiłem i jakie były tego efekty. Ze względu na moje zasługi i autorytet miałem mocną pozycję. Mogłem wchodzić do gabinetu Jarosława Kaczyńskiego, kiedy chciałem, a nie wszyscy mieli taki przywilej.

Dwa tygodnie przed tą całą aferą spotkałem się z prezesem Kaczyńskim, który mówił: „Panu to się należy order Orła Białego za to, co pan zrobił dla Polski i dla PiS”.



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Ja na to: „Panie prezesie, ja tu nie przyszedłem po ordery i zaszczyty, tylko służyć Polsce”.

A potem był ten reportaż w TVN, że niby jestem szefem jakiegoś gangstera czy sutenerów, których na oczy nie widziałem. Bo praktycznie cały czas przebywałem w Warszawie, kamienicę wynajmowałem 4 lata wcześniej. Pojawili się zainteresowane osoby, a ja chciałem ten wynajem załatwić szybko, bo czas i uwagę pochłaniały mi obowiązki państwowe. I potem już się tym nie zajmowałem.

Podjeżdżam, że to, co się później wydarzyło, przygotowały służby kierowane przez szefa MSWiA Mariusza Kamińskiego. Oni wiedzieli, że będę patrzył na ręce wszystkim, którzy rządzą państwem i wydają pieniądze publiczne, więc trzeba było mnie skompromitować i zmusić do rezygnacji ze stanowiska. Nie udało się.

Sekwencja zdarzeń była inna. Gdy PiS zgłosił pana na prezesa NIK, media zaczęły się sprawie rutynowo przyglądać, Bertold Kittel z TVN zastał w pańskiej kamienicy mężczyznę w białym dresie ze złotymi łańcuchami, a ten na pańskie nieszczerście powiedział: „Ja mogę zadzwonić do Banasia”. I PiS uznał, że jest pan politycznym obciążeniem. Teza, że Kittel działał na zlecenie Kamińskiego, jest absurdalna. Zresztą wytoczył pan mu proces i przegrał w pierwszej instancji.

– Wytoczyłem proces cywilny i on dalej się toczy. Złożyliśmy apelację. A fakty wyglądały zupełnie inaczej. Pewne osoby w PiS były zainteresowane, abym tej funkcji nie pełnił, ponieważ jestem niezależny, więc rozpoczęto nagonkę. Ja byłem outsiderem bez powiązań z kimkolwiek, nie miałem wsparcia żadnej frakcji, więc można było mnie potraktować jak mięso armatnie. Na zasadzie: zrobił swoje, może odejść.

Nie ustąpiłem i NIK jest jedynym organem konstytucyjnym, który zachował niezależność. To PiS najbardziej bolało, bo podporządkowali sobie prawie wszystkie instytucje, a myśmy od samego początku w sposób bezstronny, obiektywny zaczęli patrzeć na wydatki publiczne i pokazywaliśmy daleko idące patologie, niegospodarność i łamanie praworządności.

Wciąż pozostają wątpliwości co do pańskiego oświadczenia majątkowego. Miał pan wyjątkowo niskie dochody z wynajmu trzech nieruchomości.

– Ostatnio ukazał się raport zespołu prokuratury krajowej, który w sposób jednoznaczny podkreśla, że działania służb, CBA i prokuratury wobec mnie były bezprawne. Oparto je na fałszywych dowodach, próbowano zmusić świadków do składania fałszywych zeznań i właściwie ta sprawa powinna już być dawno umorzona.

Ale nie jest. No i te dochody z najmu. Urzędnik służb skarbowych musi być czysty jak lza. Jak zwykły obywatel zadeklaruje za niskie dochody z najmu czy sprzedaży nieruchomości, to skarbówka dowala mu domiar. – Oczywiście zaproponowałem wyższą stawkę za wynajem, ale nie zgodzono się, więc przystałem na niższą, bo liczyłem, że zaraz spiszymy umowę przedwstępną. Że oni tę kamienicę kupią.

Niemniej, gdy zakończy pan misję w NIK, postępowanie nadal będzie się toczyć. I może mieć pan postawione zarzuty.

– Nie sądzę. Jeśli zebrany nielegalnie materiał znajdzie się w rękach naprawdę odpowiedzialnych prokuratorów, to po prostu zostanie umorzone.

Podobno w pewnym momencie był pan gotów ustąpić?

– Tak. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, co się za tym kryje. Aż w pewnym momencie Kamiński powiedział: „Marian, my tak naprawdę nie wiemy, skąd ty się wzięłeś”. Wtedy zrozumiałem, że Kamiński mówi: ty, Marian, nie będziesz wykonywał poleceń PiS, więc trzeba cię usunąć.

Dlaczego Kamiński był przeciwko panu?

– Chciał mieć monopol na kontrolę wszystkich instytucji państwowych. Do kolekcji brakowało mu NIK. Gdyby przejął Izbę, razem z Ziobrą kontrolującym prokuraturę stworzyliby trójkąt bermudzki, w którym znikająby wszystkie nieprawidłowości. Gdyby wtedy przejęto NIK, to Kaczyński całkowicie zabetonowałby swoją władzę. I kto wie, jaki byłby wynik wyborów w 2023 roku.

Ale to właśnie Kamiński po przegranych wyborach na zebraniu PiS powiedział: dobrze, że nie mamy trzeciej kadencji, bo to już by była taka degrengolada moralna, aż strach.

– Tylko siebie nie wymienił.

Kaczyński wtedy zdenerwował się na Kamińskiego. W każdym razie w pierwszej kadencji PiS, w latach 2015-19, tylu afer nie było, a potem nastąpił wysyp. Z czego to wynikało?

– Z buty. Z przekonania, że będą rządzić wiecznie, tak zabetonował system, że nic im już nie grozi. Oni w to wierzyli, wiem, bo z nimi rozmawiałem. Nadal tak myślą: jak wrócimy do władzy, to wszystko zamieciemy pod dywan, żadnych rozliczeń nie będzie.

A nawet jak będą, to Karol Nawrocki ułaskawi.

– Ziobro i Kamiński żyli w przekonaniu, że zabezpieczyli się przed rozliczeniami także w przypadku zmiany władzy. Stąd próba zabetonowania prokuratury, nieudana o tyle, że nowa koalicja wymieniła prokuratora krajowego.

Oczywiście Ziobro i Kamiński niektórych ludzi w PiS ścigali, ale według pewnego klucza, a właściwie dwóch. Pierwszy klucz: Kaczyński wydał polecenie, aby kogoś wyrzucić za burtę. Był jak cesarz, decydował, kto ma ponieść odpowiedzialność, a kto nie. Wyręczał prokuraturę i sądy.

Drugi klucz: Ziobro z Kamińskim, oprócz tego, że ludzie opozycji, ścigali i osłabiali partyjnych konkurentów. Za PiS byliśmy jako NIK w szczególnie trudnej sytuacji, bo kierownictwo partii nakazało, żeby wszystkie sprawy dotyczące nieprawidłowości natychmiast przekazywać do centrali. Prowadzili specjalny rejestr, by przypadkiem jakiś prokurator nie wykazał się aktywnością.

Ziobro osobiście decydował o tym? Czy prokurator krajowy Bogdan Święczkowski?

– Generalnie władze prokuratury. Właśnie dlatego uważałem, że prezes NIK też powinien mieć uprawnienia oskarżycielskie. Teraz musimy kierować sprawy do prokuratury i obowiązują nas tajemnica śledztwa. Gdybyśmy mogli kierować sprawę bezpośrednio do sądu, opinia publiczna o wszystkim by się dowiadywała, a ta świadomość działałaby prewencyjnie na urzędników.

Nadal uważam, że Sejm powinien tę zmianę przegłosować, bo gdy PiS samodzielnie wróci do władzy, to domknie system. My mamy w NIK prokuratorów, adwokatów, radców prawnych, merytorycznie jesteśmy na taką reformę przygotowani.

Za rządu PiS w Sejmie złożono wniosek o uchylenie pańskiego immunitetu. Wedle mojej wiedzy nie trafił pod głosowanie, ponieważ Kaczyński nie był pewien, czy będzie większość. A nie był pewien, bo pan miał w PiS przyjaciół, którzy uważali, że potraktowano pana haniebnie.

– Tak było.

To środowisko z południa Polski: Beata Szydło i jej dawny protegowany Daniel Obajtek.

– Nie będę wymieniał nazwisk, ale te osoby powiedziały, że w życiu przeciwko mnie nie zagłosują, bo znają moją uczciwość.

Pańską sprawę połączono ze sprawą Jakuba.

– Cała rodzina stała się ofiarą tej sytuacji. Gdyby nie nagonka na mnie, syn w życiu nie miałby żadnych zarzutów prokuratorskich. Przecież potraktowano go jak najgorszego przestępcę. Nie znam dokładnie tej sprawy, syn jest dojrzałym człowiekiem, ma swoją rodzinę, swoją działalność gospodarczą, mamy raczej rzadkie kontakty. Ale jestem przekonany, że to nie są zarzuty znaczące. One pojawiły się po to, żeby wymusić na mnie dymisję.

W 2021 roku pański syn dostał zarzut wyłudzenia dotacji na remont zabytkowej kamienicy, wyłudzenia podatku VAT oraz zarzut podrabiania dokumentów. Ale w grudniu zeszłego roku prokuratura regionalna uzupełniła te zarzuty o kolejne: oszustwo wobec banku i Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska. Śledztwo się toczy, choć rządzi inna koalicja i to już nie jest prokuratura PiS-owska.

– Nieprawda. Większość prokuratorów Ziobry czy ludzi Kamińskiego w CBA dalej działa. I ci, którzy prowadzili sprawę przeciwko mnie i Kubie, dalej to robią. W praktyce Ziobro wciąż rządzi prokuraturą, bo ci ludzie zakładają, że PiS zaraz wróci do władzy i chcą się wykazać.

Nie ma mowy o wyłudzeniu dotacji na kamienicę. W krakowskich mediach ukazał się artykuł, w którym konserwator zabytków stwierdza, że to jedna z najlepiej wyremontowanych kamienic, jakie widział w karierze.

Proces ruszył w sądzie?

– Nie. I nie ma aktu oskarżenia, choć śledztwo trwa już sześć lat.

Aktywność prokuratorów Ziobry i generalnie PiS odczuwam nie tylko ja osobiście, jako obywatel Marian Banaś. Ona odciska się też na naszej pracy w NIK. Jak tylko im się wydaje, że w Izbie ktoś czegoś dowiedział się na temat PiS-owskich afer, na przykład GetBacku, w której oszukano tysiące zwykłych inwestorów, a Komisja Nadzoru Finansowego zawiadła, to nas grillują. Zresztą dziennikarzy też.

Oni są pozapinani praktycznie we wszystkich ważniejszych prokuraturach i cały czas monitorują to, co dotyczy machlojek PiS. A często blokują. Każdy zbiera punkty na Nowogrodzkiej, aby za dwa lata odebrać nagrodę.

Radio Wnet Krzysztofa Skowrońskiego, do niedawna bliskiego prawicy szefa Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, kolportuje opinię reportera, wolnego strzelca Leszka Kraskowskiego: „Syn prezesa NIK pracuje jako doradca społeczny i żywi się z łapówek dostarczanych przez kontrolerów w koperach, nikt na to nie reaguje, jakby to było normalne, że jeżeli chcesz pracować w NIK, to jest tu syn prezesa i trzeba mu coś odpalić”. – To kłamstwo. Totalne oszczerstwo. Złożyliśmy zawiadomienie do prokuratury.

Prokurator może powiedzieć, żeby pan raczej stawiał na prywatny pozew.

– To jest oszczerstwo wobec prezesa organu konstytucyjnego. To nie może być traktowane jako prywatna sprawa. Niech pani zapyta pana, który tak ochoczo o tym mówi i pisze, skąd raptem ma finansowanie. Jego aktywność to część strategii PiS.

Ale w pewnym momencie rzeczywiście pański syn był pańskim doradcą.

– Społecznym. Rzadko się pojawiał.

Tylko po co w ogóle pan go mianował? Przecież to wbrew jakimkolwiek standardom. Mówiono, że potem pan doszedł do wniosku, że lepiej, by Jakub Banaś trzymał się z daleka od NIK.

– Ależ oczywiście. Zaczęto mówić, że on zaczyna rządzić NIK.

Nie ingerował w rozmaite procesy kontrolne? Nie interesował się, nie pytał?

– Bzdura totalna.

Za to startował z list Konfederacji w wyborach parlamentarnych, a pan wystąpił na konferencji prasowej ze Sławomirem Mentzenem. Naruszając zasadę apartyjności NIK, i to poważnie, bo nie dość, że wystąpił pan z liderem partii, to jeszcze tej, z której list startuje pański syn.

– Wręcz przeciwnie. Niczego nie naruszyłem, tylko dbałem o wzmocnienie niezależności NIK. Zabiegałem o przyznanie jej uprawnień oskarżycielskich, już wcześniej odbyłem spotkanie w Senacie z przedstawicielami wszystkich opcji politycznych, ale bez Konfederacji. Więc kiedy zwrócił się do mnie Mentzen, który chciał wyrazić poparcie dla zmiany ustawy, spotkałem się z nim.

Mariusz Kamiński chciał mieć monopol na kontrolę wszystkich instytucji państwowych. Do kolekcji brakowało mu NIK. Gdyby przejął Izbę, razem z Ziobrą kontrolującym prokuraturę stworzyliby trójkąt bermudzki. I kto wie, jaki byłby wynik wyborów w 2023 roku

Musiał mieć pan świadomość, że jeżeli występuje z partyjnym liderem przed wyborami, to będzie odebrane jednoznacznie.

– Wtedy nie było jeszcze kampanii wyborczej.

Formalnie nie, niemniej konferencja była w lipcu, a wybory już w październiku. Kampania nieformalna od miesięcy szła pełną parą, no i już było wiadomo, że Jakub Banaś jest na liście Konfederacji.

– Naprawdę liczyłem na to, że będę miał wsparcie większości posłów i zmienimy ustawę o NIK.

Zna pan wiele osób w Konfederacji. Czy w razie wspólnych rządów Mentzena i Krzysztofa Bosaka z PiS, zgodzą się na zamiatanie pod dywan spraw z lat 2015-23? – Nie sądzę. Zresztą nie dojdzie do koalicji. Oni z PiS się nie dogadają.

PiS wychodzi z założenia, że po błyskawicznym sukcesie ich politycznego start-upu i zakorzenieniu w politycznym mainstreamie ludzie Konfederacji chcieliby wreszcie nagrody. Udziału we władzy. Oraz że Mentzen jest zielony, nigdy nie rządził, więc Kaczyński go obra i będzie robił w prokuraturze, w służbach, co chce.

– Mentzen wie, jaki los spotkał koalicjantów PiS w pierwszej dekadzie tego stulecia. Nie popełni tego błędu, co Liga Polskich Rodzin i Samoobrona. Stąd niewykluczone, że Kaczyński spróbuje wyluskać z Konfederacji Krzysztofa Bosaka i jego Ruch Narodowy.

Wątpliwości co do pańskiej niezależności wzmacnia rozmowa z profesorem Markiem Chmajem, któremu mówił pan, że pomoże Donaldowi Tuskowi w pokazywaniu patologii PiS, że ma pan w zanadru nowe raporty NIK i że robi pan wszystko, żeby nie dopuścić do koalicji PiS z Konfederacją.

– Przede wszystkim to nagranie jest dowodem na bezprawie, które się działo w tamtym czasie. To było prywatne spotkanie z moim mece-

nasem poza NIK. Nagrywano nielegalnie, a następnie wyemitowano w kampanii wyborczej w 2023 roku w PiS-owskiej telewizji państwowej.

Pani redaktor, nielegalnie podsłuchano rozmowę prezesa organu konstytucyjnego, posiadającego immunitet. Ja bardzo chcę zobaczyć uzasadnienie, które jest podstawą tej operacji służb. Mam przeczcucie, że nigdy go nie zobaczę, bo go nie ma.

Kto pana zdaniem to zrobił, kto i jak pana nagrał?

– Nikt inny poza służbami nie mógł tego zrobić. Złożyłem zawiadomienie do prokuratury i trwa śledztwo.

Ja to wiem, ale opinia publiczna ma wrażenie, że nic w tej sprawie się nie dzieje.

– Bo śledztwa toczą się czasem bardzo długo, a to jest w dodatku objęte tajemnicą.

Jedną kwestią jest to, że służby złamały prawo, a drugą to, że deklarował pan wykorzystanie apolitycznej Izby w grze politycznej. I co z tego, że na prywatnym spotkaniu.

– Ten upubliczniony fragment został wyrwany z kontekstu i nie oddaje istoty rozmowy. Ja bym się skupił na tym, że PiS bezprawnie inwigilował ludzi przy pomocy Pegasusu i Hermesa.

Oferowanie wiedzy i możliwości Izby temu czy innemu politykowi? Jeszcze we własnym prywatnym interesie? Nigdy takich rzeczy nie robiłem, nie robię, nikomu nie służę. Tylko państwu polskiemu.

Może wyrwany z kontekstu, ale to jednak nie wygląda apolitycznie. Bo padły słowa: „Szefowi powiedz, że będziemy mieć bardzo dużą kontrolę i wpływ nad Konfederacją”. Oraz: „Ja będę działał do ostatniej chwili, bo mnie nie obowiązuje żadna cisza wyborcza. Ja sobie zostawię, rozumiesz, na te trzy dni takie smaczki, że im w d... pójdzie, rozumiesz? I ja będę robił co drugi dzień konferencję wtedy”.

Ale zdaje się, że pan generalnie jest trochę wyrwany politycznie. Musiał pan przepraszać za sugestie, że doszło do korupcji w przypadku Polskiego Funduszu Rozwoju. – Nieprawda, nie przeprosiłem. To było wyjaśnienie, bo były szef PFR Paweł Borys źle zinterpretował moje wystąpienie i raport.

„Najwyższa Izba Kontroli opublikowała podpisane przez prezesa Banasia oświadczenie. Przyznaje w nim, że w PFR nie stwierdzono korupcji, a poczynione ustalenia kontrolne wskazały, że pomoc państwa udzielana przedsiębiorcom przez PFR przyczyniła się do łagodzenia gospodarczych skutków pandemii”. A Borys pozwał prezesa NIK o naruszenie dóbr osobistych.

– Nikogo nie obrażałem, stwierdziłem fakty, a oni to źle zinterpretowali. Mówiłem, że cały system – nie tylko PFR – związany ze wsparciem gospodarki i przedsiębiorców podczas pandemii mógł prowokować zjawiska korupcyjne, a Paweł Borys to wziął do siebie, więc wyjaśniłem, że nie o to chodziło.

Koniec końców bilans operacji z PFR jest pozytywny, jeśli chodzi o pomoc przedsiębiorcom, którzy ucierpieli skutek lockdownów i pandemicznych zawirowań.

– Tak. Ja po prostu od początku stałem na stanowisku, że do tego lepiej przygotowane są urzędy skarbowe, bo mają lepsze rozeznanie co do kondycji poszczególnych podmiotów gospodarczych i ta operacja mniej by kosztowała nasze państwo.

„Rzeczpospolita” napisała, że przeprowadza pan konkursy na wysokie stanowiska w NIK, by na koniec kadencji obsadzić Izbę swoimi zaufanymi ludźmi.

– Kiedyś krytykowano mnie za to, że nie robiłem konkursów.

Gdy prowadziłem reformy administracji skarbowej i celnej, pokazałem, że najlepszym sposobem jest mianowanie sprawdzonych ludzi na stanowiska dyrektorskie zamiast robienia konkursów, które czasem mogą być fikcyjne. Ale najpierw trzeba sprawdzić tych ludzi w pracy. I właśnie to zrobiliśmy w NIK.

Nasi ludzie są kompetentni, to najwyższej klasy profesjonaści, jedni pracują w Izbie po 20 lat, inni, z krótszym stażem, mają po prostu świetne wyniki kontroli.

Podsumujmy najgłośniejsze kontrole NIK. Weźmy Rządową Agencję Rezerw Strategicznych. Jest śledztwo, są postawione zarzuty grupie urzędników, ale pojawia się pytanie, czy jednak nie powinien ich usłyszeć Morawiecki. Co najmniej o niedopełnienie obowiązków, bo był bezpośrednim nadzorcą RARS.

– To właśnie jeden z przykładów wyjątkowej patologii, jaka miała miejsce za czasów PiS. Ale zarzuty dla premiera Morawieckiego to już zadanie prokuratury, która ma odpowiedzieć instrumenty, w tym służby specjalne, by zbadać sprawę. Niemniej oczywiście w zawiadomieniu do prokuratury wskazaliśmy brak właściwego nadzoru. To było niespotykane zlodziejstwo w biały dzień.

Za czasów Mateusza Morawieckiego poza budżet wyprowadzono prawie 400 miliardów złotych, które nie podlegały ustawie o zamówieniach publicznych ani regulom ustawy o finansach publicznych. Można było te pieniądze dowolnie przekazywać podmiotom niżej, oczywiście w większości zaufanym ludziom, którzy potem odwiedzili się na przykład finansowaniem kampanii wyborczej PiS.

Ale dzisiaj Morawiecki powtarza: ja zmniejszyłem dług publiczny, a rząd Tuska potężnie zadłuża nasze państwo.

– Mechanizm zadłużenia państwa nie pojawił się od tak w ostatnim czasie. Rozpoczął się w 2019 roku. Potem mieliśmy pandemię i wojnę w Ukrainie. Wówczas dług zaczął gwałtownie rosnąć, dlatego rząd wyprowadzał wydatki poza budżet. Do tego maksymalnie rozbudowano pomoc społeczną – która sama w sobie, przemysłana, nie jest zła – w formie różnych pieniężnych projektów socjalnych. Politycy kupowali sobie elektorat, a o inwestycje nie dbali. Ich poziom gwałtownie spadł. Gdy PiS przejął władzę w 2015 roku, osiągały 20 procent PKB, a za PiS spadły do 16 procent. Nie da się z dnia na dzień naprawić tej sytuacji, nawet gdyby rząd wykonał samobójczy ruch i ściął drastycznie wydatki socjalne.

Choć swoją drogą pewne cięcia byłyby wskazane. Ludziom z niepełnosprawnościami, starszym, skrzywdzonym przez życie, z niezawinionych przyczyn niezaradnym pomoc bezwzględnie się należy, ale nie widzę powodu, żeby ludzie, którzy są zdrowi, którzy mogą podjąć pracę, nic nie robili, bo mogą żyć z profitów socjalnych. To szkodzi państwu, naszej przyszłości i zwyczajnie demoralizuje obywateli.

Po dwóch latach Koalicji 15 Października stan finansów publicznych wciąż nie jest dobry.

– Mamy wojnę na wschodzie i zwiększamy nakłady na armię. Pytanie, czy te pieniądze na armię wydajemy właściwie.

I jak brzmi odpowiedź?

– To są informacje niejawne. Ale mówiąc ogólnie: jest tam bardzo dużo do naprawy.

Naprawy tego, co zrobiła ta ekipa czy poprzednia?

– Głównie poprzednia, dlatego opracowaliśmy białą księgę, która jest syntezą wszystkich kontroli dotyczących armii w ostatnich pięciu latach. Zorganizowaliśmy panel, na którym byli generałowie, profesorowie, analitycy, i przedstawiliśmy wspólnie wiele rekomendacji, co zrobić, żeby pieniądze były właściwie wydane.

Od Macierewicza do Lecha Kaczyńskiego „Pancerny” Marian

Wszyscy go kojarzą jako prezesa NIK, a kontrowersje związane z jego majątkiem i znajomościami, odkrytymi przez media po nominacji oraz późniejsza walka z własnym obozem politycznym sprawiły, że mało kto pamięta, że Marian Banaś nie wziął się znikąd.

Urodzony w 1955 roku, wielką karierę rządową zaczął dopiero w okolicach pięćdziesiątki, ale za to jaką. Sucha wyliczanka mówi sama za siebie: w latach 2005–08 – w pierwszym rządzie PiS oraz początkach pierwszego rządu Tuska – podsekretarz stanu w Ministerstwie Finansów oraz szef Służby Celnej, wrócił na te stanowiska po wygranej PiS w 2015 roku; od 2016 do 2019 sekretarz stanu w Ministerstwie Finansów, w latach 2017–19 szef Krajowej Administracji Skarbowej, w 2019 minister finansów w rządzie Morawieckiego. No i od 2019 prezes Najwyższej Izby Kontroli.

Ale doświadczenie w służbie publicznej – i w polityce oraz w bliskim kręgu braci Kaczyńskich – Banaś zdobywał już znacznie wcześniej. W początku lat 90. był doradcą w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych za Antoniego Macierewicza, w 1992 roku znalazł zatrudnienie w NIK, gdy Izbą kierował Lech Kaczyński, gdzie pracował, między innymi jako główny specjalista, do 2005 roku.

Konserwatysta, zadeklarowany katolik – po skończeniu prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim poszedł na podyplomowe religioznawstwo i na filozofię w Papieskiej Akademii Teologicznej – ma ładną kartę w opozycji w PRL. Tu znów wyliczanka, która mówi sama za siebie: w poło-

wie lat 70. organizował dystrybucję niezależnych wydawnictw w Krakowie i na Podhalu, współzakładał Akcję na rzecz Niepodległości, w drugiej połowie lat 70. był już w studenckiej „Solidarności”, w Instytucie Kатыńskim i w Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, potem dołączył do twardego niepodległościowego i jawnie antykomunistycznej, pilsudczykowskiej Konfederacji Polski Niepodległej Leszka Moczulskiego i do chudeckiego Ruchu Młodej Polski. W grudniu 1981 roku został aresztowany za działalność w „Solidarności” i skazany na 4 lata więzienia. Zwolniono go w 1983 roku z powodu choroby żony i niemal natychmiast zabrał się za współzakładanie Komitetu Pomocy Więzionym za Przekonania.

Banaś jest karateką i trenerem karate, ma czarny pas (1 dan) w stylu kyokushin. W PiS mówiono o nim „kryształowy człowiek”, choć częściej używano ksywki „pancerny Marian”.

Rządząca Zjednoczona Prawica powierzyła mu funkcję prezesa NIK w 2019 roku – mimo protestów ówczesnej opozycji, która wskazywała na wątpliwości związane z oświadczeniami majątkowymi. Ale naprawdę głośno o urzędniku zrobiło się chwilę potem, gdy TVN wyemitował reportaż, w którym zasłużony dziennikarz śledczy Bertold Kittel ujawnił, że w należącej do Banasia krakowskiej kamienicy działał hotel „na godziny”, prowadzony przez osoby powiązane z półświatkiem. Centralne Biuro Antykorupcyjne wszczęło kontrolę jego oświadczeń majątkowych, zarzucając mu zatajenie stanu majątkowego i nieudokumentowane źródła

dla dochodu. Wątpliwości budziły zbyt niskie dochody z wynajmu nieruchomości oraz przejęcie nieruchomości od byłego żołnierza AK. W 2019 roku CBA skierowało zawiadomienie do prokuratury, a w 2020 rozpoczęło śledztwo. PiS zaczął naciskać na Banasia, aby podał się do dymisji. Jednak prezes NIK odmówił.

Problemy z wymiarem sprawiedliwości ma też jego syn Jakub. Prokuratura zarzuca mu wyłudzenie dotacji na remont zabytkowej kamienicy oraz oszustwa w placeniu podatku VAT. Śledztwo wciąż trwa.

Prezes NIK uznał, że te śledztwa to zemsta PiS za demonstrowaną przezeń niezależność, i że Nowogrodzka, jego własne środowisko, zastrasza mu rodzinę. W kuluarach Sejmu można było usłyszeć, że Banaś – znany z tego, że jest bezwzględnie lojalny, ale nie wybaczający nielojalności – teraz nie odpuszcza starym kolegom.

Tym bardziej że przeżył wcześniej wielką tragedię: w 2004 roku jego starszy syn Bartłomiej w wieku 21 lat zginął podczas wyprawy w Pireneje. – Ja jestem przygotowany na wszystko. Nawet na najgorsze. Dwóch synów straciłem, trzeciego nie stracę – mówił latem 2021 roku w TVN24 po doniesieniach o próbie samobójczej Jakuba, którego na początku urzędowania mianował swoim doradcą społecznym.

Banaś ma jeszcze dwoje dzieci, Jana i Annę, które nie występują publicznie.

Mimo ciągłych nacisków PiS Banaś pozostał na stanowisku szefa NIK, korzystając z immunitetu. Jego kadencja kończy się w 2025 roku. We wrześniu ma być wybranym w Sejmie jego następcą. ●

biegły, za to zrobiono przyspieszone postępowanie układowe, aby wyprowadzić pieniądze z GetBacku.

Środowisko Zjednoczonej Prawicy świadomie chciało tę aferę zamieść pod dywan?

– Oczywiście. Założono, że zwykli obywatele nie mają takiej pozycji, wpływów i kompetencji, aby skutecznie walczyć, więc nikt, ani media, ani opozycja, za bardzo nie będzie się interesować sprawą: ot, jedna z piramid finansowych, smutne, ale zdarza się.

Podczas kontroli przesłuchiwalismy po raz pierwszy w historii prokuratorów i sędziów, bo oni odpowiadają również za ten proceder. Potem przekazaliśmy wszystkie akta do prokuratury.

Prokuratorzy od 7 lat prowadzą śledztwo i dotąd nic z niego nie wynikało. Dopiero nasza kontrola sprawiła, co potwierdzili pokrzywdzeni, że sprawa ujrzała światło dzienne i ludzie mają jakieś szanse odzyskać przynajmniej część tych pieniędzy.

Komisję Nadzoru Finansowego nadzorował Mateusz Morawiecki.

– Oczywiście, to premier mianuje prezesa KNF.

Był dostateczny nadzór premiera? Chodzi jedynie o przekręt gospodarczy oraz nieudolność czy nieuwagę instytucji, czy również o wpływy polityczne?

– Również wpływy polityczne.

Bohaterowie afery mieli swego rodzaju parasol ochronny, mogli prowadzić działalność, mimo że już byli na krawędzi.

– Można tak powiedzieć.

To spróbujmy podsumować inną grubą sprawę, w której nie ucierpieli bezpośrednio ludzie, ale ucierpiał interes, a może i bezpieczeństwo energetyczne Polski. Czyli połączenie Lotosu z Orlenem i sprzedaż części aktywów rafinerii Lotosu Sandom, a części stacji benzynowych węgierskiemu państwowemu koncernowi paliwowemu MOL.

– Przeprowadziliśmy dwie kontrole. Aktywa Lotosu sprzedano zdecydowanie za tanio.

PiS odpowiada, że nie było innych nabywców.

– A nieprawda.

Aktywa warte są tyle, ile nabywca zaoferuje.

– A nieprawda.

Lecz pytanie jest inne: czy w ogóle był sens robienia tej konsolidacji. Izba zarzucano, że nie uwzględniamy wszystkich okoliczności, bo w przyszłości ta fuzja miała przynieść wielkie zyski poprzez synergię i one miały zrekomensować sprzedaż rafinerii Lotosu saudyjskiej firmie Aramco. Otóż tych zysków nie ma, a część istotnych aktywów branży paliwowej została wyprzedana za bezcen. Przeprowadziliśmy drugą kontrolę, która potwierdziła na bazie dokumentów Orlenu, że mieliśmy pełną rację w ocenie tej fuzji.

Pan zna tych polityków PiS tyle lat. Od zawsze głosili, że nie wolno sprzedawać wrażliwych branż inwestorom zagranicznym. Co się stało, że właśnie te aktywa sprzedali?

– Rząd PiS nie zadekretował, które przedsiębiorstwa są strategiczne i powinny pozostać w rękach państwa z uwagi na kwestie bezpieczeństwa.

Wykręca się pan od odpowiedzi. Mamy uwierzyć, że Obajtek działał na własną rękę, bez wiedzy i akceptacji prezesa Kaczyńskiego, premiera Morawieckiego oraz najbardziej wpływowych ludzi PiS?

Ale od samego początku wszystkim nasuwa się jeszcze jedna kwestia. Przy tak olbrzymiej fuzji i transakcji wszyscy, którzy ją obsługują, zarabiają miliony.

– To już jest inny wątek.

Obajtek powtarza, że musieliśmy dokonać tej konsolidacji, ponieważ jest w interesie tej branży, a wszystko było korekt, bo przecież Komisja Europejska przedstawiła bezwzględne warunki zgody na fuzję, a te warunki oznaczały sprzedaż części aktywów Lotosu.

– Bo Komisja Europejska nie sądziła, że wobec tak surowych warunków rząd PiS mimo wszystko zdecyduje się sprywatyzować część Lotosu, i to z udziałem inwestorów zagranicznych o podejrzanym konieksjach, w tym rosyjskich.

Od początku było wiadomo, że na tym stracimy na wiele sposobów. Rafinerię Gdańsk sprzedano Aramco, firmie arabskiej, która teraz kontroluje 20 procent paliwa w Polsce. I jeśli Arabowie podejmą decyzję, że puszczają to paliwo gdzie indziej, Polska jest sparaliżowana.

PiS tłumaczył, że z powodu wojny w Ukrainie mogą być problemy z dostawami ropy, a dzięki dobrym relacjom z Saudami zabezpieczymy sobie stałe dostawy.
– Ale nic sobie nie zabezpieczyliśmy. Nie ma takiego punktu w umowach.

Za czasów Mateusza Morawieckiego poza budżet wyprowadzono prawie 400 miliardów złotych. Można było te pieniądze dowolnie przekazywać podmiotom niżej, oczywiście w większości zaufanym ludziom, którzy potem odwdzięczali się

Rozmawiał pan o tym z Obajtkiem?

– Kontrolerzy go wezwali, by złożył wyjaśnienia. Jak widać nie przekonał ich – a przeprowadzili tę kontrolę w sposób obiektywny, udokumentowany i niepodważalny. Ja w to nie ingerowałem, moim zadaniem jest stworzenie im jak najlepszych warunków do pracy.

A gdybyśmy mieli zrobić ranking kontroli, jeśli chodzi o marnowanie publicznych pieniędzy, to jak by go pan ułożył?

– Wymienię tylko kilka kontroli, choć jest tego więcej. Elektrownia Ostrołęka, czyli budowa dwóch bloków węglowych, zmarnowanych prawie półtora miliarda złotych. Przepraszam, teraz już ponad dwa miliardy – tak wynika z drugiej kontroli. Podjęto decyzję o budowie elektrowni węglowej, choć z góry było wiadomo, że nie ma zabezpieczenia na sfinansowanie końcowe inwestycji. Od początku nie było takiej sumy pieniędzy w budżetach dwóch państwowych spółek Energii i Enei. A poza tym elektrownie węglowe były nieopłacalne ze względu na rygorystyczne normy dotyczące CO2. Lokalizacja elektrowni też była wybrana fatalnie.

Ktoś za to odpowie?

– Do prokuratury już dawno temu złożono zaawidowanie, ale za czasów PiS prokuratura, zamiast zająć się sprawą, wzywali naszych kontrolerów, w atmosferze zastraszania. Byliśmy obiektem ataku, bo Izba pokazała, w jak patologiczny sposób wydawano pieniądze. Nie dość, że bez sensu wydali środki publiczne na samym początku, to jeszcze potem – co pokazała kolejna kontrola – nie sprawdzili, czy są podstawy, by płacić podwykonawcom.

Kolejna afera?

– To 280 milionów wydanych z Funduszu Sprawiedliwości, którym zarządzał minister Ziobro. Z naruszeniem prawa i w sposób niegospodarny.

Ponadto mamy wybory kopertowe, 70 milionów zmarnowanych na przygotowanie w sposób bezprawny głosowania, które miało być korespondencyjne.

Następnie Narodowe Centrum Badań i Rozwoju, 70 milionów pieniędzy unijnych. OLAF, unijny urząd do ścigania nieprawidłowości, prowadzi w tej chwili postępowanie. Już od nas wzięli protokół z kontroli. To, że przekazano, zresztą absolutnie bez żadnych podstaw, prawie 50 milionów młodemu człowiekowi, który w danej dziedzinie nigdy nie miał żadnego doświadczenia, a drugi beneficjent dostał 100 milionów, to tylko jeden z wielu wątków tej sprawy.

Obaj byli powiązani z siatką polityczno-gangsterską wokół NCBiR.

– Te konkursy za czasów PiS to patologia. Kontrola wykazała, że ta ekipa niektóre z tych ponoć innowacyjnych, technologicznych projektów sprawdzała w ciągu kilku sekund. Pani może przeczytać taki liczący dziesiątki, jeśli nie setki stron plik w tak krótkim czasie? I jeszcze go ocenić?

Elektrownia, NCBiR, Fundusz Sprawiedliwości, RARS... Tyle tego jest, że czy da się w ogóle oszacować straty państwa?

– Straty poniesione w wyniku afer PiS idą w miliardy. W przypadku nieprawidłowości finansowych za 2023 rok wychodzi 53,5 miliarda. W poprzednich latach to było 25-30 miliardów. Chodzi o wydatki publiczne, które mogły budzić wątpliwości. Wcześniej sumy źle wydanych pieniędzy były o wiele mniejsze: miliony złotych, a nie miliardy.

I jest jeszcze afery wizowa.

Ale wizy wydawane gasterbeiterom z Azji i Afryki bez żadnej kontroli, w tym bezpieczeństwa, to nie kwestia straty pieniędzy, tylko korupcyjnej procedury.

– Firma, która pośredniczyła w tym procedurze, zarobiła ponad 100 milionów. Oczywiście oni nie okradli budżetu, tylko tych, którzy chcieli mieć wizę, ale narazili na szwank bezpieczeństwo państwa. Każdy, kto mówi, że afery wizowa to tylko taki mały problem, bo jeden wiceminister z rządu PiS zawałił, wprowadza opinię publiczną w błąd. To była patologia na szeroką skalę.

Jeszcze poproszę o podsumowanie zakupu systemów do inwigilacji Pegasusa i Hermesa.

– Pegasusa kupiono nielegalnie. Zakupu dokonano w ukryciu przed parlamentem za środki z Funduszu Sprawiedliwości.

Są już zarzuty wobec byłego wiceministra sprawiedliwości Michała Wosia.

– A Hermesa kupiono tak samo, w dodatku bez zachowania warunków konkurencyjności, bo na rynku były podobne systemy. Do tego wybrano pośrednika, co zwiększyło koszty. To niegospodarność i tu też złożyliśmy zawiadomienie do prokuratury. A jaki był cel tego zakupu? Aby bez żadnej kontroli inwigilować wiele osób, które stawiały się władzy.

Ktoś może powiedzieć: ten Banaś przerysowuje obraz, bo ma na pieńku z PiS. Straty były, to pewne, ale aż tak duże? Może za dużo pan wrzucił do tego worka.

– Nie musiałem niczego wrzucać. I niczego nie przerysowuję. Na początku swojej misji opracowałem strategię działania NIK, wyznaczyłem wrażliwe obszary i sposób ich badania. Resztę robili kontrolerzy, w których pracę się nie wtrącam, oni mają sporą autonomię w działaniu. A potem osobiście przedstawiają wyniki kontroli.

Teraz opracowałem strategię na kolejne lata, począwszy od 2025 roku. Pytanie, czy będzie skutecznie realizowana. ●

Seksualne Schengen

Dziś rewolucją nie jest bezpruderyjność, ale zdolność, by powiedzieć: „Tego nie pokazuję ani nie robię”.



Marcin Matczak

Polski wrzesień: dzieci w szkołach, korki w miastach, spór o Westerplatte i „Solidarność”. I o program nauczania. A w nim seks. Nic dziwnego, że w kraju, w którym najszybciej uczymy się przez awanturę, temat seksualności dzieli równie mocno, jak pamięć o roku 1980.

Według postępowców dzieci potrzebują zdrowego podejścia do seksualności, bez opresji i poczucia winy, które religia wiekami wbijała im do głowy. Mają rację. Według tradycjonalistów instynkt seksualny jest tak silny, że trzeba go kontrolować, inaczej rozerwie tkankę społeczną. Też mają rację. Tylko że ich rację łatwo wyśmiać jako zabobon, a wyśmiać trudno zrozumieć.

A trzeba, bo inaczej nie zrozumiemy obawy przed rozpadaniem się świata, która jest w głowach wielu głoszących na prawicę. Chcę więc was przekonać, że w tym „zabobonie” jest coś, czym warto się zająć, tak jak kiedyś, w dyskusji o ateistycznych świętach, próbowałem was przekonać, że nie wszystko, co sakralne, można bez straty przekształcić w neutralny rytuał świecki. Odpowiedź była i dziś też jest przewidywalna: religia to ciemnogród. Ale jako filozof norm nie umiem przestać wracać do myśli, że to, co stare, nie zawsze jest złe, a to, co nowe, nie zawsze dobre. W obszarze seksualności widać to najlepiej.

Nie ma zasłony, nie ma pożądania

W kwietniu 2021 roku 18-letnia Danielle Bregoli założyła konto na OnlyFans. Jak donosi „Forbes”, w sześć godzin zarobiła milion dolarów na rozbieranych zdjęciach. Dziś miliony ludzi robią to samo, a miliardy płyną szerokim strumieniem do samotnych sypialni. Intymność stała się walutą wymieniającą jak dolar.

To nie tylko skrajne przypadki – seksualizacja jest wszechobecna. Dziewczęta pod instagramową presją wyglądu częściej cierpią na depresję, zaburzenia odżywiania, tracą poczucie własnej wartości. To nie jest wolność. To inny rodzaj zniewolenia.

Albo pornografia i kompulsywna masturbacja młodych mężczyzn. Mem kpi: „Jezus, Król Wszechświata i powiatu makowski, interesuje się tym, co robisz rękami pod koldrą?”. Ta kpina splaszca cywilizacyjną mądrość: uczyć panowania nad popędem, wychowywać do relacji, w których seks nie jest samotnym nawykiem, lecz fundamentem więzi.

Zamiast tego mamy epidemię. Chłopcy godzinami przewijają porno, ucząc się nie cierpliwości, nie rozmowy, lecz natychmiastowej gratyfikacji. Pokolenie mężczyzn z telefonami w dłoniach, bez odwagi, by spojrzeć kobiecie w oczy.

Byung-Chul Han pisał, że społeczeństwo transparentności niszczy eros, bo tam, gdzie nie ma zasłony, nie ma też pożądania. Gdy nie ma wstydu, napięcia, tajemnicy, jest tylko konsumpcja. Dzisiejsza kultura, która wyśmiewa

tabu, stworzyła ludzi wiecznie obnażonych, rzuconych na żer lajkom i własnym popędem.

Eros jak dżin z butelki

Argument tradycjonalistów brzmi: liberalno-lewicowa kultura jest wobec tych zjawisk bezradna. Potrafi tworzyć całe kodeksy norm dotyczących Innego: #MeToo rozpisuje precyzyjnie, czego nie wolno powiedzieć i jak nie wolno spojrzeć. Wobec cudzych granic jesteśmy hipermoralistami. A wobec siebie? Nihilistami? Granice wobec Innego są święte, własne granice nie istnieją. Każdy z nas dzisiaj to takie małe, seksualne Schengen. Może i na tym terenie warto przywrócić kontrolę?

Lewica zrzuca winę za rozpisanie na kapitalizm. To przecież on zamienił seks w miliardowy przemysł. Przecież kapitalizm przez wieki był purytański. Jego etos – od Webera po wiktoriańską Anglię – traktował popęd jako zagrożenie, nie towar. To rewolucja seksualna lat sześćdziesiątych – dziecko lewicy – zdjęła z seksualności gorset tabu i wypuściła erosa jak dżina z butelki. A kapitalizm zrobił to, co robi najlepiej: natychmiast zaczął go sprzedawać. Lewica zalegalizowała towar, więc rynek rozpoczął dystrybucję. I dziś obraca ciałami i emocjami szybciej niż paczkami na Amazonie.

Dlatego nie wystarczy wzdychać nad ze-psutym kapitalizmem. Potrzebna jest kontrrewolucja w obronie wstydu, mówi prawica. Nie jako średniowiecznych kajdan, lecz jako tarczy godności. Wstydu, który mówi: nie wszystko należy wystawić na widok publiczny. Bo wstyd nie zabijał erosa. To brak wstydu go zabił. Pokolenie, które wyśmiało spowiedź, dziś spowiada się z każdej intymności na TikToku i coraz rzadziej potrafi normalnie się kochać.

Edukacja zdrowotna uczy, jak nie stać się ofiarą napaści seksualnej w sieci i w życiu.

To ważne, ale to wciąż walka z wrogiem zewnętrznym. A co z zagrożeniem, które siedzi w środku nas? Wspomniany Byung-Chul Han w „Topologii przemocy” pisze: dziś nie potrzebujemy oprawcy, bo sami stajemy się swoimi oprawcami. Eksploatujemy własne ciała i pragnienia, myśląc to z wolnością. Zagrożenie nie przychodzi już z ulicy czy z ekranu, lecz z najgłębszych zakamarków naszych pragnień.

Religia próbowała z tym walczyć. Topornie, traumatycznie: wstyd, grzech, czystość jako nakaz. To działało jako hamulec wewnętrzny, choć często zabijało radość życia. Dziś ten głos sumienia jest coraz cichszy. Etyka świecka pilnuje, by nie skrzywdzić innych. A co z krzywdą wyrządzaną sobie?

Wstyd to coś wartościowego

Lewica ma rację: tłumienie seksualności rodzi patologie. Prawica ma rację: rozbuchana seksualizacja niszczy więzi.

Ale zamiast szukać środka, wolimy się wyzywać. A problem istnieje, dostrzega go i Watykan, i UNICEF. Wolność seksualna bez hamulców bywa równie opresyjna, jak dawny katechizm.

Dziś rewolucją nie jest bezpruderyjność, ale zdolność, by powiedzieć: „Tego nie pokazuję ani nie robię”. Odzyskanie religijnego wstydu w wersji świeckiej – a więc rozumienie intymności jako przestrzeni chronionej – jest ważne w kulturze, która wystawia człowieka na sprzedaż i na pastwę jego emocji.

Czy edukacja zdrowotna nauczy, że wstyd to coś wartościowego czy nomen omen wstydlowego? Zagrożenia seksualności program radzi omawiać na podstawie policyjnych materiałów o cyberbezpieczeństwie. Słusznie, ale gdzie ta policja ma przyjechać, by rozwiązać dyskutowany tu problem? Na Instagram? Może gdyby rozumieć konserwatywną krytykę w tym duchu, a nie przez epitety Czarnka, łatwiej by było obu stronom się dogadać. ●

PRZYJEŹDZAJCIE. ALE CZY ZEWSZĄD?

Przestępczość migrantów i różnice kulturowe to nie „prawicowy mit”. Tylko jak o tym rozmawiać?



FOT. ROBERTO VIGLIANI/PA/ABACA/PAP

• Port w Katanii na Sycylii. Autobus z migrantami z Afryki, których kilka dni wcześniej wyłowili z morza statek włoskiej marynarki wojennej (27.04.2023)

Małgorzata Tomczak

Polska dyskusja o migracji toczy się od inby do inby – po aferze wizowej i dezinformacji wokół „relokacji” i unijnego paktu o migracji, mieliśmy awantury o Centra Integracji Cudzoziemców, a ostatnio – o sztuczny „kryzys” na granicy polsko-niemieckiej i serię antymigracyjnych demonstracji pod marką i z twarzą Roberta Bąkiewicza. Równolegle z rozwojem tych afer – w większości przehisteryzowanych – rozkręca się nagonka na mieszkających w Polsce Ukraińców i Ukrainki. Największe wyzwanie integracyjne, którym politycy realnie powinni się zajmować, sprowadzone zostało do populistycznego festiwalu, w którym skrajna prawica ściga się z rządzącymi o głosy coraz bardziej antymigranckiego elektoratu.

Jednym z lejtmotywów tego wyścigu jest przestępczość. Przez lata dyskusja o jej związku z migracją była raczej fantomowa – toczona za pomocą lęków importowanych z Europy Zachodniej i przy praktycznej nieobecności samych migrantów w Polsce. Jednak od kilku lat imigracja zarobkowa do Polski rośnie, a wraz z tym naturalnie pojawia się coraz więcej doniesień o przestępstwach popełnianych przez cudzoziemców. Na początku roku media rozpisywały się o brutalnych rozbojach i kradzieżach, za którymi stały gruzińskie gangi.

W czerwcu i lipcu opinię publiczną poruszyły dwa zabójstwa dokonane przez migrantów z Kolumbii i Wenezueli.

W ślad idą polityczne deklaracje o „walce z przestępczością z importu”. Oraz działania – masowe deportacje gruzińskich przestępców, ale też i kuriozalne wydalenie z Polski 18-letniej Ukrainki, która na koncercie białoruskiego rapera Maxa Korzha

w Warszawie popełniła wykroczenie, przeskakując barierkę. W ostatnich tygodniach zapowiedziano też zaostrzenie polityki wizowej dla migrantów z Kolumbii, Wenezueli, Gruzji i Armenii.

Jednocześnie klimat wokół imigrantów przybiera już formy pogromowe. Po protestach przeciwko tworzeniu Centrów Integracji Cudzoziemców i „polowaniu na migrantów” przy granicy z Niemcami, w połowie lipca przez Polskę przetoczyła się fala demonstracji pod hasłem: „Stop imigracji!” organizowanych przez Konfederację i prawicowych bojówkarzy.

Nie jesteśmy jedyni: w tym samym czasie demonstracje przeciwko migrantom wybuchły w kolejnych miastach Wielkiej Brytanii oraz w Hiszpanii, która w Europie za kraj przyjazny wielokulturowości. Na Wyspach atakowano centra dla cudzoziemców, a w Hiszpanii skrajnie prawicowi bojówkarze skrzykiwali się na Telegramie na „polo-

wania na migrantów”, by potem demolować kebaby i napadać na ludzi na ulicy.

Protesty w dużej mierze koordynowały skrajnie prawicowe grupy, ale jedną z isker zapalnych, podobnie jak w Polsce, były przestępstwa dokonane przez migrantów: w Wielkiej Brytanii ubiegający się o azyl Etiopczyk dopuścił się trzech napaści seksualnych tuż po przyjeździe do kraju, w Hiszpanii trzech migrantów z Afryki Północnej ciężko pobiło emeryta.

Wokół związku migracji z przestępczością ukształtowały się dwa główne przekazy:

• ten napędzany przez skrajną prawicę, demonizujący i dehumanizujący cudzoziemców, a jednocześnie sugerujący, że „mainstreamowe elity” – partie centrowe i lewicowe oraz główne media – bagatelizują i ukrywają problem.

• ten uspokajający, tworzony w defensywie do prawicowego straszenia, obierający sobie za cel „walkę z ksenofobiczną dezinformacją”.

I głoszący równie czarno-białą tezę, że migranci nie zwiększają przestępczości; to tylko agresywna, prawicowa propaganda, a ulegające jej społeczeństwo należy na ten temat „edukować”.

Na początku musimy bardzo wyraźnie zaznaczyć: **w Polsce poziom przestępczości wśród migrantów jest wyjątkowo niski.**

Nie potrzebujemy uspokajających narracji, wystarczająco polityczne statystyki:

od 2005 roku liczba wszystkich przestępstw zmniejszyła się trzykrotnie, a w ostatniej dekadzie odsetek cudzoziemców podejrzanych o popełnienie przestępstwa spadł z 1,45 do 0,65 proc. i jest niższy od średniej krajowej (0,76).

Poniżej średniej są też odsetki przestępczości największych diaspor – Ukraińców (0,65 proc.) i Białorusinów (0,37 proc.) – a mogą być jeszcze niższe, bo liczba cudzoziemców jest zapewne niedoszacowana.

W 2024 roku migranci stanowili mniej więcej 5 proc. podejrzanych o wszystkie przestępstwa, czyli mniej, niż wynosi ich udział w populacji Polski – 7 proc.

Polacy (93 proc. społeczeństwa) odpowiadali za 95 proc. przestępstw.

Wniosek jest jednoznaczny – to „swoi”, a nie „obcy”, są nadreprezentowani w statystykach przestępczości. Inaczej mówiąc: to przeciętny Polak łamie prawo częściej niż przeciętny migrant.

Wyjątkiem są Gruzini: stanowią 1-1,6 proc. wszystkich obcokrajowców, ale odpowiadają za 11 proc. przestępstw w tej grupie, a ich odsetek przestępczości (4-7 proc.) znacznie przewyższa średnią zarówno wśród migrantów, jak i w całej populacji Polski.

Są różne hipotezy, skąd taki stan rzeczy. Najczęściej mówi się o specyficznych formach brutalnej, hierarchicznej zorganizowanej przestępczości wywodzącej się z kryminalnej kultury sowieckiej – „wory w zakonie”, czasem o jej „eksportowaniu” do Europy przez Rosję w ramach wojny hybrydowej.

Wyzwaniem może być ruch bezwizowy (który zgodnie z zapowiedziami polityków ma być ograniczony), ale poza tym wygląda to raczej na wyzwanie dla służb niż systemowy problem polityki migracyjnej.

Podsumowując: przestępczość cudzoziemców maleje mimo rosnącej migracji do Polski. Poważne przestępstwa migranci popełniają incydentalnie, w polskich miastach nie ma niebezpiecznych przedmieść, stref no-go i dzielnicowych gett. Powszechnym zjawiskiem nie są bitwy między migrantami a policją, ataki nożowników, zamachy terrorystyczne ani zbiorowe doświadczenia seksualnych ataków w przestrzeni publicznej.

Jednak o ile „fakty kryminologiczne” z Polski są uspokajające, to **te z Europy Zachodniej pokazują zupełnie inny obraz.**

We Francji cudzoziemcy (nie wliczając osób o podwójnym obywatelstwie) to mniej więcej 7,8 proc. populacji, a w 2023 roku odpowiadali za 17 proc. wszystkich przestępstw.

Mamy więc ponaddwukrotną nadreprezentację względem udziału w populacji, a w niektórych kategoriach przestępstw jeszcze większą – cudzoziemcy stanowili:

38 proc. podejrzanych w przypadku włamań, 31 – w napadach bez użycia broni, 17 – w zabójstwach, 13 – w przestępstwach seksualnych, przy czym te ostatnie dotyczą przestępstw już rozwiązanych, nie tylko zgłoszonych.

Obcokrajowcy odpowiadali też za mniej więcej połowę wszystkich przestępstw popełnionych w Paryżu i Marsylii.

W 2024 roku co czwarty osadzony w więzieniu był cudzoziemcem. Najliczniejszą grupę stanowili Algierczycy, Marokańczycy, Tunezyjczycy i obywatele różnych krajów Afryki Subsaharyjskiej. Odsetki osób wszystkich tych narodowości w stosunku do liczebno-

ści ich populacji znacznie przewyższają te dla obywateli Unii Europejskiej.

W Hiszpanii cudzoziemcy – ok.13,5 proc. populacji – stanowili w 2023 r. 31,4 proc. wszystkich osadzonych w więzieniach – to znowu ponaddwukrotna nadreprezentacja.

- Marokańczycy (2,2 proc. populacji Hiszpanii) to 5,5 proc. wszystkich osadzonych;
- Kolumbijczycy – 1,76 proc. w ogólnej populacji i 2,9 proc. wśród więźniów;
- Rumuni – 1,09 proc. populacji i 2,3 proc. więźniów,
- Algierczycy – 0,18 populacji i 2,1 osadzonych.

Obcokrajowcy byli też nadreprezentowani w kradzieżach z użyciem przemocy, przestępstwach na tle seksualnym i włamaniach.

W Barcelonie obcokrajowcy odpowiadali za ok. 70 proc. wszystkich przestępstw i 2/3 zatrzymań w związku z handlem narkotykami – z zastrzeżeniem, że w dużych miastach odsetek cudzoziemców jest znacznie wyższy, w Barcelonie ponad 25 proc. mieszkańców to migranci.

Ostatnie publicznie podane dane o zabójstwach pochodzą z 2018 roku i wtedy migranci odpowiadali za ponad 1/3 rozwiązanych przypadków. Są też ogromnie nadreprezentowani w kategorii „zabójstwo partnerki” – w latach 2023-25 stanowili od 38 do 50 proc. sprawców w tej kategorii.

W Niemczech cudzoziemcy stanowią ok. 15 proc. populacji, a ich odsetek wśród osób podejrzanych o przestępstwa stale rośnie – w 2020 roku wynosił 33,7 proc., w 2022 – 37,4, a w 2024 – 41,8.

Kryminolodzy często podkreślają, że na te statystyki trzeba brać dwie poprawki:

1. część przestępstw dotyczy stricte naruszenia prawa migracyjnego (lewe papiery, nielegalny wjazd itp.);
2. kategoria „obcokrajowiec” uwzględnia nie tylko migrantów, ale też turystów i osoby, które przybyły do Niemiec specjalnie w celach przestępczych.

Skorygujmy więc te liczby: po odjęciu naruszeń prawa azylowego i pobytowego migranci stanowią 35,4 proc. podejrzanych. Po odjęciu cudzoziemców bez stałego adresu w Niemczech odsetek spada do 30,8 proc. Jest mniejszy – ale wciąż dwukrotnie wyższy niż udział migrantów w populacji Niemiec.

Dodatkowo liczba przestępstw z użyciem przemocy wzrosła w 2024 r. w porównaniu z poprzednim rokiem o 1,5 proc. Za wzrost odpowiadają obcokrajowcy – odsetek podejrzanych Niemców wzrósł o 0,7 proc., a podejrzanych cudzoziemców – o 7,5.

W kategoriach przestępstw z użyciem przemocy nadreprezentowani są Algierczycy (18 razy bardziej niż Niemcy), Tunezyjczycy (10 razy), Marokańczycy (8 razy), Gruzini i Afgańczycy (4 razy w). Ponad 2,5 raza więcej przestępstw w stosunku do udziału w populacji popełniają także Polacy.

W przypadku „gwałtów i najcięższych przestępstw seksualnych” „pierwsza dziesiątka” wygląda podobnie – Algierczycy popełnia-



• **Wiec „Broń uchodźców: zatrzymaj skrajną prawicę”, zorganizowany 9 sierpnia w Liverpoolu w ramach kampanii Stand Up To Racism, skierowanej przeciwko rasizmowi, faszystom, islamofobii i antysemityzmowi**

FOT. TEMILADE ADELAJA/ REUTERS

ją je 21 razy częściej, Tunezyjczycy – 14 razy, Marokańczycy – 10 razy, Afgańczycy – 6 razy, Syryjczycy – 3 razy, Polacy – 1,6 razy częściej niż Niemcy.

W kategorii zabójstw pojawiają się te same narodowości – na pierwszym miejscu są przybysze z Afryki Północnej, potem – z Afganistanu i Gruzji. Polacy, Turcy, Syryjczycy i Rumuni. Dokonują zabójstw 4 razy częściej niż Niemcy.

Spójrzmy jeszcze na podgrupę migrantów azylowych – czyli osób aktualnie w procedurach azylowych, ze statusem uchodźcy lub pobytu tolerowanego.

Oni w 2022 roku stanowili 3,6 proc. populacji, a odpowiadali za 7,4 proc. przestępstw; w ubiegłym roku te odsetki wzrosły odpowiednio do 3,9 i 8,8 proc., już po odjęciu przestępstw związanych stricte z migracją.

Migranci azylowi odpowiadali też za 11,6 proc. gwałtów i najcięższych przestępstw seksualnych, za 11,2 proc. zabójstw i 9,1 proc. przestępstw z użyciem przemocy. Co ważne, we wszystkich tych kategoriach wskaźniki wzrosły w stosunku do poprzedniego roku, a najbardziej wśród Afgańczyków, Syryjczyków i Turków.

W Europie Zachodniej, a zwłaszcza w Niemczech, publikuje się wiele złożonych analiz, które mają wyjaśniać wzrost przestępczości. Takich debat dziś w Polsce nie mamy – głównie dlatego, że nie ma czego wyjaśniać, statystyki są jednoznaczne.

Zadziwiające jest jednak, że w Europie Zachodniej, mimo odwrotnych wniosków płynących ze statystyk, osi narracji ekspertów i głównych mediów jest przekonywanie, że „migracja nie zwiększyła przestępczości”. Nie mówimy o kilku czy kilkunastu artykułach, ale o setkach tekstów, które ukazują się w me-

diach takich jak Deutsche Welle, „FAZ”, „Die Zeit”, „Süddeutsche Zeitung”, „The Guardian”, „The Independent”, Reuters, „Le Monde” czy „El País”, w serwisach factcheckingowych typu Politifact czy Eurofactcheck i pomniejszych portalach w rodzaju Infomigrants.net.

Niezależnie od tego, kiedy się ukazywały:

- czy w kryzysowym roku 2015, gdy do Europy ciągnęła fala uchodźców z ogarniętego wojnami Bliskiego Wschodu i Afryki, a skutki tej wielkiej migracji do Europy nie były jeszcze znane;
- czy dwa-trzy lata później, gdy statystyki ministerialne już wyraźnie pokazywały wzrost przestępczości i nadreprezentację wśród migrantów;
- czy w roku 2024, gdy o problemie przestępczości głośno mówili już politycy lewicy, nawet promigracyjnych niemieckich Zielonych – standardowy tytuł takiego artykułu brzmiał: „Badania pokazują, że migracja nie zwiększyła przestępczości” czy „Obalamy prawicowe mity o przestępczości migrantów”.

Czy to analizy publicystyczne, czy opisy badań lub komentarze kryminologów i socjologów, argumentacja jest zawsze podobna: „Prawica twierdzi, że migracja zwiększa przestępczość. Pokazujemy, że jest zupełnie inaczej”. Ponieważ według statystyk „zupełnie inaczej” jednak nie jest, to narracja ta budzi coraz większą konfuzję i poczucie dużej części opinii publicznej, że „elity” manipulują.

A czy manipulują? Niestety, tak.

Część tej narracji opiera się na pustych, wyższościowych argumentach o „uleganiu panice moralnej wokół Innego” i „zaczadzeniu ultrapravicową narracją” z tradycyjną z domieszką klasizmu („niewykształceni, czerpią wiedzę z TikToka, nie mieli wcześniej kontaktu z cudzoziemcami”).

W eksperckim dyskursie często pada argument „z autorytetu”: „Panuje naukowy konsensus, że migracja nie zwiększa przestępczości”.

Sęk w tym, że ów konsensus pochodzi głównie z publikacji amerykańskich, gdzie prowadzono wiele przekrojowych badań. W USA, podobnie jak w Polsce, migranci faktycznie popełniają mniej przestępstw, więc statystyki są

do 0,65

• PROC. Z 1,45 PROC.
spadł w ostatniej dekadzie odsetek cudzoziemców podejrzanych o przestępstwa i jest niższy od średniej krajowej (0,76 proc.)



spójne z eksperckimi analizami. Podpieranie się nimi w debacie europejskiej – gdzie charakter i struktura demograficzna migracji są zupełnie inne – nie ma sensu.

Nagminnie podkreśla się też, że część przestępstw dotyczy stricte prawa migracyjnego, a statystyki zawyżają turyści i przejezdni. Jednak nawet po uwzględnieniu tych czynników przeciętny migrant wciąż popełnia dwukrotnie więcej przestępstw niż Niemiec.

Innym argumentem jest rola profilowania – większej aktywności policji w dzielnicach typowo migranckich i skłonności do zgłaszania przestępstw, w których sprawcą jest migrant.

To wszystko smutna prawda, ale nie tłumaczy wyjątkowej nadreprezentacji pewnych narodowości (czy przeciętny zgłaszający odróżnia Algierczyka od Irakijczyka? Lub Afgańczyka od Pakistańczyka?) ani wysokiego odsetka migrantów w przestępstwach, których zgłaszać nie trzeba, bo są ścigane z urzędu.

Prawica lubi miotać wielkimi liczbami wyjętymi z kontekstu, ale lewicowe analizy dokonują innej sztuczki: eksponują liczby bezwzględne, pokazując, że to rodzima populacja popełnia nominalnie więcej przestępstw niż migranci.

To manipulacja, bo jest oczywiste, że znacznie większa grupa (np. Niemcy czy Hiszpanie stanowiący 85-87 proc. populacji) zawsze popełni najwięcej przestępstw.

Przykładowo „Süddeutsche Zeitung” przekonywało w artykule z 2023 roku, że „wzrost liczby przestępstw z użyciem noża nie ma związku z migracją, bo wśród sprawców jest podobny odsetek Niemców, co cudzoziemców”. Niemiecka Rada Mediów skrytykowała artykuł, stwierdzając, że nieuwzględnienie znacznie niższego odsetka migrantów w całej populacji – a więc tego, że popełniają te przestępstwa znacznie częściej – naruszyło dwa paragrafy kodeksu prasowego: obowiązek dbałości o fakty i zachowania należytej staranności.

Gdy statystyki są już tak wymowne, że trudno z nimi dyskutować, dyskurs ekspercko-medialny w Europie Zachodniej idzie w stro-

Polskie statystyki policyjne są przytaczane jako solidny dowód na niską przestępczość wśród migrantów. Gdy z danych w Hiszpanii i Niemczech płyną wnioski wprost przeciwnie, statystyki stają się „dowodem niewystarczającym”, którzy potrzebuje „zniuansowania”

nę argumentacji, że „choć migranci popełniają relatywnie więcej przestępstw, to „nie ma to związku z migracją”, ale „z innymi czynnikami”.

Często cytowany profesor kryminologii Christian Walburg z Uniwersytetu w Munster od lat tłumaczy wzrost przestępczości demografią i warunkami społeczno-ekonomicznymi: większość migrantów z Afryki i Bliskiego Wschodu to młodzi mężczyźni, a ta grupa ma najwyższy wskaźnik przestępczości we wszystkich społecznościach.

„To zniekształca statystyki i zaciemnia perspektywę”, tłumaczy Walburg w portalu InfoMigrants.net. „Ponadto imigranci są szczególnie podatni na szereg problemów społecznych: brak wykształcenia, bezrobocie, doświadczenie przemocy w przeszłości. Im bardziej uwzględnia się te wszystkie czynniki, tym bardziej zaciera się różnica między Niemcami a migrantami”.

Inną chętnie cytowaną ekspertką jest profesor Gina Wollinger z Instytutu Kryminologicznego Dolnej Saksonii, która wyjaśnia, że „pochodzenie migrantów nie ma znaczenia, gdy weźmie się pod uwagę czynniki, takie jak: ich wykształcenie, status społeczno-ekonomiczny, fakt, że doświadczyli przemocy w przeszłości, oraz dominujące w ich społecznościach normy męskości, które mogą legitymizować przemoc”.

W publikacji think tanku Institute for Economics & Peace przeczytamy zaś, że „nadreprezentacja uchodźców w statystykach przestępstw seksualnych wynika z tego, że ich profil demograficzny działa na ich niekorzyść”.

Tuż przed lutowymi wyborami do Bundestagu, gdy w Niemczech toczyła się burzliwa dyskusja wokół ataków dokonywanych przez migrantów, media obiegała informacja o wynikach badań monachijskiego Instytutu Badań Ekonomicznych (ifo). „Badanie potwierdza, że migracja do Niemiec nie zwiększyła przestępczości”, głosił tytuł informacji prasowej instytutu, który przedrukowały największe media. W omówieniach mogliśmy przeczytać, że „obała ono populistyczne tezy prawicy o przestępczości migrantów”.

Jednak wystarczy wczytać się w te prace, by zobaczyć, że ich autorzy potwierdzają to, co wynika z policyjnych statystyk – przestępczość wśród migrantów jest znacznie wyższa niż wśród Niemców, a niektóre grupy są wyjątkowo nadreprezentowane.

Badacze podkreślają jedynie, że przestępczości nie zwiększa migracja *per se* – co jest pełnym banałem, bo wiadomo, że do łamania prawa nie predestynuje fakt zmiany miejsca zamieszkania – tylko określone cechy konkretnych grup i warunki środowiskowe. Słowem, badania, które prezentuje się opinii publicznej jako „obałające” związek migracji z przestępczością, w istocie go potwierdzają.

W samym raporcie ifo, powszechnie dziś cytowanym jako „dowód na brak związku migracji z przestępczością”, przeczytamy, że choć wśród migrantów stopa przestępczości wynosi 57 na 1000 mieszkańców, a wśród Niemców – 19 na 1000, wynika to nie z ich pochodzenia, ale z czynników demograficznych (wiek, płeć) oraz ekonomicznych, takich jak bezrobocie.

00
00

• PROCENT
podejrzanych w przypadku włamań
we Francji to cudzoziemcy

Poza tym argumentowanie, że „to nie migracja, tylko określone cechy pewnych migrantów” ukrywa ewidentny związek przyczynowo-skutkowy – właśnie te cechy są bezpośrednio związane z pewnymi modelami migracji. Jeśli migracja jest masowa, to częstotliwość występowania tych cech w populacji znacząco się zwiększa.

Najwięcej przestępstw popełniają młodzi mężczyźni – i to jest właśnie profil większości osób migrujących nielegalnie do Europy, bo takim osobom najłatwiej jest przeżyć niebezpieczną podróż i potem podjąć pracę, by z daleka wspierać rodziny.

To, że migrują osoby niewykształcone, biedne i mające potem trudności z adaptacją, wynikało w ostatniej dekadzie z polityki migracyjnej Niemiec, które stworzyły korzystne warunki dla migracji nieregularnej, a więc nieselektywnej – m.in. duże wsparcie socjalne i możliwość pozostania w kraju, niezależnie od spełnienia jakichkolwiek warunków.

Wysoką przestępczość migrantów z Afryki Północnej tłumaczy się często tym, że migrują nielegalnie, więc nie mają szansy na uregulowanie pobytu i nie udziela im się ochrony, w przeciwnieństwie do Syryjczyków czy Afgańczyków. Bez dostępu do rynku pracy, pomocy społecznej i wsparcia integracyjnego częściej wpadają w szarą strefę, a jednocześnie są bardziej skłonni do ryzyka, bo mają mniej do stracenia niż uchodźcy, którym złamanie prawa przekreśliłoby szansę na legalny pobyt i sprowadzenie do Europy rodziny.

Wielu badaczy jak mantrę powtarza też slogan o „braku wpływu pochodzenia i różnic kulturowych na przestępczość”, jednocześnie przyznając, że niektóre przestępstwa, na przykład seksualne lub cechujące się wyjątkową brutalnością, są powiązane z wcześniejszymi doświadczeniami przemocy i jej legitymizacją w niektórych kulturach oraz z niższym statusem kobiet. Te erystyczne fikołki wynikają z obawy przed stygmatyzowaniem całych społeczności, ale budzą podejrzenia o brak logiki i manipulację.

Na rolę czynników kulturowych całkiem otwarcie wskazuje natomiast Frank Urbaniok, szwajcarski profesor psychiatrii sądowej, który w niedawnym wywiadzie dla „FAZ”

omawiał dużą nadreprezentację migrantów z Afryki Północnej, Bliskiego Wschodu i Europy Wschodniej w przestępstwach seksualnych i z użyciem przemocy.

Szwajcar krytykował sprowadzanie argumentacji do roli demografii – z jego analiz zestawiających statystyki niemieckie, austriackie i szwajcarskie (zarówno podejrzanych, jak i skazanych) wynikało, że nawet po uwzględnieniu poprawki na wiek i płeć cudzoziemcy wciąż odpowiadali za niemal pięciokrotnie więcej rozbojów i czterokrotnie więcej napaści z użyciem przemocy.

Wykluczenie i bieda również mają znaczenie, ale nie wyjaśniają wszystkiego – nawet w wyodrębnionej grupie „migrantów o najniższym statusie społeczno-ekonomicznym” cudzoziemcy z Afryki Północnej popełniali wciąż kilkukrotnie więcej przestępstw niż Wietnamczycy, Indonezyjczycy czy Hindusi.

Te wyniki Urbaniok tłumaczy właśnie wzorcami kulturowymi: społeczną legitymizacją przemocy jako środka do osiągnięcia celów, utożsamianiem brutalności z męskością i siłą, postrzeganiem kobiet jako osób o niższym statusie, niską kulturą praworządności i radykalnymi przekonaniem religijnymi.

Jednak z jego badań wynika także to, że u części przestępców takie wzorce kulturowe korelowały z indywidualnymi czynnikami ryzyka: brawurą, skłonnością do ignorowania reguł, wyższym poziomem agresji i tendencją do usprawiedliwiania swoich przemocowych działań.

Analizy takie jak Urbanioka pojawiają się w mainstreamowej debacie w Niemczech dopiero od niedawna i jeszcze kilka lat temu byłoby nie do pomyślenia: łączenie przestępczości z migracją, a zwłaszcza ze wzorcami kulturowymi, było domeną prawicy.

Przyczyn, dla których lewica, media i duża część akademii, problem cudzoziemskiej przestępczości umniejszały, jest wiele: prywatne światopoglądy, autocenzura i środowiskowy konformizm, chęć zajęcia moralnie właściwej pozycji w obliczu rosnących nastrojów antymigracyjnych, a także mocne ukierunkowanie badań nad migracją na ukazywanie jej „pozytywnych aspektów”.

Ten ostatni aspekt porusza Ruud Koopmans, niemiecko-holenderski socjolog, który kieruje badaniami nad migracją i integracją w Berlińskim Centrum Nauk Społecznych.

Jego zdaniem badań nad negatywnymi skutkami migracji do Europy prowadzi się po prostu niewiele, bo nie sprzyja temu ani środowiskowy *left-wing bias*, ani oferta grantowa: wiele badań finansują największe niemieckie fundacje korporacyjne, a w interesie biznesu jest lobbing za zwiększaniem imigracji, nie zaś dyskutowanie o związanych z nią zagrożeniach. Fundacje biznesowe w Niemczech prowadzą cały wachlarz takich działań – między innymi „portale dla dziennikarzy promujące pozytywne narracje o migracji”.

Ale często przyczyny tej zamaćonej dyskusji są trywialne: badacze formułują wnioski ostrożnie, czy to z konformizmu, czy ze szlachetnego lęku przed dalszą stygmatyzacją grup, które i tak są już na celowniku pra-

wicy. Dziennikarze i publicyści to dodatkowo splaszczą i tak ze zniuansowanej tezy, że „na przestępczość nie wpływa sama migracja, tylko konkretne cechy migrantów”, zostaje nagłówek: „Migracja nie zwiększa przestępczości”. Autorzy takich tekstów cytują się nawzajem, tworząc samoafirmacyjną pętlę, w której „kolejna analiza przeczy prawicowym doniesieniom”.

Do społecznego zaangażowania dziennikarzy, którzy mają i swoje poglądy, i misję, dodajmy jeszcze totalną polaryzację tematu i plemienny imperatyw „obalenia narracji drugiej strony”. W walce o jedyną słuszną prawdę nie ma miejsca na przyznanie, że przeciwnik miał chociaż trochę racji – zwłaszcza jeśli to racja potencjalnie „szkodliwa”.

Przykładem ostatnia dyskusja o przestępczości w Hiszpanii. Krzysztof Bosak, powołując się na statystyki penitencjarne i ich zeszłoroczne omówienie w dzienniku „El País”, powiedział, że „migranci w Hiszpanii popełniają ponad dwa razy więcej przestępstw niż Hiszpanie”. Słowa współlidera Konfederacji wziął na warsztat portal Demagog.pl, oceniając, że narodowiec dopuścił się manipulacji – bo choć podał prawdziwe dane, to pominął cały przedstawiony w „El País” kontekst, który je tłumaczył. Następnie analizę Demagoga omówiła posłanka Dorota Olko w opublikowanym w serwisach społecznościowych nagraniu „Jak prawica przekłamuje dane, by szczerzyć na migrantów”.

Demagog.pl i Olko podkreślali – za „El País” – że choć cudzoziemcy są znacznie nadreprezentowani wśród więźniów, to nie świadczy to o wpływie migracji na przestępczość i może wynikać z innych czynników – na przykład gorszego dostępu do pomocy prawnej oraz faktu, że wśród skazanych mogą być też turyści i osoby przybywające do Hiszpanii celowo, by popełnić tam przestępstwo, choćby przemycnicy.

Problem w tym, że choć dane posłużyły oczywiście do demonizowania migrantów, to ich przytoczenie trudno uznać za manipulację, a tym bardziej za „przekłamanie”. To raczej omawiany artykuł w „El País” jest podręcznikowym przykładem rozmiękczenia problemu – o ile argument o gorszym dostępie do pomocy prawnej jest słuszny, o tyle sugerowanie, że za statystykami skazanych cudzoziemców w Hiszpanii mogą stać turyści i przejezdni, brzmi mocno wątpliwie.

W hiszpańskich więzieniach znacznie nadreprezentowani są Marokańczycy, Algierczycy, Rumuni i Kolumbijczycy, czyli przedstawiciele głównych diaspor migranckich, a nie Brytyjczyści czy Niemieccy turyści. Po odjęciu Rumunii oraz Bułgarii – z której do Hiszpanii przyjeżdżają również głównie migranci, a nie turyści – odsetek osadzonych obywateli Unii wśród cudzoziemców wynosi 2-3 procent (z powodu niskiej liczebności brakuje danych o Brytyjczykach). O transgranicznej mobilności grup przestępczych danych brakuje, ale wiadomo, że największe gangi opierają się na społecznościach migranckich z Ameryki Łacińskiej i Maghrebu.

Poza tym musimy się chyba zdecydować, czy wierzymy statystykom policyjnym, czy nie. Te polskie były powszechnie przytaczane jako solidny dowód – również przez Demagoga – na niską przestępczość wśród migrantów. Gdy z danych w Hiszpanii i Niemczech płyną wnioski wprost przeciwne – a hiszpańskie są dokładniejsze, bo pokazują odsetki skazanych – statystyki nagle stają się „dowodem niewystarczającym”, a ich przytoczenie bez „zniuansowania” może być wręcz „manipulacją”.

Oczywiście, na dane trzeba brać rozmaite poprawki, ale część z nich – jak ta o zacytowaniu statystyk przez turystów i przejezdnych – jest po prostu naciągana. W Hiszpanii przeczą temu dane o narodowości więźniów, a w Niemczech odsetek turystów i nie-rezydentów, który wśród cudzoziemskich

Bezradność lewicowej narracji wobec zagrożeń związanych z migracją jest jednym z czynników napędzających prawicę. Uparte rozmiękczenie namacalnych problemów tylko wzmacnia wiarę, że prawdę usłyszymy tylko od „niepoprawnej” Konfederacji i AfD

przestępców jest niewielki. No i przy odrobinie złości mogliśmy też argumentować „na drugą nóżkę” – statystyki mogą być zaniżone, bo część migrantów mogła już uzyskać obywatelstwo (zwłaszcza że pewne grupy nadreprezentowane w obu krajach korzystały ze skróconej ścieżki) i „wypaść” z cudzoziemskich statystyk.

Oczywiście można stwierdzić, że to problem wagi piórkowej. Prawdziwe zagrożenie nie tylko dla samych migrantów, a przy okazji osób odstających wyglądem czy kolorem skóry od arbitralnie określonej „normy”, ale też dla praw kobiet, mniejszości seksualnych, procesów demokratycznych czy wręcz – zważywszy na inspirację rosyjską konserwatywną narracją lub wręcz powiązania z Moskwą – obronności, płynie z nienawistnej narracji skrajnej prawicy. A nawet jeśli „drugiej stronie” zdarzy się nagiąć rzeczywistość, to robi to w szczytnym celu.

To jasne – w ostatecznym rozrachunku tym, co wyrządza większą szkodę, jest ksenofobiczna nagonka, rasistowska retoryka i beczelna dezinformacja, za pomocą której skrajna prawica rozkręca kolejne afery. Sęk w tym, że bezradność lewicowej narracji wobec zagrożeń związanych z migracją jest jednym z czynników tę prawicę napędzających. Nie mówimy tu o betonowym ksenofobicznym elektoracie, ale o przeciętnym centroprawicowcu, „normalsie”, który ma swoje obawy i nie wie, gdzie szukać odpowiedzi. Jeśli problemy stają się coraz bardziej namacalne, to ich uparte rozmiękczenie tylko wzmacnia wiarę, że prawdę usłyszymy tylko od „niepoprawnej” Konfederacji i AfD.

Rok temu popularny polityk niemieckich Zielonych, Cem Özdemir, w gościnnym artykule dla „FAZ” zaapelował do „nazwania rzeczywistości po imieniu” i nieuleganie strachowi, że wykorzystają to prawicowi ekstremiści. Przyznał, że też obawia się „aplauzu ze złej strony debaty”, ale jest przekonany, że skrajną prawicę najbardziej wzmacnia „pomijanie realnych problemów ze strachu i złe pojęte ostrożności”. Partia skrytykowała go za „powielanie prawicowych narracji”.

Możemy spierać się, co miało większe znaczenie: podkręcanie i wyolbrzymianie lęków przez prawicową propagandę, ze wsparciem tej rosyjskiej, czy ich zbagatelizowanie przez oficjalny dyskurs. Na poparcie obu hipotez znajdziemy nawet wiarygodne badania: z raportów Migration Media Services z lat 2020-22 wynika, że niemieckie media od początku kryzysu migracyjnego przedstawiały uchodźców głównie w negatywnym świetle, skupiając się na zagrożeniach, przestępstwach

i kosztach integracji, a zdecydowanie mniej miejsca poświęcając pozytywnym historiom.

Raport Migration Media Services z 2022 roku wskazywał, że media poświęcają do 16 razy więcej uwagi przestępstwom popełnianym przez migrantów niż przez Niemców, zwłaszcza w przypadku poważnych zbrodni.

Natomiast w badaniu Fundacji imienia Otona Brennera z 2017 roku, którego autorzy przeanalizowali kilka tysięcy artykułów opublikowanych w szczycie kryzysu uchodźczego, przeczytamy, że główne media „bezkrytycznie przyjęły linię politycznego mainstreamu”, wchodząc w rolę „społecznych edukatorów” i wywierając moralną presję na obywateli. We wnioskach autorzy piszą, że „prezentowanie kryzysu uchodźczego w nadmiernej moralizatorski sposób przyczyniło się w znacznym stopniu do utraty zaufania do mediów publicznych i wytworzenia się podziałów w społeczeństwie”.

Oczywiście sytuacja w Polsce jest dziś zupełnie inna. Mamy debatę o zdecydowanie skrzywioną na prawo, bez politycznej poprawności, a nawet bez żadnych „bezpieczników”, które trzymałyby ją w jakichś ryzach.

I choć migracja z krajów „odmiennych kulturowo” rośnie, to nic nie wskazuje na to, żebyśmy mieli „powtórzyć błędy Zachodu”. Nie mamy po prostu ku temu warunków: w Polsce nie ma migracji z byłych kolonii i związanych z nią strukturalnego rasizmu i segregacji. A dla migracji azylowej staliśmy się krajem bardzo nieatrakcyjnym – z zamkniętymi granicami, instytucjonalnymi blokadami, niskimi świadczeniami socjalnymi, brakiem diaspor i powszechną ksenofobią.

Mamy jednak inne wyzwania.

118

• KOLUMBIJCZYKÓW zatrzymała w Polsce policja w pierwszym półroczu tego roku.
W całym 2024 roku – 127, w roku 2023 – 22

Pierwsze wyzwanie: bardzo realne zagrożenie wykorzystywania migrantów w przestępstwach zlecanych przez Rosję w ramach działań hybrydowych. Znamy już co najmniej kilka przypadków zatrudniania do „brudnej roboty”, na przykład podpaleń, Gruzinów, Ukraińców i Kolumbijczyka.

Drugie wyzwanie: od kilku lat do Polski przyjeżdża coraz więcej migrantów zarobkowych z Indii, Filipin, Bangladeszu, Nepalu, a ostatnio także z Kolumbii. Wielu z nich pracuje i mieszka w fatalnych warunkach, pada ofiarą nieuczciwych praktyk pracodawców i agencji pracy i jest realnie zagrożonych biedą oraz bezdomnością – a Polska nie oferuje im praktycznie żadnego wsparcia integracyjnego.

Organizacje i prawnicy pomagający Kolumbijczykom przyznają, że w ostatnim czasie do Polski przyjeżdża coraz więcej osób „z problemami” – uciekających przed długami, alimentami czy wyrokami, które wpadają w nieźle już rozwinięte kolumbijskie sieci przestępcze. W ostatnich dniach „Rzeczpospolita” opublikowała policyjne statystyki, które pokazują, że liczba przestępstw popełnianych przez Kolumbijczyków rośnie: w 2023 roku zatrzymano 22 osoby, w 2024 – 127, a w pierwszym półroczu obecnego roku już 118. Większość zatrzymań dotyczyła jazdy pod wpływem alkoholu, ale 12 osób brało udział w bójce (w tym dwie użyły noża), a sześciu odpowie za grupowy gwałt.

Migracja z Kolumbii opiera się na ruchu bezwizowym, więc jest praktycznie niekontrolowana. Nie ma sensu udawać, że nieograniczony przepływ ludzi z kraju z bardzo wysokim odsetkiem przestępczości nie przysporzy problemów, a przestrogi dostarcza Hiszpania, gdzie Kolumbijczycy są jedną z najliczniejszych grup wśród w więzieniach. Tylko że mówienie o tym to ryzyko stygmatyzacji diaspor, której przeważająca większość to ludzie ciężko pracujący i chcący się integrować.

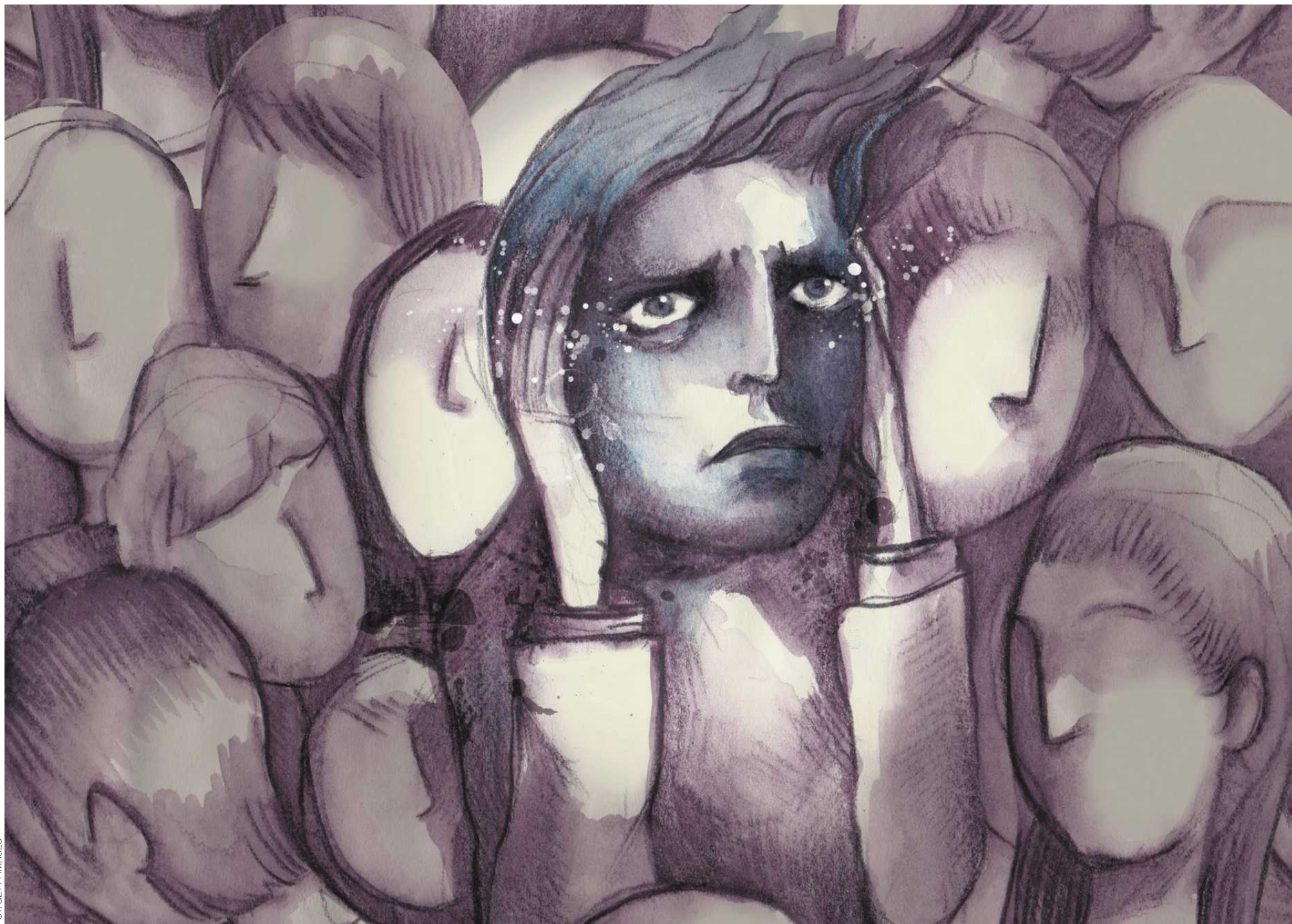
Trzecie wyzwanie – o którym również nie wypada wspominać, zważywszy na tragedię Ukraińców i wciąż niepewny los ich kraju, w dodatku tylko możliwe, ale dziś nieistniejące – może się wiązać z potencjalnym zakończeniem lub zamrożeniem wojny w Ukrainie. Przestępczość wśród uchodźców i gasterbiterów z Ukrainy jest dziś wyjątkowo niska, ale co będzie, gdy za chlebem lub w poszukiwaniu sensu życia zaczną przyjeżdżać do Polski zdemobilizowani żołnierze z doświadczeniem traumy i przemocy? To akurat zagrożenie wydaje się odległe, ale nie jest abstrakcyjne – na to naturalne zjawisko, którego ostatnio, po wojnach w Afganistanie i Iraku, doświadczały choćby Amerykanie, już próbują przygotować się sami Ukraińcy.

Znacznie łatwiej rozmawiałoby się o tym, gdyby nie skrajna prawica. Doświadczenia Europy Zachodniej pokazują jednak, że przemilczanie obaw nie hamuje brunatnej fałi, „odpowiedni moment” nigdy nie następuje, za to klimat wokół migrantów tylko się pogarsza.

Nie ma się też co ludzi – ani prawica skrajna, ani ta do niedawna centrowa, która radykalizuje się, by przytrzymać wyborców, nie zrezygnują z politycznego paliwa, jakie daje antymigrancka narracja. Rosja nie porzuci operacji polaryzujących społeczeństwa, rządy nie zapanują nad dezinformacją w serwisach społecznościowych, a wojen informacyjnych będzie coraz więcej. Mamy natomiast wpływ na to, czy w sprawie migracji ktoś jeszcze uwierzy lewicy, ekspertom i mediom nie-tabloidowym.

Zła wiadomość jest taka, że niestety, trzeba przestać bronić przegranej sprawy – zagrożenia związane z migracją są realne, a problemów, z którymi mierzy się dziś Europa Zachodnia, nie odwróci się zaklinaniem rzeczywistości.

Dobra wiadomość – że w Polsce jesteśmy na innym etapie, a pozytywnych kart mamy zdecydowanie więcej. ●



Adam Węglowski

Adrian po raz pierwszy poczuł to, gdy był nastolatkiem. Wewnętrzne napięcia, które trudno było łączyć tylko z problemami wieku dojrzewania.

– Gdy byłem wzywany przez nauczycieli do odpowiedzi albo gdy ktoś podnosił na mnie głos, zaczynałem się trząść, jakbym był z galarety. Reagowałem w sposób nieadekwatny do sytuacji, nie miałem odporności, którą mieli moi rówieśnicy – otwiera się Adrian, dziś 38-latek. – Bardzo często śniłem też koszmary, których dziś na szczęście miewam już mniej. I taki klasyczny przypadek chomikowania na zapas: po szufladach, które zawsze muszą być zamknięte; wszystko ściśnięte i skomasowane w jednym miejscu na małej przestrzeni, żeby nikt mi niczego nie ukradł; kompulsywne sprawdzanie zawartości lodówki, czy niczego nie brakuje – wymienia.

Syndrom poobozowy nie daje spokoju

Adrian urodził się ponad 40 lat po II wojnie światowej. A jednak wciąż czuje jej długi cień. – Mój dziadek przeszedł przez system niemieckich obozów koncentracyjnych, był więźniem Auschwitz i Mittelbau-Dora. Poznałem jego historię. Z dzieciństwa pamiętam, że był raczej niedostępny. Rozmowy telefoniczne nie dłuższe niż minuta, odwiedziny głównie z okazji świąt. Dziadek gromadził mnóstwo rzeczy w absurdalnych ilościach, na przykład

WIECZNA WOJNA

Kolejne pokolenia Polaków odziedziczyły po rodzicach i dziadkach wojenne traumy. Czy mogą liczyć na niemieckie odszkodowania?

buty albo anteny telewizyjne. Być może w ten sposób rekompensował sobie wszystkie rzeczy materialne, które stracił w obozach? Im był starszy, tym bardziej izolował się od rodziny – wspomina 38-latek.

Podobne przypadki badano w Polsce od lat 50. XX wieku. Prof. Antoni Kepiński i dr Stanisław Kłodziński – sami po obozowych przejściach – wraz z innymi lekarzami analizowali tzw. syndrom KZ, nazywany też poobozowym. Czyli problemy byłych więźniów z przystosowaniem się do życia w społeczeństwie, z powrotem do normalności.

Stale zagrożenie, w którym żyli w obozach, oraz bezsilność wobec oprawców, naznaczyły ich na zawsze. Tam, w odhumanizowanym świecie za drutami, trudno było znaleźć zaufanie i empatię. Nie wiedzieli, co może ich spotkać każdego kolejnego dnia. Automatycznie wykonywali polecenia oprawców i sami stawali się jak automaty. Nawet wiele lat po uwolnieniu z obozu to wciąż ich dręczyło.

Wyniki kilkudziesięcioletniej pracy Kepińskiego i setek innych specjalistów z kilkoma tysiącami poszkodowanych zbierano w „Zeszytach Oświęcimskich”. W latach 90. to dzie-

ło było dwukrotnie nominowane do Pokojowej Nagrody Nobla.

Ta monumentalna praca polskich psychiatrów nie zamykała tematu. Z czasem okazało się, że problemy mają nie tylko byli więźniowie, lecz także ich małżonkowie i dzieci. Współchorowali z ocalałymi ofiarami obozów, byli współuczestnikami ich nawracających lęków, świadkami nocnych przebudzeń i krzyków.

– Myślę, że opowieści dziadka o przeżyciach i doświadczeniach obozowych odcisnęły ślad w psychice moich najbliższych. Zwłaszcza mojego ojca, który prawdopodobnie w sposób nieświadomy wybrał zawód psychologa, aby nauczyć się rozumieć własnego ojca – opowiada Adrian.

Drugie pokolenie

Dr Maria Buko, socjolożka i historyczka, w książce „Drugie pokolenie obozowe” (2024) opisuje rozmaite przypadki dzieci więźniów. Sytuacje, w których dzieci stawały się całkowicie zdominowane, nadmiernie przywiązane do rodziców, odizolowane od rówieśników i w gruncie rzeczy samotne. Dochodziło do tego, że nie mogły samodzielnie żyć albo zastanawiały się, czy to nie właśnie one mają kłopoty psychiczne, czy to nie po ich stronie leży wina.

Rodzice – dawni więźniowie – bywali oschli, nieobecni, wycofani. Niektórzy przerzucali na potomstwo swoje ambicje i pragnienia, przesadnie przy tym krytyczni i nadopiekuńczy. Zdarzali się również rodzice zdemoralizowani, którzy posuwali się do przemocy fizycznej i psychicznej, a nawet do molestowania seksualnego własnych dzieci.

Wszyscy oni głębokie urazy psychiczne z czasów wojny przekazywali dalej. Dlatego powstało pojęcie międzypokoleniowej transmisji traumy (TTT). A rodziny byłych więźniów obozów, cierpiących na syndrom KZ, to tylko część bolesnego dziedzictwa Polaków.

Badający powojenną młodzież psycholog Stefan Baley stwierdził bez ogródek: „Mamy prawo powiedzieć, że jej zbiorowa dusza jest zakażona kompleksem wojny”.

Z jego badań z 1945 roku wynikało, że prawie 2/3 młodych ludzi obserwowało zaburzenia nerwowe u siebie bądź bliskich. 1,5 mln z nich było sierotami lub pól sierotami. Zwykłą reakcją były „leczenie” wojennych urazów psychicznych alkoholem, emocjonalne znieczulenie czy brak zaufania.

„W wielu krajach wojna przyniosła traumę, rozchwanie stosunków społecznych, pauperyzację. Jednak z powodu szczególnie traumatycznego przebiegu wojny i okupacji te zagrożenia i wzmiątkowane napięcia społeczne silniej wystąpiły w Polsce”, oceniał dr hab. Marcin Zaremba z Instytutu Studiów Politycznych PAN w pracy „Trauma Wielkiej Wojny. Psychospołeczne konsekwencje drugiej wojny światowej” (2008).

Jak przekonuje, przetrzebienie elit i instytucji, atomizacja społeczeństwa i społeczna dezorganizacja sprawiała, że Polacy „bardziej przypominali »kaszę społeczną« – masę rodzinnych wspólnot o plemiennym charakterze – niż społeczeństwo”. Normalizacja trwała długo. Młodzi dorośli, ale niektóre nawyki i urazy przetrwały nawet do dziś.

Pod koniec XX w. prof. Maja Lis-Turlejska przeprowadziła w Polsce prekursorskie badania nad PTSD, zespołem stresu pourazowego (zdefiniowanym dopiero w latach 80. przez amerykańskich psychologów po badaniach weteranów wojny wietnamskiej). To psychiczne zaburzenie stanowiące formę reakcji na wyjątkowo stresujące zdarzenia, z którymi nie możemy sobie poradzić.

„W Europie Zachodniej badania dotyczące PTSD związanego z II wojną światową prowadzono od lat 90. Zwykle w badaniach tych odsetek cierpiących na PTSD szacowano na 5-10 procent. Wśród najstarszych Niemców zaburzenia stresu pourazowego zaobserwowano u 4 procent. Wśród Holendrów – u około 5 procent. W Austrii jedynie u 2 procent populacji. Maja Lis-Turlejska postanowiła sprawdzić, jak często na zaburzenia stresu pourazowego cierpią Polacy. Zaczęła od badań uczestników uniwersytetów trzeciego wieku, wybierając jedynie tych, którzy urodzili się przed zakończeniem wojny. Okazało się, że w Polsce pełne objawy PTSD ma aż 29 procent badanych! Kolejne badania Mai Lis-Turlejskiej przynosiły podobne wyniki, a nawet jeszcze wyższe”, opisuje Michał Bilewicz, prof. z Wydziału Psychologii UW, w książce „Traumaland” (2024).

Jak wskazuje, „różne życiowe tragedie wywołują u Polaków zaburzenia lękowe częściej, niż ma to miejsce w innych państwach, które również doświadczyły okupacji i przemocy wojennej”.

Pacjenci cierpiący na PTSD zażywają leki, poddają się psychoterapii. To długotrwały, żmudny i niełatwy proces, w dodatku nie ma żadnej gwarancji, że uda się raz na zawsze z niego wyleczyć. Zwłaszcza gdy świat wokół dostarcza kolejnych stresorów.

Echo traumy przodków

Badania nad międzypokoleniową transmisją traumy dowodzą, że sprawa nie kończy się na drugim pokoleniu. Przypadków podobnych do 38-letniego Adriana, który przypuszcza, że TTT dotyczy i jego, jest więcej.

Jacek, mężczyzna ponad 50-letni, to syn kobiety – dziecka wojny. Przez całe życie boryka się z nadopiekuńczością, nadmiarem kontroli i wyolbrzymionymi lękami matki. Bezpieczeństwo, stan zdrowia i jedzenie to jej ulubione tematy. Nawet na już dorosłego syna wywiera naciski, by na wszelki wypadek – i dla poszanowania jej nerwów – nie pływał,



• Barak w obozie Auschwitz-Birkenau, luty 1944 roku, tuż po wyzwoleniu przez Armię Radziecką. W całym obozie ocalało 7650 więźniów

Rodzice – dawni więźniowie – bywali oschli, nieobecni, wycofani. Niektórzy przerzucali na potomstwo swoje ambicje i pragnienia, przesadnie przy tym krytyczni i nadopiekuńczy

nie podróżował samolotem, nie oddalał się z rodziną z miejsca zamieszkania. Podobnej presji poddawane są jego dzieci.

Lucyna jako czterdziestoparolatka odkryła, że we wrześniu 1939 roku jej prababka – wówczas młoda wdowa – zginęła w niejasnych okolicznościach. Osierocona przez nią córka (babcia Lucyny) nigdy o tym nie rozmawiała ze swoimi dziećmi. Sama też je wcześniej osierociła, a najmłodsze potomstwo było pod opieką jej najstarszej córki, czyli stoletniej matki Lucyny. W gronie rodzinnym o tym się nie rozmawia, tymczasem Lucyna uważa, że od 1939 roku z pokolenia na pokolenie w jej rodzinie dziedziczone są lęk, niepewność, defetyzm. Boi się, że to samo przekazała własnemu dorastającemu synowi.

– Z perspektywy klinicznej, zwłaszcza pracujących psychoterapeutycznie, możemy obserwować u pacjentów jakby „echo” traumy przodków, mimo że oni sami nie byli bezpośrednimi uczestnikami wojny czy przemocy. Takie osoby często noszą w sobie trudne emocje, lęki, poczucie winy czy lojalności wobec cierpienia przodków, które wpływają na ich funkcjonowanie psychiczne i społeczne, często bywają podłożem objawów depresyjnych, lękowych czy psychosomatycznych – opowiada dr Izabela Łucka, specjalistka psychiatrii dzieci i młodzieży, psychoterapeutka i autorka artykułów naukowych o międzypokoleniowej transmisji traumy.

Sęk w tym, że brakuje edukacji i informacji. Ludzie z TTT mogą nawet o tym nie wiedzieć, przypadków Lucyny czy Jacka nie analizował żaden specjalista. Z drugiej strony ci,

którym temat obil się o uszy, mogą doszukiwać się u siebie TTT, chociaż naprawdę cierpią na co innego.

– Jeżeli do historycznych traum (wojna, stalinizm, transformacja ustrojowa) dodamy jeszcze zupełny brak psychoedukacji, sztywne, katolickie i mocno patriarchalne struktury rodziny oraz wielowiekową praktykę alkoholizmu, to można się złapać za głowę i zastanawiać, czy żyje gdzieś jakiś Polak bez urazu – stwierdza dr Maria Buko.

Mieszanie przy genach

Epigenetyka to nauka zajmująca się badaniem, jak zmienia się ekspresja genów. Jak środowisko może wpływać na aktywowanie lub tłumienie pewnych genów. Podobnie jak DNA, owe epigenetyczne uregulowania przekazywane są następnym pokoleniom. To oznacza, że mechanizmy TTT mogłyby być nie tylko psychologiczne i kulturowe, lecz także biologiczne.

– Coraz więcej mówi się o epigenetycznym podłożu dziedziczenia traum, zwłaszcza w kontekście doświadczeń tak głęboko stresujących jak wojna, Holocaust, ale także masowe przesiedlenia, katastrofy, represje polityczne, tortury czy gwałty, zwłaszcza wojenne – wyjaśnia dr Łucka.

– Badania trwają, ale wstępne doniesienia sugerują, że silny stres może prowadzić do zmian epigenetycznych (np. w metylacji DNA), które są przekazywane kolejnym pokoleniom. Dowodów na to dostarczyły badania na modelach zwierzęcych; udowodniono, że trauma i stres wpływają na potomstwo po-

przez zmiany epigenetyczne. U ludzi takie dane są trudniejsze do zdobycia i mniej jednoznaczne. Nie wiemy, czy to dziedziczenie jest rzeczywiście trwałe, ani tego, czy i jak wpływa na ewentualny rozwój psychopatologii u danego człowieka. Niemniej jednak zwierzęce modele dają silne biologiczne podstawy do tego, aby badania kontynuować, należy przy tym przeciwieństwo do królestwa zwierząt – dodaje.

Dr Łucka przytacza badania nad potomstwem ocalałych z Holocaustu, u których wykazano zmiany w ekspresji genów związanych z regulacją stresu. Podobne obserwacje pojawiły się wśród dzieci matek, które przeżyły atak na WTC, będąc wtedy w ciąży.

Już kilkanaście lat temu przebadano grupę Holendrów, których ciężarne matki przeżyły „głodową zimę” na przełomie lat 1944 i 1945. Analizy wykazały różnice w metylacji DNA – czyli regulacji ekspresji genów – między dziećmi, których organizm był niedożywiony w życiu płodowym, a tymi urodzonymi w bezpieczniejszym czasie. Do tego dochodziło prawdopodobnie także zaburzenie polityki hormonalnej. Dzieci poczęte podczas „głodowej zimy” w dorosłym życiu bardziej narażone były na cukrzycę, raka piersi, choroby serca, płuc i nerek.

Epigenetyka ma jednak jeszcze wiele do udowodnienia, dlatego naukowcy, nie tylko dr Łucka, wypowiadają się o tym nader ostrożnie.

– Nie mamy na razie jednoznacznych dowodów naukowych na epigenetyczne dziedziczenie wpływów środowiskowych. Najprawdopodobniej nie są w pełni trwałe

i można je niwelować poprzez zapewnianie środowiska pozytywnego, budującego – komentuje dr Buko.

– Z kwestii „mierzalnych” mamy natomiast pojęcie na przykład o wpływie hormonów stresu matki na płód. W populacjach doświadczonych traumą, u potomków jest obserwowany obniżony stan zdrowia w stosunku do niedoświadczonej traumą grupy. Albo doświadczenie traumy czy narażenie na stres u przodków wpływa na „dziedziczenie” obniżonej odporności zdrowotnej, albo historyczna trauma powoduje u kolejnych pokoleń podwyższone narażenie na stres i przez to obniża się jego odporność. – wyjaśnia naukowiec.

Pytanie, jak mają się owe nowe odkrycia naukowe do dawnych ustaleń i deklaracji prawnych dotyczących reparacji wojennych i odszkodowań? Czy decyzje podejmowane w czasach, gdy o TTT, PTSD czy epigenetyce nie mieliśmy pojęcia, można uznawać za niepodważalne? Dr Buko odpowiada, że krzywdy wojenne są nienaprawialne, trudno więc uznać temat za definitywnie zamknięty.

Ofiary polityki kolonialnej

Czy nowe odkrycia mogą stanowić zatem podstawę do roszczeń kolejnych pokoleń „współchorujących”, odczuwających wojenne traumy w drugim czy trzecim pokoleniu?

– Jeśli chodzi o „dziedziczenie” syndromu prześladowań i tragedii po stronie ofiar i ich zstępnych, to następstwa psychologiczne, dobrane zbadane, przechodzą na następne pokolenia. Natomiast jeśli chodzi o udzielenie świadczeń (pomocy) finansowych dla żyjących jeszcze ofiar, to dużo zależy od tego, jak zakończono konflikt i poradzono sobie bezpośrednio po jego zakończeniu z następstwami – stwierdza prof. dr hab. Jan Barcz, dyplomata, w latach dziewięćdziesiątych uczestnik negocjacji w sprawie świadczeń dla polskich ofiar zbrodni nazistowskich, a także autor publikacji o reparacjach i odszkodowaniach niemieckich. – Nawet po upływie dziesiątków lat możliwe są różnego rodzaju rozliczenia o charakterze „pozaprawnym”, „pragmatycznym”, motywowane względami humanitarnymi czy politycznym. Mamy z tym do czynienia na przykład w relacjach postkolonialnych.

– W przypadku niektórych grup ofiar to już się dzieje. Chodzi konkretnie o ofiary polityki kolonialnej, na przykład w Kanadzie, Australii, USA – wymienia dr Buko. – Oczywiście o reparacjach dla tamtejszego „pierwszego pokolenia” nie było mowy, ale widzimy wyraźnie, że rządowi trudno dłużej odwracać głowę od tego, jak setki lat strukturalnego rasizmu wpłynęły na zdrowie (fizyczne i psychiczne), warunki zamieszkania, odżywiania, pielęgnowania kultury czy pozycję społeczną grup kolonizowanych. W programach naprawczych wymieniane są między innymi: rdzenni mieszkańcy Australii i wysp Cieśniny Torresa czy rdzenne plemiona Kanady i USA. Uruchomiono programy naprawcze właśnie wobec kolejnych pokoleń ofiar. W Kanadzie przygotowywany jest pozew zbiorowy potomków poszkodowanych, którzy jako dzieci trafili do szkół z internatem, a doznawszy tam traum, krzywdzili następnie własne dzieci.

Od 2019 roku w Niderlandach funkcjonuje ustawa o odszkodowaniach za straty emocjonalne. Nie jest związana z krzywdami historycznymi, lecz skupia się na krewnych ofiar wypadków, zbrodni, błędów medycznych itp. Założeniem ustawy jest uznanie wpływu wydarzenia traumatycznego na całą rodzinę, a celem zniwelowanie zagrożenia problemami ze zdrowiem psychicznym i funkcjonowaniem społecznym poprzez udzielenie wsparcia moralnego i finansowego.

Tego samego oczekuje wiele polskich rodzin, wciąż pamiętających o hitlerowskich zbrodniach z II wojny światowej. One także czuły się pod okupacją jak niewolnicy w koloniach i potrzebują moralnego i finansowego wsparcia.

To, co było kiedyś, i to, co jest teraz

– A wy, na co byście liczyli? – pytam Lucynę, Adrianę i Jacka.

– Nie wierzę w reparacje. Nie sądzę, żeby taki przypadek jak w mojej rodzinie mógł kiedykolwiek posłużyć za podstawę do jakichś odszkodowań. Nigdy nie znajdę na to dokumentów. Uważam natomiast, że Niemcy sami powinni szczerze spojrzeć na powojenne rozliczenia i zaproponować coś, co przyda się wszystkim Polakom, na przykład zapłacić za odbudowę zniszczonych zabytków. Pałac Sasaki w Warszawie był świetną okazją, ale jakoś nikt jej nie wykorzystał. Poza tym Niemcy powinni zwrócić nam wywiezione dokumenty i zagrabione dzieła sztuki – uważa Lucyna.

– Myślę, że dofinansowanie w Polsce psychiatrii byłoby istotną rekompensatą za poniesione straty wojenne, w tym ludzkie. Nie mówię tylko o śmierci i eksterminacji, ale także o daleko idących skutkach działalności władz okupacyjnych w czasie wojny – odpowiada Adrian.

– Jestem pewien, że choroby i obsesje mojej matki są efektem tego, że była dzieckiem wojny, a w okresie powojennym dorastała w trudnych warunkach – mówi Jacek. – Nie wiem, czy to policzalne. Dlatego Niemcy powinni zobowiązać się do długoletniego dofinansowania opieki medycznej dla polskich seniorów orazłożyć na zapewnienie wsparcia psychologicznego wszystkim potrzebującym w Polsce.

Podczas niedawnej wizyty w Polsce kanclerz Friedrich Merz potwierdził, że temat reparacji „prawnie jest zakończony”. A odszkodowań? Usłyszeliśmy tylko enigmatyczne sformułowanie, że Berlin i Warszawa będą rozmawiać o wspólnych projektach i pomysłach.

– Roszczenia reparacyjne (roszczenia między państwowe) związane z konfliktem zbrojnym określane są w traktacie (zwykle pokoju) i nigdy nie są równe wyrządzonym szkodom, lecz wynoszą pewien ich ułamek. Chodzi o realność uzyskania reparacji oraz o ułożenie relacji po konflikcie z pokonanym sprawcą – mówi prof. dr hab. Jan Barcz. W przypadku pokonanych Niemiec podstawą pobierania reparacji przez państwa koalicji zwycięskiej była umowa poczdamska (z braku traktatu pokoju). Miały one charakter nie świadczeń finansowych, lecz konfiskat.

– Pobieranie „reparacji poczdamskich” zostało zakończone w 1953 roku. Kropkę nad „i” postawiła Konferencja „2+4” [w 1990 roku]. Nie ma obecnie żadnych możliwości powrotu do tej sprawy. Natomiast otwarta pozostawała sprawa roszczeń indywidualnych ofiar niemieckich zbrodni nazistowskich (odszkodowań). Ze strony polskiej konsekwentnie podtrzymywano tego rodzaju roszczenia. W okresie powojennym doszło do różnego rodzaju świadczeń ze strony niemieckiej na rzecz ofiar, ostatnio na podstawie porozumień z roku 1991 i 2000 (również ze strony austriackiej). Droga do kontynuacji tego rodzaju świadczeń mających obecnie charakter humanitarny na rzecz żyjących jeszcze ofiar pozostaje otwarta – podkreśla ekspert.

Profesor Bilewicz z Wydziału Psychologii UW podpowiada, że istnieją różnego rodzaju rekompensaty dla osób ocalałych z Holocaustu i pracowników przymusowych. Wciąż działa Fundacja „Polsko-Niemieckie Pojednanie” dysponująca środkami przekazanymi przez niemiecką Fundację „Pamięć, Odpowiedzialność i Przyszłość” (EVZ). – Z tego, co wiem, z funduszu tego wspierane są też polskie organizacje zajmujące się kwestiami związanymi z pamięcią wojny. W ten sposób kolejne pokolenia otrzymują rodzaj moralnej rekompensaty związanej z konsekwencjami wojny – wskazuje.

– Nie ignorowałabym wpływu zabezpieczenia finansowego, prawnego lub symbolicznego na psychikę indywidualną czy „zbiorową” – stwierdza dr Maria Buko. Jej zdaniem najskuteczniejszym zadośćuczynieniem za historyczne krzywdy i międzypoko-

leniową traumę – czy wręcz sposobem na zapobieżenie jej dalszemu przekazywaniu – byłoby jednak finansowanie przebudowy struktur społecznych, reorganizacja systemu edukacji i psychoedukacji, stabilne funkcjonowanie centrów wsparcia, działania kulturalne i publikacyjne. A także dawanie uwagi temu problemowi.

Jako przykład wskazuje działalność stowarzyszenia Maximilian-Kolbe-Werk, niemieckiej organizacji katolickiej. Nie tylko wspiera materialnie ocalałych z niemieckich obozów koncentracyjnych, ale też umożliwia spotkanie z nimi młodych niemieckich wolontariuszy. – To było przełomowe, pozwoliło oddzielić „kiedyś” od „teraz”. Widać wtedy uznanie krzywdy, chęć zadośćuczynienia, ale też wyraźną różnicę w czasie: my teraz chcemy cię jakoś wesprzeć w dochodzeniu do siebie z tego, co uczynili ci kiedyś ludzie, z którymi my czujemy się związani i przez to współodpowiedzialni za ich czyny – podkreśla dr Buko.

Asymetria między ofiarami a sprawcami

Z toczoną w naszym kraju dyskusji o tym, ile i jak zapłacili Niemcy za zbrodnie III Rzeszy, jasno wynika, że Polacy uważają dotychczasowe reparacje i odszkodowania za niewspółmierne i niewystarczające. A jeśli strona niemiecka nie podejmuje tematu, to jakby nie uznawała krzywd ofiar III Rzeszy.

W jednym z wywiadów dr Bogumił Rudawski z Instytutu Zachodniego zajmującego się m.in. relacjami polsko-niemieckimi stwierdził: „Temat ten jest raczej nieobecny w niemieckiej dyskusji publicznej, a wynika to przede wszystkim z nikłej świadomości tego, jak wyglądała niemiecka okupacja w Polsce. Nieznajomość specyfiki okupacji, która doprowadziła w tej części Europy do śmierci milionów osób i nieodwracalnych zniszczeń gospodarczych, powoduje, że temat odszkodowań jest po prostu niezrozumiały. I tutaj dużą rolę mogą odegrać polscy naukowcy i politycy, którzy powinni przybliżyć Niemcom te kwestie, tak by byli przynajmniej świadomi, z czego wynikają polskie głosy”.

W Niemczech słychać czasem krytykę dotychczasowych działań odszkodowawczych. W 2018 roku dr Karl Heinz Roth – historyk i lekarz, autor publikacji o niemieckiej polityce okupacyjnej – stwierdził w wywiadzie dla Deutsche Welle, że „kwestia odszkodowania to problem etyczny” i „powinniśmy grać w otwarte karty”. Zaznaczył, że Polska, Grecja i inni tak zwani mali alianti zostali w polityce reparacyjnej zepchnięci na margines i trzeba to naprawić: „Niemcy mają obowiązek spłaty odszkodowania. Dla Polski ta sytuacja jest ewidentna. Trzeba też uwzględnić, jaką sumę odszkodowania i reparacji Niemcy zapłacili już Polsce”.

Przypomnijmy, że na mocy konferencji poczdamskiej (1945) Polskę zaliczono do wschodniej strefy reparacyjnej, a reparacje stamtąd trafiały do Związku Radzieckiego, który z kolei miał opłacić z tego polskie roszczenia. Także Ziemie Odzyskane traktowano jako część niemieckiego zadośćuczynienia, a Kreml wyraźnie oceniał je jako bardziej wartościowe niż odebrane nam Kreś. Zaś Niemcy uznali kwestię reparacji – także na bazie dawnych polskich deklaracji, jak wskazują specjaliści – za „prawnie zakończoną”. Jeśli owe deklaracje są niepodważalne,

pozostały ewentualne odszkodowania. Najbardziej liczącą się pomoc, już po zjednoczeniu Niemiec, zapewniła wspomniana wcześniej Fundacja „Polsko-Niemieckie Pojednanie” założona przez rządy Polski i Niemiec w 1991 roku. Wyplaciła Polakom odszkodowania na sumę około pięciu miliardów złotych. Dysponuje pieniędzmi m.in. z powołanej w 2000 r. Fundacji „Pamięć, Odpowiedzialność, Przyszłość” (EVZ), współfinansowanej przez niemieckie przedsiębiorstwa. Tyle że dawni polscy robotnicy i więźniowie mogli liczyć na odszkodowania rzędu raptem kilku tysięcy euro.

W napisanej z politologiem Hartmutem Rübnerem książce „Wyparte, odroczone, odrzucone. Niemiecki dług reparacyjny wobec Polski i Europy” (2023) Roth przekonuje zaś, że niemieckie działania w kwestii odszkodowań „utrwały status odbiorców jako podporządkowanych petentów”. Roth i Rübner piszą, że „rozwijana przez centralne instancje w Berlinie »europejska kultura pamięci« pozostawia w ostatecznym rozrachunku niekniętą asymetrię między ofiarami a sprawcami, spowodowaną przez skrajną okupacyjną przemoc. Ten rodzaj »pojednania« jest protekcyjny i nieszczerzy”.

Ciekawy w kontekście tej niechęci Berlina do podejmowania kwestii finansowego zadośćuczynienia jest fakt, że – jak przypominał „Die Welt” w 2022 roku – w XIX wieku to Niemcy były największym beneficjentem reparacji wojennych. Najpierw wycisnęły fortunę z Francji po wojnach napoleońskich, a następnie po wojnie francusko-pruskiej, notabene spowodowanej przez kanclerza Bismarcka w imię budowy Cesarstwa Niemieckiego.

Prawda, która wyzwala

– Obecnie w stosunkach polsko-niemieckich możliwe są dalsze świadczenia na rzecz żyjących jeszcze ofiar niemieckich zbrodni nazistowskich (tak zwana formuła pragmatyczna), natomiast sprawa reparacji (roszczeń między państwowych) została dawno zamknięta – powtarza prof. dr hab. Jan Barcz. Jak podkreśla, w sprawie takich świadczeń trwają rozmowy, „ale na razie słyszymy raczej enigmatyczne sformułowania, że Berlin i Warszawa rozmawiają o wspólnych projektach i pomysłach. Na pewno Niemcy mogą i powinni zrobić więcej dla ofiar zbrodni nazistowskich”.

– Transgeneracyjne dziedziczenie traumy to w moim odczuciu bardzo ważne i aktualne zjawisko. Pytania o podłoże tej spuścizny dotyczą zarówno naukowego, jak i klinicznego wymiaru obserwowanych konsekwencji – podkreśla dr Łucka. Miała do czynienia z pacjentkami, u których dopiero odtworzenie doświadczeń przodków, nazwanie i nadanie im znaczenia, spowodowało ulgę i umożliwiło im zdrowienie. Dr Łucka cytuje słynną psychiatrę prof. Marię Orwid – która jako dziecko ocalała z Holocaustu, a jako dorosła zajęła się traumami poobozowymi byłych więźniów i ich rodzin – że dopiero pokolenie wnuków jest w stanie zająć się traumami dziadków. Dlatego należy pracować z kolejnymi generacjami Polaków.

Pytanie, czy pod wpływem tego, jak pokolenia wnuków borykają się z traumami dziadków, także Berlin wreszcie zrozumie, że w milionach Polaków wciąż tli się wojna. ●

wyborcza

REDAKCJA ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00

(czynny w dni powszednie w godz. 10-17);
E-mail: redakcja@wyborcza.pl

Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.

Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl

REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik

PIERWSZY ZASTĘPCA REDAKTOR NACZELNY

WYBORCZA.PL: Roman Imielski

ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielński

PROJEKT GRAFICZNY: Jacek Utko
GRAFIKI: Paweł Kapusta, Tomasz Lebiada,
Paweł Lubowicz, Agata Łuszcz, Joanna Pątyk,
Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski

FOTOEDYTORZY: Marta Błażejewska

PORTRETY AUTORÓW: Agata Marszałek,
Natalia Michalska

KOLPORTAŻ: Michał Szalariński

Problemy z dostępnością „Wyborczej” lub
z właściwą mutacją lokalną: kolportaz@wyborcza.pl

Prenumerata cyfrowa: prenumerata.wyborcza.pl;

pomoc@wyborcza.pl; 22 555 54 55, 519 255 455

Inne formy prenumeraty:
wyborcza.pl/prenumerataGW

Gazeta Wyborcza w serwisach

społecznościowych:
facebook.com/wyborcza, bbsky:app/profile/

wyborcza.pl, instagram.com/gazeta_wyborcza

LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl

WYDAWCA
Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerna 8/10

00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11

PREZES ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan

WICEPREZES ZARZĄDU: Joanna Kwas

REKLAMA

Dyrektor sprzedaży: Marek Wilk

Biuro reklam i ogłoszeń:

ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa

reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555

54 44

DRUK: Polska Press

ISSN 0860-908X

Rozpowszechnianie

redakcyjnych materiałów

publicystycznych bez zgody

wydawcy jest zabronione.



Ukraina, Polska, Ameryka. Co dalej

JUŻ NIE
MOŻEMY NA
WAS POLEGAĆ

Wasz kraj przypomina mi Ukrainę
w roku 2004

Z DMYTREM KUŁEBĄ*
ROZMAWIA MATEUSZ MAZZINI

Zacznę od pytania, jak się pan miewa. To niełatwy czas na bycie ukraińskim politykiem.

– Dobrze, dziękuję. Jestem teraz w Odessie, udało mi się złapać końcówkę lata. Przyjechałem kilka dni temu, od tego czasu parę razy zawyły syreny, ale nic strasznego się na szczęście nie wydarzyło. Pewnie rosyjskie drony przelatowały nad miastem w drodze ku innym celom. A Odesa jest pełna ludzi, którzy chcą jeszcze chwilę odpocząć, zanim wrócą do domów.

Niektórzy zasatnawiają się, czy wtedy wojna będzie się jeszcze toczyć. Rozmowy w sprawie rozejmu teoretycznie nabrały tempa. Co pan poczuł na wieść, że Putin jedzie na Alaskę spotkać się z Trumpem?

– Pierwsza przyszła mi do głowy obserwacja na temat Putina – że wreszcie groźby Trumpa potraktował poważnie. Pojechał na Alaskę, żeby spacyfikować amerykańskiego prezydenta, złagodzić jego eskalacyjne podejście. I to mu się udało, bo obaj wyjechali usatysfakcjonowani. Putin zmienił tok myślenia Trumpa, a Trump pozbył się narastającej na niego w krajowej polityce presji, żeby wobec rosyjskiego przywódcy być jednak bardziej stanowczym.

Nie bał się pan, że to będzie druga Jalta?

– Nie. Lęk przed kolejnym koncertem mocarstw jest bardzo rozpowszechniony w naszej części świata i narasta od pierwszej kadencji Trumpa. Ale ludzie w amerykańskiej administracji zdają sobie sprawę, że USA nie mają aż takiej sprawczości. Jeśli ich porozumienie z Rosjanami byłoby sprzeczne ze strategicznymi interesami Ukrainy i Europy, Waszyngton nie ma jak go wyegzekwować.

Dlatego Trump może chcieć porozumienia, lecz go nie zawrze, bo wyszedłby na kogoś słabego, kto nie panuje nad własnymi deklaracjami. Wiem, że mówienie o drugiej Jalcie daje świetny materiał na krzykliwe nagłówki, ale to hasło ma niewiele wspólnego z rzeczywistością.

Był pan usatysfakcjonowany odpowiedzią Europy na rozmowy Trumpa z Putinem? Większość polityków odetchnęła z ulgą, bo udało się uniknąć kolejnego dyplomatycznego ostrzału Wołodomyra Zelenskigo w Gabinetcie Ovalnym, Trump nikogo nie szantażował ani nie zmuszał do oddania terytoriów.

– Odniesliśmy sukces, pokazując światu wspólny front względem Trumpa. A drugą dobrą wiadomością jest strategia negocjacyjna Amerykanów. Trump i jego ludzie wykazali się sporym sprytem, oddzielając kwestię roszczeń terytorialnych od innych elementów ewentualnego porozumienia. Trzeba ich za to pochwalić, bo fakt, że tego tematu w ogóle nie poruszono w rozmowie z europejskimi przywódcami, był bardzo inteligentnym ruchem.

Dlaczego?

– Dlatego że gdyby Trump zaczął o tym rozmawiać, negocjacje by się załamały i Bruksela oraz Waszyngton jeszcze bardziej by się oddaliły. No i nawet gdyby coś wymusił na Ukraińcach i Europejczykach, nie miałby jak wyegzekwować umowy. Za to dzięki odpuśczeniu roszczeń

terytorialnych wszyscy wchodzili do Gabinetu Ovalnego pełni trwogi, a wyszli relatywnie zadowoleni. Dodatkowo Trump zyskał na wiarygodności, bo udowodnił, że jednak nie zawiera umów za plecami sojuszników z NATO. Wyszedł na konstruktywnego polityka, który rzeczywiście szuka rozwiązania tego konfliktu.

Przekaz Trumpa był prosty: sprawę ziem załatwicie bezpośrednio z Putinem, całą resztę możecie dogadać ze mną. Zgrabny ruch z amerykańskiego punktu widzenia, choć oczywiście nie rozwiązuje problemu, bo najważniejszy aspekt negocjacji nie został poruszony.

Jakie są szanse na spotkanie Putina z Zelenskim?

– Żadne. Zerowe.

Nawet w odleglejszym czasie?

– Kiedykolwiek. Bo Putin nie jest zainteresowany. On od lat stosuje tę samą metodę dyplomatyczną. Cały czas mówi, że spotkanie dwóch przywódców powinno być dobrze przygotowane, poprzedzone długimi rozmowami roboczymi, ale kiedy te przygotowania już się rozpoczynają, mnożą się kolejne problemy i do niczego nie dochodzi.

W kontekście szczytu w Waszyngtonie muszę zapytać o nieobecność Polski. Czy dla Ukrainy to był powód do niepokoju?

– Nie, ale uważam, że Polska powinna zasiadać przy stole negocjacyjnym. Jej nieobecność osłabia i Europę, i samą Polskę – ale jednak to większa strata dla Polski niż dla Europy.

A jak wygląda pozycja Ukrainy? Pan był ministrem spraw zagranicznych przez cztery lata. Co się zmieniło przez ten czas?

– Ona wbrew pozorom pozostaje bardzo stabilna. Mniej więcej od 2023 roku nie zaszły wielkie zmiany w układzie sił względem Ukrainy. Świat pozostaje podzielony – niektóre państwa stoją jednoznacznie po naszej stronie, inne trwają przy Rosji i Chinach, a najwięcej jest takich, które siedzą okrakiem na barykadzie. Nie obserwujemy tu wielkich zmian, oczywiście poza ewolucją stanowiska Amerykanów, które jednak trwa już od wielu miesięcy, więc można się do niego przyzwyczaić.

W najbliższej przyszłości też nie spodziewam się zmian. Ci, którzy nas wspierają, nie dokonają wolty, a z drugiej strony nie ma co liczyć na nagłe pozyskanie jakichś niespodziewanych znaczących sojuszników.

Magazyn „Foreign Affairs” opublikował pana esej: „Jeśli Europa nie porzuci Ukrainy i nie dojdzie do wewnętrznego załamania się struktur ukraińskiego państwa, Kijów nie ugnie się pod rosyjską presją”. Tylko jak silne jest to europejskie poparcie dla Ukrainy?

– Najważniejsze, że jest stabilne, bo kluczowi gracze w pełni rozumieją skalę i naturę zagrożenia ze strony Rosji oraz znaczenie Ukrainy zarówno dla bezpieczeństwa kontynentu, jak i przyszłości europejskiego projektu politycznego. Problem w tym, że Europa nie jest do końca zjednoczona. Na tym podstawowym, najbardziej widocznym poziomie, gdzie padają publiczne deklaracje wsparcia i wielkie słowa, wszyscy są po naszej stronie – z wyjątkiem Węgier i częściowo Słowacji. Ale jeśli poskrobać głębiej polityczny lukier, pęknięcia stają się natychmiast widoczne.

Niektóre państwa – wymienić trzeba Polskę, Niemcy, Norwegię, Holandię, Danię i Wielką Brytanię – robią na-



• Początek roku szkolnego szkole kadetów (1.09.2025). Mimo rosyjskich ostrzałów życie w Kijowie toczy się dale

prawdę dużo, żeby przygotować się na ewentualny atak nieprzyjaciela. Inni podejmują znacznie mniej wysiłków, jeszcze inni składają deklaracje, które nie przekładają się na rezultaty, a są też tacy, którzy nie robią absolutnie nic.

Kiedy mówi pan o „kluczowych graczach na kontynencie”, to kogo ma pan na myśli?

– Tych, których reprezentanci byli w Waszyngtonie. Do tej grupy dołączyłbym Norwegię, Danię i oczywiście Polskę, której tam zabrakło.

Mnie ta stabilność jednak wydaje się dość niestabilna. Perspektywy wyborcze wskazują, że niedługo w Europie może przybyć kilkoro kolejnych „chwiejnych”.

– Nie sądzę, żeby w najbliższej przyszłości miały się pojawić w Europie kolejne Węgry. Ale owszem, wskutek wewnętrznych turbulencji niektóre państwa mogą dołączyć do grupy sceptyków. Oczywiście kandydatem są Czechy.

No to zapytam wprost o Polskę. Rozmawiamy dwa dni po tym, gdy Karol Nawrocki zawetował nowelizację specustawy o pomocy Ukraińcom, demontując choćby podstawę prawną do opłacania przez Polskę ukraińskiego abonamentu na system Starlink. Wskutek konfliktu między prezydentem a premierem Tuskiem odsuwamy sami siebie od tego stołu negocjacyjnego.

– Wasz kraj przypomina mi dzisiaj Ukrainę w roku 2004 i nieco później, zwłaszcza kiedy na naszej scenie dominował konflikt pomiędzy dwójką liderów Pomarańczowej Rewolucji, prezydentem Wiktorem Juszczenką a premierką Julią Tymoszenko. Media miały świetny utarg, ciągle było o czym pisać, nagłówki tworzyły się same, ale to znacznie osłabiło międzynarodową pozycję Ukrainy.

Ale jest, jak jest i musicie po prostu przez to przejść. Wybór jest prosty. Albo wasze elity dojdą do porozumienia w kluczowych dziedzinach i zdecydują, że o niektóre tematy się nie spierają, albo będą się kłócić na każdym możliwym temacie, jak działo się to w Ukrainie 10 czy 20 lat temu.

Polska ma prezydenta, który w przemówieniu inauguracyjnym mówi, że „Polska jest w Unii Europejskiej, ale nie jest Unią Europejską”. A tymczasem Ukraina bardzo zabiega o członkostwo w tej właśnie Unii. Ja na miejscu ukraińskich władz zacząłbym rozwijać bliższą współpracę z kimś innym niż Warszawa.



FOT. REUTERS/GLEB GARANICH, VAROSH

– Ale przecież to się dzieje od dawna. Mając świadomość rosnących nastrojów antyukraińskich w Polsce, Ukraina inwestuje znacznie więcej zasobów i energii w relacje na przykład z krajami nordyckimi, z Rumunią. W dialogu z Niemcami, Francją, Włochami czy Wielką Brytanią też pojawiła się nowa jakość, rozmawiamy z pozostałymi krajami członkowskimi, a nawet z tymi, które nie są we Wspólnocie. Musimy ograniczać ryzyko.

Mówię to z ogromnym smutkiem, bo Polska jest luczowa dla naszego bezpieczeństwa. Zrobiliście dla nas ogromnie dużo od początku wojny i wasza pomoc nigdy nie zostanie zapomniana przez ukraiński naród. Ale w obliczu zmian na polskiej scenie musimy szukać środków zaradczych. Nie stać już nas na to, by polegać na Polsce tak bardzo jak wcześniej.

W „Foreign Affairs” pisze pan, że jednym ze źródeł sukcesów w odparciu Rosjan była i jest niesamowita odporność społeczeństwa. Na świecie wojskowi, eksperci i politycy patrzą na to z podziwem, zastanawiając się, czy wasz model da się wyeksportować. Tylko czy po trzech latach wojny determinacja Ukraińców naprawdę jest wciąż taka jak na początku?

– Siła naszego społeczeństwa pozostaje taka sama, czyli ogromna. Zmieniło się jej podglebie. Trzy lata temu to był entuzjazm, optymizm, dzisiaj to właśnie odporność. Wszyscy jesteśmy wycieńczeni, ale musimy pozostać silni, bo wiemy, że jeśli damy się złamać, to to, co przyjdzie, będzie znacznie gorsze od tego, co mamy teraz.

Spółeczeństwo walczy, ale czy dalej popiera władzę? Widzieliśmy kilka tygodni temu, że Ukraińcom nie spodobała się próba wybicia zębów regulatorom antykorupcyjnym, i Zelenski musiał się wycofać. On ma jeszcze obywateli po swojej stronie?

– Podczas wojny trudno mówić o uprawianiu normalnej polityki, nie da się jednego odseparować od drugiego. Kwestia stosunku do rządu jest dwupoziomowa. Jeśli chodzi o sposób prowadzenia działań wojennych, poparcie dla władz jest silne, powiedziałbym nawet, że jednogłośnie, natomiast w sprawach związanych z zarządzaniem państwem istnieją podziały, zresztą absolutnie typowe dla demokracji.

Ale prezydent Zelenski nie stracił słuchu społecznego. Widzi, co się dzieje na ulicach, dostrzega gniew spo-

łeczny, jest gotów wysłuchać obywatelskich postulatów. Wycofanie się z reformy instytucji zwalczających korupcję jest tego najlepszym dowodem. Ten konflikt mógł się przerodzić w spory problem dla ukraińskiej demokracji, a okazał się manifestacją jej siły.

Wybory są możliwe w przewidywalnej przyszłości?
– Nie wydaje mi się, żeby były realne przed końcem roku. To dla mnie przewidywalny horyzont.

A w przyszłym roku?

– Nie sądzę, żebyśmy mieli w tej chwili przywilej, a nawet luksus planowania czegokolwiek tak daleko do przodu. Wszystko zależy od tego, co dalej z linią frontu i z negocjacjami. Nie widzę szans na zakończenie wojny w najbliższych tygodniach czy nawet miesiącach.

Rozważa pan powrót do ukraińskiej polityki?

– Zdecydowanie nie. Nie ciągnie mnie do tego. Ale znów – nikt nie jest w stanie przewidzieć, w jakiej sytuacji będziemy za parę miesięcy. Być może będę potrzebny albo znajdę rolę, w której będę się spełniać. Na pewno w tej chwili nie mam apetytu na krajową politykę.

No i zepsuł mi pan plan, bo chciałem zapytać o to, o czym rozmawiają znajomi Ukraińcy. Czyli czy chciałby pan ubiegać się o prezydenturę.

– Moje zaangażowanie w ukraińską politykę wynosi do słownego zera. Z nikim nie jestem związany, z nikim nie prowadzę rozmów. Po prostu staram się pomóc swojemu krajowi najlepiej, jak tylko mogę i potrafię.

Powód tej postawy jest banalny. Na szczęście, a może niestety, przeczytałem w życiu sporo książek. Dużo o historii Ukrainy i innych państw. Nauczyłem się z tych lektur jednej zasady: że kiedy walczysz w konflikcie egzystencjalnym, wszyscy muszą robić wszystko, żeby ich państwo wygrało, nic innego się nie liczy. Bo jeśli przegramy, nie będzie żadnych stanowisk politycznych, o które będzie można się bić. Zostaną jedynie posady w administracji okupanta.

Dlatego w bieżących warunkach uprawianie jakiegokolwiek polityki jest szkodliwe. Tak samo jak mówienie, że się tego nie robi, i jednocześnie działanie za kulisami.

I gwarantuję panu, że gdy tylko wojna się skończy, w Ukrainie nastąpi eksplozja polityki. Będzie jak wulkan, który przez lata był uśpiony, więc wystrzeli z całą mocą. ●



Rosjanie często o was pytali

Tuż przed decyzją o kapitulacji udało mi się jeszcze skontaktować z rodziną. Zadzwoiłam do mamy. Powiedziała mi: „Idź! Bóg ci pomoże i wyjdiesz”. Poszłam do niewoli, bo mama mi kazała.



Dmytro Kuleba

• Rocznik 1981. Minister spraw zagranicznych Ukrainy w latach 2020-24, wicepremier ds. europejskich (2019-20), stały przedstawiciel Ukrainy przy Radzie Europy (od 2016). Pracując w przedstawicielstwie przy OBWE i sekretariacie MSZ (2005-13) zajmował się wizerunkiem Ukrainy, współpracą z organizacjami międzynarodowymi oraz relacjami z USA. Członek Europejskiej Rady ds. Stosunków Międzynarodowych (ECFR).

Spotkałyśmy się w Użhorodzie kilka dni przed powrotem Hałyny Zajcewy do służby. Na kolejną przepustkę wyjdzie za rok. – Oczywiście, jak Bóg da – mówi.

Służy w wojsku od 10 lat, przez rok była przetrzymywana w niewoli: w więzieniu w Oleniwcze, później w obozie w Taganrogu. Po rehabilitacji wróciła na służbę.

Z HAŁYNĄ ZAJCEWĄ, UKRAIŃSKĄ ŻOŁNIERKĄ I MEDYCZKĄ BOJOWĄ, ROZMAWIA URSZULA PIECZEK

Po wyjściu z niewoli odezwało się do mnie wielu dziennikarzy z prośbą o wywiad. Odmawiałam.

– Dlaczego więc zgodziłaś się porozmawiać ze mną?

– Wiesz, ja szalenie cenię Polskę i Polaków. Prywatnie mam tylko miłe wspomnienia z Polską – jeszcze w dzieciństwie mama przywoziła mi od was tenisówki, których w szkole zazdrościły mi koleżanki.

A serio, Polska jest dla mnie symbolem wolności. W herbie Warszawy macie syrenkę z podniesioną szablą i tarczą. Nie bez powodu. Widać po ludziach, że kochacie swój kraj, swoją ziemię. Że jesteście nacjonalistami.

Wydaje mi się, że ty i ja różnie rozumiemy nacjonalizm.

– Uważam, że nacjonalizm to siła narodu. Wszyscy powinniśmy być odpowiedzialni za ziemię, na której się urodziliśmy. Dlatego ważna jest walka o prawa i demokrację, a Polacy są pod tym względem wzorem.

To, co ty nazywasz nacjonalizmem, ja wolę nazywać postawą patriotyczną.

– Dla mnie macie odwagę i bojowość we krwi. Wyobraź sobie, że w niewoli, podczas przesłuchań, Rosjanie często zadawali mi pytania o Azow i o to, czy służą u nas zagraniczni żołnierze, zwłaszcza Polacy. Szczególnie intereso-

wał ich udział Polaków. Oni wiedzą, że wy jesteście waleczni, że potraficie się sprzeciwić. Pokażaliście to podczas Powstania Warszawskiego.

Ciekawe, co mówisz o polskiej odwadze. Od wielu rodaków słyszę, że na wypadek wojny wyjadą z kraju, nie chcą służyć. – Naprawdę?! Trudno mi w to uwierzyć, ale rozumiem, że nie każdy jest z natury wojownikiem. Uważam jednak, że zawsze choć jedna osoba z rodziny powinna pójść walczyć, żeby ochronić swoje dzieci, rodziców, dom, ziemię. Nieważne – kobieta czy mężczyzna.

Dlatego z rodziny to ty poszłaś do wojska? – Tak, za bardzo kocham swojego męża i syna, żeby pozwolić im pójść na front.

Zacznijmy od początku – kiedy podjęłaś decyzję o wstąpieniu do wojska? – W 2014 roku, kiedy Rosjanie najechali Krym. Byłam już na emeryturze. Pamiętam, że sprzątałam dom i kątem oka zobaczyłam w telewizji czołgi. Nie mogłam przestać płakać. Rok o tym myślałam, analizowałam scenariusze. Zmobilizowałam się i podpisałam kontrakt w 2015 roku, a w 2016, w kwietniu rozpoczęłam służbę. Wiem jedno – żaden Ukraińiec nie chciał tej wojny. A Rosja atakuje nas z każdej strony, nie przestrzegając żadnych zasad ani praw.

W 2014 roku byłaś już na emeryturze? Ile masz lat?

– 52. Mogłam przejść na wcześniejszą emeryturę, bo przez dekadę pracowałam na intensywniej terapii, a później jako pielęgniarka oddziałowa w poradni psychoneurologicznej. Moja pensja była skromna – niewiele ponad 800 hrywien [ok. 70 zł]. Ale na emeryturze założyłam medyczną działalność konsultingową.

Decyzja o wstąpieniu do armii była trudna?

– I tak, i nie. Moi obaj dziadkowie byli wojskowymi, dorastałam w domu, w którym rozmawiało się o armii, w żołnierskiej dyscyplinie. Dziadkowie mieli literaturę wojskową, często zabierali mnie na strzelnicę. Poszłam na studia medyczne, nie wojskowe, ale gdy wybuchła wojna odezwalo się we mnie wyniesione z domu poczucie obowiązku i odpowiedzialności.

Jak wyglądała twoja służba w armii?

– Pojechałam do strefy ATO [dawniej Strefa operacji antyterrorystycznej – wschodnia Ukraina objęta działaniami wojennymi] na Donbas, gdzie pracowałam jako ratowniczką medyczną w 128. Samodzielnej Zakarpackiej Brygadzie Desantowej. Armia zmagala się z ogromnymi brakami kadrowymi – zdarzało się, że personel, który powinien mieć 150 osób, liczył 60. Wspierałam aż trzy bataliony. Pomagałam w ewakuacjach, eskortowałam do szpitali, wraz z saperami rozminowywałam teren, udzielałam wsparcia medycznego w różnych sytuacjach, choć do dyspozycji mieliśmy 60-letni sprzęt.

Teraz sanitariusze bojowi pracują według procedur, wtedy dopiero uczyli się pracy w czasie wojny. Przydało mi się moje doświadczenie z intensywniej terapii. Pamiętam Nowy Rok w 1996 roku – przywieziono żołnierza, któremu w rękach eksplodował granat, a wybuch urwał ręce i nogi. Długo z nim rozmawiałam.

Zszywałam rany, resuscytowałam, sprawdzałam stan zdrowia żołnierzy, którzy trafiają na służbę po zawałach, z chorobami przewlekłymi... Wiem, że moja praca jest potrzebna, że ją dobrze wykonuję, ale nie lubię mówić o tym, co zrobiłam dla żołnierzy – ja tylko stawiałam na nogi prawdziwych bohaterów. Przecież to oni strzelali do wroga.

Spędziłam pięć lat w Donbasie, w zasadzie w szczerym polu. Żeby stworzyć punkt medyczny czy obserwacyjny musieliśmy kopać doły, stawiać blindáže. Nieważne czy była zima czy lato, bagna, mróz czy przeciwnie – piekielny upał. Dopiero w Donbasie zrozumiałam, co to są ukraińskie czarnoziemy. Kiedy podczas akcji musiałam przez nie biec i wracałam z pięcioma kilogramami gęstej urodzajnej gleby przyklejonej do każdej nogi.

Były chwile, że musiałam zmuszać się do pozytywnego myślenia, żeby nie zwariować. Wyobrażałam sobie, że nie tylko służyć państwu, ale zyskuje na tym moja figura. Zamiast ćwiczeń na siłowni, biegam z ciężkim plecakiem. Zamiast szpilek, mam obcasy z gęstego czarnoziemu. Ćwiczę na świeżym powietrzu i to jeszcze w dobrej sprawie. Poza tym, wiesz, Ukraina na wschodzie jest przepiękna – ta ziemia, słoneczniki, ule, ptaki ćwierkają jak w chórze. Pokochałam ten kraj tak naprawdę dopiero tam. Dopiero na służbie.

To doświadczenie zmieniło cię jako kobietę?

– Nauczyłam się spać w mundurze. Wystarczyło, że w czasie akcji zakładałam hełm i kamizelkę. I możesz się śmiać, ale czasami w drodze, w pośpiechu, malowałam sobie brwi i usta. Wygląd zawsze był dla mnie ważny. Jak siedziałam w bunkrze podczas bombardowania Azowstalu, chowałam się pod koc i robiłam makijaż. To mi pozwalało zachowywać jakiś element kobiecości. Zresztą moja babcia, żona wojskowego, wpoila mi, że kobieta musi być piękna. Że zanim kobieta da poznać swoją inteligencję, musi zachwycać wyglądem. Wyrosłam w takim przekonaniu. Teraz już jestem sprytniejsza, bo odkryłam makijaż permanentny. Poprawiam go na przepustkach.

Przed wstąpieniem do wojska często chorowałam. Na służbie prawie w ogóle. Rutyna, ćwiczenia i adrenalina mają w tym udział.

Wspomniałaś o Azowstalu. Jak tam trafiłaś?

– Moja brygada stacjonowała niedaleko Mariupola. Często odwiedzałam miasto i postanowiłam się przenieść do tamtejszego szpitala. Wtedy potrzebowałam zmiany, a dzięki temu mogłabym i służyć i normalnie żyć, pracować w wojsku od poniedziałku do piątku, a w weekendy odpocząć w cywilizowanych warunkach.

Okazało się, że w szpitalu nie ma wolnych miejsc, ale na rozmowę zaprosiła mnie Brygada Azow. Na początku się wahałam, bo Azow wymaga wręcz wojskowego przygotowania fizycznego – o 4 rano już są na siłowni, godzinę później biegają. Ale pomyślałam, że przecież nie palę, nie piję, nie biegam codziennie, strzelam jak zawodowiec... Odbylam staż i zaczęłam pracę jako ratownik w ich punkcie medycznym. Wyjątkowa to służba, bo dość powiedzieć, że Azow to pierwsza jednostka w ukraińskiej armii, która dostała pozwolenie na przetaczanie krwi przed interwencją szpitalną.

Kiedy przeniosłaś się do Mariupola?

– W 2021 roku. Wynajęłam mieszkanie i zamieszkałam tam z moim zwierzątkami, m.in. z Richardem, papugą, który przyleciał do mnie kiedy jeszcze byłam w strefie ATO.

Z papugą?

– No tak! Jakoś wiosną 2017 roku do okopów niedaleko Wołnowachy przyleciała papużka, chyba z osiedli około 2 km od linii frontu. Żołnierze ją odratowali, a potem oddali mi. Richard był ze mną wszędzie. Siadał mi czasem na głowie podczas zabiegów – kiedy bandażowałam, zakładałam opaski uciskowe. Dokupiłam mu papużkę Winczessę. A jak już osiadłam w Mariupolu, to kupiłam jeszcze szynszylkę. I z moimi pupilami chodziłam nad morze. Nie wiem, co się z nimi teraz dzieje. Były ze mną w Azowstalu, a kiedy trafiłam do niewoli, zabrali je Rosjanie. I już nie oddali. Usłyszałam, że ktoś je wziął dla dzieci, ale ja w to nie wierzę.

Szturm na Mariupol zaczął się w lutym 2022 roku.

– 24 lutego o 4 nad ranem obudził mnie wybuch. Na miasto spadały pierwsze pociski. Ewakuowałam się z mieszkania do szpitala. Bez przerwy przyjmowaliśmy rannych, operowaliśmy, ustalaliśmy tożsamość poległych. To trwało do 15 marca, bo wtedy obok szpitala spadła rosyjska bomba i duża część budynku uległa zniszczeniu. Ewakuowaliśmy się, bez wody i prądu nie mogliśmy pomagać rannym.

17 marca znalazłam się na terenie Azowstalu, w bunkrze Żeleziaka. Ból, krzyk, krew, cier-

pienie towarzyszyły nam bez przerwy. A my bez przerwy pracowaliśmy. Dziś wydaje mi się, że nie potrzebowałam snu ani odpoczynku, na tak wysokiej adrenalinie działałam.

Ile czasu tam spędziłaś?

– Praktycznie do końca obrony Azowstalu. Trafiłam do niewoli 19 maja. Wtedy myślałam, że lepiej zginąć z bronią w ręku, niż iść do niewoli.

Ja szczęśliwie mam 19-letnią córkę, która mi ułatwia kontakt z rzeczywistością. Daje mi znaki

li. Wielu moich towarzyszy z tego powodu brało sobie życie – wiedzieli, że Rosjanie są okrutni, że nie przestrzegają konwencji.

Tuż przed kapitulacją udało mi się skontaktować z rodziną. Zadzwoniłam do mamy. Powiedziała mi: „Idź! Bóg ci pomoże i wyjdiesz”. Poszłam więc do niewoli, bo mama mi kazała.

Zdarzało się, że ludzie przed pojmaniem paili oszczędności życia, woleli zniszczyć niż oddać wrogowi. Nam dowódcy mówili, jak się zachowywać i odradzali palenie pieniędzy. Moje dwie koleżanki miały gotówkę na zakup mieszkania dla dzieci, np. 30 tys. dolarów. Wzięły ją do obozu, podczas rewizji musiały ją zostawić. Według prawa Rosjanie powinni nam wszystko oddać, kiedy nas zwalniano z niewoli.

Oddali?

– Skąd! Zwrócono po dwa drobiazgi, dla nich bezwartościowe – ikonki, drobną biżuterię, ale nie złotą. To przynajmniej wartość sentymentalna, ale ludzie stracili oszczędności życia.

Do jakiego obozu trafiłaś?

– Na początku byłam w Oleniwcze w Donbasie. Przez lata służby poznałam te rejony i nie mogłam się pogodzić z tym, że moja ziemia już nie jest moja, bo wróg ją zabrał. Przyroda ukraińska, ale nad głowami latają złowieszcze myśliwce z czerwonymi gwiazdami na skrzydłach.

W Oleniwcze jest kolonia karna z więzieniem, ambulatorium i aresztem śledczym. Siedziałam z dziesięcioma kobietami w niewielkiej celi z toaletą. Okno miało może 50 cm na 50 cm i było zakryte sklejką, a żeby docierało do nas powietrze lub słońce zrobiono pistoletem kilka dziur. To nie spełniało żadnych norm humanitarnego przetrzymywania jeńców.

Karmili nas dwa razy dziennie – owsianką gotowaną na brudnej wodzie, dodawali trochę kości i jakichś odpadków. Ja tak nie gotuję dla psa. Ale co miałam robić? Jadłam to, bo znalazłam głodu w Azowstalu. Tam bomba uderzyła w pomieszczenie z kuchnią i nie mieliśmy przez trzy tygodnie co do ust włożyć. Gotali dla nas chłopcy z bunkra Jowisz, przynosili nam kaszę w termosach – dla każdego może po 50 g raz dziennie. Wyczekiwaliśmy tych posiłków jak daru z niebios. Ale, wbrew rosyjskiej propagandzie, bunkry w Azowstalu nie mają sekretnych połączeń. Ludzie ryzykowali życie, przynosząc nam jedzenie. Bomby spadały jak deszcz.

Kiedy opuszczałam bunkier ważyłam 38 kg – skóra i kości. W Oleniwcze zabierali nas raz w tygodniu pod prysznic. No, to za dużo powiedziane. Na pewno kojarzysz filmy z czasów II wojny, z obozów koncentracyjnych, jak wychudzeni ludzie stoją w grupie i polewa się ich strumieniem wody ze szlauchu. Tak wyglądałyśmy. Dlatego jadłam tę brudną owsiankę, żeby choć troszkę przytyć.

Poza tym, przesłuchiowano nas, a młodych chłopaków torturowano. Rosjanie szczegółowo opowiadali nam, jak działają narzędzia, których używali do tortur. Słyszałyśmy krzyki tych chłopaków, potem na chwilę zapadała cisza, i znów ten krzyk. Wtedy włączali głośno jakieś arie operowe. Rano, kiedy podchodziłam do okna i patrzyłam przez te dziury po kulach,

widziałam, jak wynoszą kolejne ciała. Nie, nie chcę więcej o tym mówić.

Wierzyłaś, że w ogóle stamtąd wyjdiesz?

– Ja mam zawsze nadzieję. Poza tym jestem głęboko wierzącą osobą, wiedziałam, że Bóg mi pomoże. W trudnych chwilach się modłę.

Mieliśmy w obozie strażniczkę Julię. Panicznie się jej bałyśmy. Znęcała się nad nami, zmuszała strażników, żeby nas bili. Ogołiła nam głowy. Pomyślałam, że pomoże mi tylko modlitwa, więc codziennie odmawiałam sto razy „Ojcze nasz”. I po dwóch tygodniach Julia pierwszy raz spóźniła się na zmianę. Później przyszła pijana. A potem przestała przychodzić. Zniknęła! Wiem, że Bóg mnie wysłuchał.

Pod koniec września usłyszeliśmy, że może dojść do wymiany jeńców. I część osób zwolniono, ale czułam, że to nie jest mój moment. Mnie, wraz z kilkoma osobami, przeniesiono do Taganrogu w Rosji [ok. 100 km do Mariupola]. To była zupełnie inna niewola. Torturowali nas, bili, stosowali przemoc psychiczną. Mówili np., że Kijów upadł, że nie ma Ukrainy, że mój rodzinny Użhorod nie istnieje. Wymyślali takie zadania, że przez kilka godzin musiałam stać z jednym okiem otwartym, drugim zamkniętym. Robiłyśmy tysiące przysiadów dziennie. Karmili nas wodą z liściem kapusty i nazywali to zupą warzywną.

Kilka tygodni przed zwolnieniem zaczęli nas lepiej karmić. Wiedziałam, że coś się szykuje. Dawali nam bochenek chleba dziennie, żebyśmy nabrały kilogramów. I rzeczywiście zwolnili nas w połowie kwietnia 2023 roku. Na początku się bałam, nie wiedziałam, dokąd nas wiozą. Zdjęli mi worek z głowy dopiero na granicy z Ukrainą. Nigdy tak się nie cieszyłam. Biegałam, tańczyłam, przytuliłam się do pierwszego strażnika granicznego. Pamiętam, że miał na imię Wołodimir.

Kiedy mogłaś wrócić do domu?

– Nie od razu. Po kilku dniach badań w szpitalu zwolnili nas ze służby. Wiesz, dopiero jak zaczęła schodzić ze mnie adrenalina, to zrozumiałam, co mi się przydarzyło.

Pewnego ranka, to było kilka dni po powrocie do domu, obudziłam się i nie mogłam wstać, nie mogłam ruszyć nogami. Myślałam, że to udar, ale to moje ciało oddało stres. Na nowo uczyłam się chodzić, poruszać. Dopiero po miesiącu stanęłam na nogi. Musiałam brać antydepresanty, choć bardzo nie chciałam.

I po tym wszystkim zdecydowałaś, że wracasz, mimo że mogłaś – jako były jeńiec – zostać całkowicie zwolniona ze służby.

– Tak, ale teraz już jako żołnierka. Zdałam sobie sprawę, że moje doświadczenie medyczne to jedno, ale teraz na froncie trzeba osób, które będą walczyć. ●

 **The Eastern Frontier Initiative**

• **Artykuły powstały w ramach projektu The Eastern Frontier Initiative (TEFI).**

TEFI to porozumienie niezależnych wydawców z Europy Środkowej i Wschodniej, którego celem jest wspieranie i wspólne myślenie i współpracy w kwestiach bezpieczeństwa w regionie. Projekt ma także promować wymianę wiedzy w prasie europejskiej i przyczyniać się do wzmacniania europejskiej demokracji.

• Członkami konsorcjum są 444 (Węgry), „Gazeta Wyborcza” (Polska), SME (Słowacja), PressOne (Rumunia) i portal śledczy Bellin-gcat.

• Projekt TEFI jest współfinansowany przez Unię Europejską. Wyrażone poglądy i opinie są jedynie opiniami autora lub autorów i niekoniecznie odzwierciedlają poglądy Unii Europejskiej lub Europejskiej Agencji Wykonawczej ds. Edukacji i Kultury (EACEA). Unia Europejska ani EACEA nie ponoszą za nie odpowiedzialności.

Coraz mniejsza Wielka Brytania

BRYTYJCZYCY *nam* ZAZDROSZCZĄ

Atmosfera intelektualnej duchoty w Londynie robi się nieznośna, a zdrowy rozsądek, którym szczycili się wyspiarze, gdzieś zagubiono.

Z MARKIEM RYBARCZYKIEM*
ROZMAWIA ANDRZEJ BRZEZIECKI



• Rozliczenie z brytyjską przeszłością kolonialną. W Bristolu protestujący z ruchu woke (naprawy krzywd) toczą pomnik Edwarda Colstona, żeby do go utopić w rzece Avon (7.06.2020) Colston (1636–1721) był handlarzem niewolników, politykiem i filantropem. Jednym z ówczesnych notabli, którzy wspierali rozwój miasta pieniędzmi zarobionymi na niewolnictwie

ANDRZEJ BRZEZIECKI: Wielka Brytania schodzi na psy.

MAREK RYBARCZYK: Schodzi, i to już od kilku dekad. Gdy w 2004 roku wyjeżdżałem z Londynu po dziesięcioletnim pobycie, słyszałem tę frazę niemal wszędzie. W sklepie, na ulicy, wśród przyjaciół można było usłyszeć, że Wielka Brytania jest cieniem dawnego potężnego kraju, że niczego nie produkuje, że ludzie są coraz mniej uczciwi.

To dość typowe narzekanie.

– Zgoda, ale w ostatnim ćwierćwieczu doszedł jeszcze ogromny kryzys klasy politycznej, która, tak jak w Polsce czy we Włoszech, stała się klasą pasożytniczą.

Demokracja, ten najlepszy z najgorszych ustrojów, w wydaniu zachodnim pozwala na wytwarzanie się układów, które opierają się na duopolu – dwóch obozach rządzących, które zmieniają się co jakiś czas, a jedynym celem jest zdobycie władzy i rozdanie pieniędzy swoim poplecznikom. Wielka Brytania była symbolem demokracji, lecz od lat jest rządzona przez grupy cyników, którzy żyją w rytm nagłówków gazet, pasków w telewizji i kliknięć w serwisach społecznościowych. Wszyscy, tak jak w Polsce, żyją nie tym, co ktoś zrobił, ale tym, co ktoś powiedział.

W obu partiach wymienianych się władzą są zawodowi politycy, którzy świetnie się znają, bo chodzili do tych samych szkół. Przed taką klasą polityczną ostrzegał ponad sto lat temu Edmund Burke, pisząc, że najgorszą rzeczą w rewolucji francuskiej było pojawienie się zawodowych polityków.

Proszę sobie wyobrazić, że jeszcze za moich czasów, czyli w latach 90., w Izbie Gmin obrady zaczynały się po południu, by posłowie mogli skończyć swoją regularną pracę. Nie wszyscy i nie chcę idealizować tamtej epoki, ale dawniej w brytyjskim parlamencie zasiadali ludzie różnych profesji. Ludzie pracy i czynu, którzy byli posłami, bo chcieli zrobić coś dla kraju.

Kiedyś ludzie z dumą mówili: „mój poseł”, a teraz mamy odklejoną klasę polityczną i całą resztę. Politycy zamiast reform, wołają wszcząć wojny kulturowe. Sprawy mniejszości seksualnych dotyczą może trzech procent społeczeństwa, ale dziś na tym skupia się polityczne życie nad Tamizą, a nie na rozwiązaniu problemów służby zdrowia.

Nawet premier Keir Starmer mówi, że Brytyjczycy są społeczeństwem obcych sobie ludzi, głównie z uwagi na głęboki kryzys społeczeństwa wielu kultur i rekordową liczbę imigrantów. Nielegalnych, ale także legalnych.

Oburza pana w Wielkiej Brytanii szczególnie ruch woke, „przebudzonych”, ruch naprawy krzywd oraz przyjmowania perspektywy grup wykluczonych.

– Ideały wokersów wydają się szczytne. Chodzi im przede wszystkim o eliminację rasizmu. Ale definiują go tak szeroko, że zarzut rasizmu można przedstawić dziś na Wyspach właściwie każdemu, kto naruszy którąś z reguł politycznej poprawności. Ideologie political correctness i woke stanowią nową religię Albionu – tym bardziej że większość Brytyjczyków uważa się za bezwyznaniowców, anglikanizm traktując bardziej jako rodzinną tradycję.

W obu głównych brytyjskich partiach – bo także wśród torysów – nie brakuje wyznawców woke, którzy wstydy się zwykłego patriotyzmu, demonstrują brak szacunku dla historii, nawet tej najnowszej, w której Wielka Brytania ocalała świat przed nazizmem.

Wokersi uznają się za bardziej inteligentnych i wyższych moralnie od reszty społeczeństwa – podklasy słabo wykształconych, rzekomo gburów i prostaków, którzy nie rozumieją potrzeby obrony klimatu w ekstremalnych formach ani inspirowanej marksizmem krytycznej teorii rasy, w której dominują rozważania o winach i niższości białych.

Atmosfera intelektualnej duchoty w Londynie robi się nieznośna, a zdrowy rozsądek, którym szczycili się Brytyjczycy, gdzieś został zagubiony. Bo jak wytłumaczyć to, że np. aż



• „Opuść moją ziemię”- protest w Londynie pod Sądem Apelacyjnym, który uchylił wyrok nakazujący usunięcie 138 migrantów ubiegających się o azyl z hotelu Bell w Epping, 29.08.2025

Tylko w tym roku na łodziach przybyło na Wyspy około 50 tysięcy. Tych ludzi oficjalnie w Wielkiej Brytanii nie ma, więc można ich zapędzić do współczesnego niewolnictwa, można ich gwałcić albo wycinać im organy

150 wykładowców Oksfordu odmówiło dalszego nauczania, póki nie zostanie usunięty pomnik magnata i premiera z XIX wieku Cecila Rhodesa, jednego z piewców brutalnego imperializmu brytyjskiego i, co tu ukrywać, rasisty.

Problem w tym, że słuszniejsza wydaje się wobec takich zabytków strategia „zostawiać, wyjaśniać i piętnować”, tym bardziej że Rhodes miał wielkie zasługi na polu charytatywnym.

A uniwersytet w Edynburgu na wszelki wypadek wołał zmienić nazwę wieży, do niedawna noszącej imię słynnego filozofa Davida Hume’a, bo ten był rzekomo rasistą. Nawet lewicowy „The Guardian” to skrytykował.

Ostatnio policja ugania się po ulicach za ludźmi wieszającymi flagi angielskie i brytyjskie, bo ponoć może się to kojarzyć z niechęcią dla imigrantów – to groźne apogeum dziwacznej woke.

W pana książce [„Wielka Brytania. Upadek wiekości „] czarnym charakterem jest Tony Blair, przywódca Partii Pracy i premier na przełomie wieków. Wtedy o woke jeszcze nie słyszeliśmy, a Blair wydawał się w porządku, lansując ideę „trzeciej drogi” łączącej to, co najlepsze w zachodnim socjalizmie i kapitalizmie, oraz próbując tchnąć nowego ducha w brytyjskość pod hasłem Cool Britannia. Czym tak zawinił?

– Blair miał wielkie pieniądze w budżecie odziedziczone po rządach torysów i mógł zreformować służbę zdrowia, szkolnictwo, wyeliminować szkodliwe elementy państwa opiekuńczego, ale nie zrobił tego, bo nie umiał i wołał nie ryzykować niezadowolenia wyborców. Za to świetnie manipulował opinią społeczną.

To przykład polityka teflonowego, który zorientował się, że wystarczy mówić odpowiednie rzeczy, snuć idealistyczne farmazony, aby wygrywać wybory. Zatrzymał się więc na propagandzie. Gdy jeden z jego ministrów

chciał przeprowadzić reformy socjalne, pozbył się go – bo sondaże mówiły, że osłabienie państwa opiekuńczego będzie Partię Pracy kosztować poparcie.

Gdy stało się jasne, że Blair nie radzi sobie w kraju, wciągnął państwo w wojnę w Iraku – cynicznie, bo wiedział, że żadnej broni masowego rażenia tam nie ma. Gdy szykowano się do ataku na Bagdad, niemal równoległe zlikwidowano dodatkowe zabezpieczenia na wypadek ataków w bazach na Cyprze. A więc Blair musiał widzieć, że Irak niczym Brytyjczykom nie zagrażał. W tym samym czasie szły w najlepsze przygotowania do wojny, a tabloidy za podszeptem rządu straszyły, odliczając czas lotu rakiet z Iraku.

Po Blairze przyszła seria polityków, którzy nie robili nic albo niewiele, by rozwiązać główne problemy kraju. Na dodatek zaniedbywali sprawę imigracji, która wyrwała się spod kontroli. Myśleli tylko o wygraniu następnych wyborów, a wygrać najłatwiej, gdy nie robi się poważnych, choć kontrowersyjnych reform.

Ale po Tonym Blairze i Gordonie Brownie z Partii Pracy w 2010 roku przyszli do władzy konserwatyści. I co, też źle?

– Bo to niczego nie zmieniło. David Cameron wymyślił „współczujący konserwyzm”, który był pustostawem. Pozyskał wyborców z kręgów working class, ludzi, którzy ucierpieli na reformach Margaret Thatcher, bo obiecał im referendum w sprawie brexitu. A Boris Johnson, pilny uczeń Blaira, wmówił ludziom w czasie kampanii referendalnej, że Turcja zaraz wysła setki tysięcy emigrantów, co było czystym kłamstwem.

W tym, co pan pisze w książce i teraz mówi, czuć osobistą złość na Wielką Brytanię.

– Jestem rozgoryczony, bo to kraj, o którym uczyliśmy się, że jest wzorcem demokracji.

Od młodości mnie fascynowała – ludzie, kultura, mentalność. W rozdziałach o historii Anglii, Walii, Szkocji i Irlandii chcę zabrać czytelnika w podróż podobną do podróży Guliwera. Pokazać, skąd brały się te fascynujące odmienności Brytoli – te banalne jak ruch lewostronny czy dwa osobne kurki w umywalkach, jak i te bardziej osobliwe: umiłowanie samotności, izolacjonizm, ekscentryzm, klasowość i specyficzne poczucie humoru.

Taka Wielka Brytania mnie fascynowała. Tymczasem Wyspy, które pamiętam z lat 90., z każdą kolejną wizytą stawały się w moich oczach coraz bardziej absurdalnym miejscem. Niczym pociąg, który zmierza ku katastrofie. Wszyscy widzą, że się rozbija – dajmy na to – na stacji Paddington, ale nikt nie potrafi zapobiec tragedii, a nawet nieszczęśliwie ma ochotę.

Proszę sobie wyobrazić, że w Londynie uliczny grajek śpiewa o tym, że wyjedzie do Polski, bo tam się lepiej żyje... Nasza służba zdrowia też jest niedofinansowana, ale przynajmniej mamy w miarę dostępne prywatne przychodnie. Nad Tamizą dziś umiera się na korytarzach, a na jakąkolwiek pomoc czeka się godzinami, nawet w nagłych przypadkach.

Główny problem upatruje pan w klasie politycznej, która zezwoliła na masową imigrację.

– Mnie także się marzą sprawiedliwe społeczeństwo i świat multikulti, ale wszystko jest kwestią proporcji. Wszyscy możemy być chrześcijanami, muzułmanami, hindusami czy Chińczykami i Polakami. Musi być jednak jakiś wspólny mianownik, który gwarantuje spójność społeczeństwa.

Tymczasem, jak twierdzi Douglas Murray, konserwatywny publicysta, ale także zadeklarowany homoseksualista, Wielka Brytania stała się poczekalnią wielkiego lotniska. Bo jest krajem obcych sobie ludzi, którzy jak w poczekalni są skupieni na sobie, mało ufni wobec innych, bo nie łączy ich nic poza potrzebą podróży.

Liczba mieszkańców Anglii i Walii rośnie, ale tylko część tego wzrostu to dzieci urodzone w tamtejszych szpitalach – reszta to przybysze: odmienni, obcy, wymagający integracji i opieki.

Ale ci ludzie w dużej mierze chcą pracować.

– Ponownie przywołam Murraya, który zauważa, że jeśli sprowadza się klasę pracującą z krajów uboższych, bo jest tańsza i chętna do pracy, a jednocześnie daje się zaśilki ludziom z rodzimej working class, to produkuje się rzeszę ludzi, którzy zalegają na kanapach z nogami do góry. To są zwykłe – ale nie tylko – biali ludzie, którzy dnie spędzają przed telewizorami, pijąc piwo i oglądając mecze.

Co gorsza, dają przykład dzieciom i uczą je takiego stylu życia. W Wielkiej Brytanii są już rodziny żyjące od dwóch-trzech pokoleń z zasiłków. Dzieci w tych rodzinach nie uczą się szacunku dla szkoły ani pracy, już jako nastolatki chcą wegetować, obejrzeć z tatą mecz i jak najszybciej móc pić piwo i palić papierosa. To uproszczenie, ale popatrzmy na liczby: na Wyspach jest już ponad 900 tys. młodych ludzi między 18. a 24. rokiem życia, którzy ani się nie uczą, ani nie pracują.

Wystarczy się przejść dzielnicami wielu brytyjskich miast i miasteczek zamieszkanymi przez jak najbardziej białą klasę robotniczą, by poczuć się niebezpiecznie. W takich dzielnicach rzadko są sprzątane śmieci, a po ulicach, jak choćby w Bristolu, swobodnie biegają szczury. Plaga społeczeństwa dzentelmenów są dziś masowe kradzieże w sklepach.

Przyjmowanie obcokrajowców jest nieraz ekonomicznie uzasadnione, a bywa też ludzką koniecznością, jeśli przyjmuje się ludzi z miejsc ogarniętych wojną, ale zawsze to poważna decyzja dla społeczeństwa i powinna być poprzedzona równie poważną debatą.

Tymczasem i przeciwnicy, i zwolennicy przyjmowania imigrantów posługują się prostymi hasłami, a najczęściej populizmem. Do tego zdarzają się cynicy – jak Boris Johnson, który grzmiał przeciw imigracji, a po cichu dopuszczał ją na wielką skalę.

Nikt się nie zastanawia – także w Polsce, gdzie problem przybyszów już się pojawił – jak stworzyć efektywny system integracji. Nie chodzi o to, by Ukraińcy w Polsce zapomnieli, jak pisać w cyrylicy, a Hindusi zatracili znajomość sanskrytu, ale trzeba budować jedno społeczeństwo.

W książce cytuje pan słynne zdanie intelektualisty Ambalavanera Sivanandana: „Jesteśmy tutaj, bo wy byliście tam”. W kilku słowach oddał chyba istotę problemu imigrantów z dawnych kolonii.

– Mówi się, że imperium wraca do Wielkiej Brytanii w postaci setek tysięcy przybyszów. I pewnie to nieuniknione, ale problemem jest beztroška części liberalnej lewicy, która uważa, że nie trzeba kontrolować tych wielkich liczb. Liberalna elita ma kolonialny kompleks winy i teraz przegina w drugą stronę.

Ale oczywiście, że Brytyjczycy „tam byli”. W Indiach mordowali nie gorzej niż hitlerowcy w Europie Wschodniej, wystrzeliliwali ludzi z armat albo strzelali do nich jak do kaczek, znęcali się nad nimi okrutnie.

Jednocześnie przynosili zdobycze cywilizacji. Jak wyważyć winy i zasługi kolonizatorów?

– Nie da się. Nie wolno zapominać o idealizmie wielu kolonizatorów, ale jeśli ktoś był zbrodniarzem, nie ma znaczenia, że przy okazji przyniósł do kolonii szczoteczki do zębów. Natomiast nie jestem pewien, czy dzisiejsi Brytyjczycy są za tamte zbrodnie odpowiedzialni w takim stopniu, jak im się to wmawia.

Ów kompleks winy sprawia, że stosuje się inne miary wobec białych, a inne wobec imigrantów. Tropi się wszelkie przejawy rasizmu i politycznej niepoprawności. Policja ma do tego specjalne komórki. Brytyjczycy kochają wolność, a zarazem mają inklinacje do budowania państwa niczym z Orwella. Gdyby brytyjski publicysta napisał w tamtejszej gazecie to, co ja teraz mówię, mógłby mieć problem z prawem.

Serio?

– W dużych miastach panuje taki klimat. Gdy w 2024 roku doszło do zamieszek po tym, jak w Southport islamski nastolatek zamordował trzy uczennice, aresztowano i osadzono w więzieniu kilkadziesiąt osób. Zamknięto nawet kilku emerytów, którzy coś bezmyślnie wypisywali w internecie albo byli niegrzeczni dla policjantów.

Do tych „ekscesów” doszło podczas demonstracji oburzonych Brytyjczyków, gdy wyszło na jaw, że policja w Southport cynicznie nie podawała do wiadomości narodowości zabójcy, który pochodził z Rwandy. Mówiono tylko o „poważnym incydencie”. Sąd zakazał policji tajenia informacji, więc chwyciła się wersji o „szalonym” nastoletnim samotniku, który nie miał nic wspólnego z ideologią dżihadu, choć śledczy wiedzieli, że zażytywał się w podrecznikach Al-Kaidy.

W 2023 roku wedle samej policji za wyroczczenia w sieci aresztowano 3500 osób. W listopadzie 2024 roku w tym gronie znalazł się Brytyjczyk, który podczas antyizraelskich demonstracji napisał w serwisach społecznościowych, że nie podoba mu się las palestyńskich flag w jego dzielnicy. W tym samym czasie policja w Londynie zakazała pod karą aresztu prezentacji na ulicach brytyjskich flag, bo mogły urazić demonstrantów protestujących nieopodal przeciwko atakom izraelskim w Gazie.

Tropi się ludzi podających w wątpliwość przyjmowanie imigrantów, zarazem policja przymyka oczy na działalność gangów, jeśli należą do nich np. muzułmanie.

Kilka miesięcy temu Telewizja Channel Four wyemitowała wstrząsający reportaż „Groomed. A National Scandal” o gwałtach na tysiącach białych dziewczynek w wieku 11-12 lat w kilkunastu brytyjskich miastach, zmuszanych przez długie lata do prostytucji przez w większości muzułmańskie gangi. Film pokazał zeznania pięciu kobiet, ofiar tego przestępstwa, i nawet „Guardian”, pisał, że to prze-

rażający proceder. Autorka gazety Lucy Mangana wskazywała na rasowo-religijną przyczynę bezkarności tych gangów. Policja była bierna w imię poprawności politycznej.

Brytyjska policja przestała reagować w wielu przypadkach przestępstw dokonywanych przez przybyszów z Azji, Indii czy Afryki. A mimo to statystyki podają, że obcokrajowcy są trzy i pół razy częściej skazywani za przestępstwa na tle seksualnym niż rdzenni Brytyjczycy. Niedawno uniewinniono pracownika rady miejskiej, który wzywał latem ubiegłego roku do podcinania gardel uczestnikom antyimi-granckich demonstracji. Ludzie mają dość podwójnej taryfy, bo to klóci się ze świętą zasadą fairness.

W tym kontekście dziwi przypadek „pokolenia Windrush” – imigrantów z Karaibów, których zaproszono w powojennych dekadach, by zapłacić lukę na rynku pracy. „Windrush” to nazwa statku, na pokładzie którego przybyli pierwsi z nich. Ci ludzie zintegrowali się, wrosli w Wyspy, dorobili się potomków. Kilka dekad później rząd z całą brutalnością ich wyrzucił.

– W 2012 r. w majestacie prawa uznano, że muszą opuścić Wyspy, bo... nie mają wiz. W roku 1948 nadano im prawo pobytu, ale Home Office odrzuciło ten argument. „Pokolenie Windrush” pozbawiono praw obywatelskich, prawa do pracy na terenie Wielkiej Brytanii, dostępu do świadczeń socjalnych i kont w bankach. Część osadzono w ośrodkach, gdzie czekała na deportację. Śledztwa Home Office ciągnęły się miesiącami. Próbowano pozbawić paszportów nawet ich dzieci urodzone w królestwie. Skandal wybuchł w 2017 roku, gdy „The Guardian” opisał, że urzędnicy dostawali premie za łamanie prawa. Wyrządzono wielką krzywdę około 57 tysiącom osób.

Gdzie tu logika?

– To paradoks, który trudno wytłumaczyć inaczej niż rasizmem – bo nikt nie twierdzi, że go na Wyspach nie ma, mimo praw chroniących mniejszości. Mamy tolerancję posuniętą do skrajności, ale to pokolenie prześladowano z dziwną zaciętością. Biurokracja w Home Office uparła się na ludzi najbardziej lojalnych i zżytych z Wyspami od dwóch pokoleń. Wyszły rasizm i ksenofobia, które krążą w sercach i umysłach Brytyjczyków.

To zakrawa na orwellowskie dwójmyślenie. Bo publicznie wszyscy chcą być politycznie poprawni, a prywatnie myślą co innego. Kiedyś, już wiele lat temu, „The Daily Telegraph” zrobił taką hecę, że podczas uroczystości z udziałem śmietanki towarzyskiej i elity politycznej zamontował przy stolikach mikrofony. Co się okazało? Że niemal wszyscy uczestnicy kolacji opowiadali tak rasistowskie rzeczy, że uszy wędły.

Gościnność uważa się za dobrą, ludzką i chrześcijańską cechę, ale pan twierdzi, że i na Wyspach los imigrantów bywa tragiczny, czego nie chcą zauważyć pięknoduchy.

– Już ponad dwie dekady temu nakręcono o tym wstrząsający film. „Dirty Pretty Things” to dokument o „niewidocznych” ludziach, przybyszach, którzy wykonują najgorsze prace, bez żadnej ochrony i możliwości integracji. W efekcie padają ofiarą mafii albo są rykalizowani i wykorzystywani przez wahabistów i tzw. Państwo Islamskie do ataków terrorystycznych.

Ten film ogląda się jak thriller. Pokazuje społeczność, która jest szacowana – bo nikt nie zna dokładnych liczb – na jakieś 700 tys. do miliona ludzi. Tylko w tym roku na łodziach przybyło na Wyspy około 50 tys. Tych ludzi oficjalnie w Wielkiej Brytanii nie ma, więc można ich zapędzić do niewolnictwa, można ich gwałcić albo wycinać im organy.

Bezrefleksyjnie otwierając na oścież bramy dla każdego i nie mając pomysłu, co dalej, skazuje się obcych kulturowo ludzi na bytowanie na marginesie społeczeństwa. Niektórzy czekają na decyzję w sprawie pobytu wiele lat. In-

ni stają się „niewidzialnymi”, chodzą po ulicach z kilkoma funtami w kieszeni i trudno się dziwić, że część z nich dostaje szajby i rzuca się z nożem na przechodniów. Prawie w każdej grupie zamachowców islamskich są ludzie, których rodziny zapłaciły haracz przemysłnikom, by wysłać ich do raju. A raj okazał się piekłem. Oni wcale nie chcieli zostać terrorystami.

Nie jest winą religii czy psychiki człowieka z głębokiego Pakistanu, że chodząc głodnym po Londynie i gapiąc się na Brytyjki w letnich strojach, dostaje szału. Znane są przypadki desperatów, którzy nożami, młotkami czy maczetami atakowali przechodniów. Oni wcale nie byli żadnymi fanatykami religijnymi – po prostu stali się łatwym celem werbunku dla organizacji terrorystycznych.

Jest i druga strona medalu – zamachowcy samobójcy z 7 lipca 2005 roku, muzułmanie, byli zintegrowani już w drugim pokoleniu, a okazali się zbrodniczymi fanatykami. Ekstremizm islamski to złożone zjawisko.

Na tle wielu grup emigranckich pana zdaniem Polacy nieźle wypadają.

– Niemniej to od nich zaczął się brexit. W 2004 roku Blair nie zażądał okresów przejściowych i na Wyspy napłynęła fala naszych rodaków, a potem także Bułgarów czy Rumunów. Wtedy wszyscy złapali się za głowy, bo w szkołach nagle było w klasie pięcioro dzieci niemówiących po angielsku. I na ich naukę trzeba było wygospodarować dodatkowe środki. Nie jest bowiem tak, że nawet pracownicy imigranci oznaczają tylko wzrost PKB, bo generują także mniej uchwytne koszty. Brytyjczycy zaczęli się wtedy irytować, że w kolejce do lekarza albo w metrze nie słyszy się już angielskiego. Takie nastroje stały się pożywką dla brexitowców.

Niemniej Polacy się odnaleźli i dziś są cenienni za pracowitość oraz przywiązywanie do wartości. Brytyjczykom podoba się, że żyją w sposób tradycyjny – czyli w kompletnych rodzinach, gdzie od dzieci czegoś się wymaga.

Nie chcę zabrznieć jak jakiś dziaders, ale pewne wartości w życiu społeczeństwa są ważne. Nawet religijność. Sam jestem niewierzący, lecz religia daje zestaw zasad, których ludzie starają się przestrzegać. Inteligencja może sobie te zasady brać skądinąd i nie chcę zabrznieć protekcyjnie, ale ludziom na pewnym poziomie intelektualnym Kościół te zasady prezentuje w sposób zwiezły i zrozumiały.

W pańskiej książce zaskoczyła mnie wyrozumiałość wobec decyzji o brexicie.

– Brexitu by nie było bez rozczarowania pozostawionej samej sobie working class. Temat powraca w filmach i sztukach teatralnych. W „Brexit. The Uncivil War” z 2019 roku uderzyła mnie scena z uczestniczką grupy fokusowej, dzięki której chciano poznać motywacje wyborców. Kobieta pochodziła z miejscowości tak ubogiej, że zupełnie nie przemawiały do niej argumenty ekonomiczne. „U nas nie może być już gorzej” – mówiła zapłakana.

Głosowanie za brexitem było wołaniem o pomoc ludzi z dawnych przemysłowych rejonów sparaliżowanych brakiem perspektyw i utratą godności. To była decyzją pochopną, a jej skutki dla gospodarki są negatywne. Ale ci ludzie udarli się, że „odzyskanie” niepodległości pomoże im – bo gorzej być nie może. Z pewnością źródłem brexitu nie była jakaś prostacka tęsknota za epoką imperialną. Takie uczucia mogły przejawiać jedynie jakieś arystokratyczne polityczne dinozaury.

Mówi pan o klasie politycznej, a gdzie w tym wszystkim jest właśnie brytyjskie społeczeństwo?

– To jest społeczeństwo owiec, jak wyraził się kiedyś pewien znany intelektualista, dlatego pozwalam sobie użyć tego epitetu. Brytyjczycy mogą przelknąć wiele. Przez lata wierzyli choćby w zapewnienia Borisa Johnsona, który walczył z emigracją, ale tylko na słowa.

Dziś wielu Brytyjczyków, także z klasy średniej, żyje w warunkach, które dla wielu Po-

laków byłyby urągające. Niektóre opustoszałe miasta wyglądają jak te w dawnej NRD. Publicyści porównują stan państwa do okresu sprzed epoki Thatcher, gdy Wielka Brytania marzyła o pożyczkach z Międzynarodowego Funduszu Walutowego.

Wiadomo, że przez parę lat poziom życia będzie jeszcze spadać. W roku 2029 mamy wybory, które może wygrać Nigel Farage ze swoją partią Reform UK. To, co mówi, podoba się nawet wyborcom Partii Pracy.

Ludzie widzą, że nielegalni migranci mieszkają w hotelach po 500 funtów za dobę, gdy w kolejce po mieszkanie komunalne czeka się w nieskończoność. Pytają: „Dlaczego, do licha, jesteśmy tak hojni?”. A Farage odpowiada, że wcale nie trzeba być hojnym. Dlatego ma szansę zwyciężyć.

Ludzie widzą, że Labour Party zupełnie oglupiała, poddając się ideologii woke, konserwatyści zaś w sposób cyniczny wykorzystali poparcie dla własnych celów, nie realizując swego programu. Teraz po brexicie, gdy już za problemy nie można obwiniać Brukseli, ludzie zdali sobie sprawę z tego, że byli manipulowani i przez torysów, i przez Partię Pracy.

Czy brytyjska ordynacja pozwoli Reform UK na sukces?

– System większościowy sprawia, że szanse nowych partii są mniejsze.

Weźmy wyniki ostatnich wyborów: Partia Pracy dostała tylko 34 proc. głosów, ale w parlamencie zdobyła aż 412 miejsc na 650. Czyli 63 proc.

Konserwatyści z poparciem 24 proc. otrzymali zaledwie 121 miejsc, czyli 19 proc. mandatów – trzykrotnie mniej niż labourzyści, choć poparło ich tylko o 1/3 mniej wyborców.

A Reform UK? Zdobyła 14 proc., a otrzymała niespełna jeden mandat – bo ma pięciu ludzi w Izbie Gmin. To jaskrawo pokazuje absurd brytyjskiego systemu wyborczego.

Więc teraz Wielką Brytanią rządzi partia zdecydowanie mniejszościowa, ale nawet mimo tej ordynacji, i choć do 2029 roku zostało trochę czasu, jest prawdopodobne, że Farage, mający dziś 35 proc. poparcia, wygra wybory. Taki będzie efekt wojny kulturowej, którą rozpętali lewicowi liberałowie stojący często na pozycjach woke i walczący z resztkami tradycyjnie myślącej klasy robotniczej oraz niższej klasy średniej, wspomaganych przez część arystokratycznej elity.

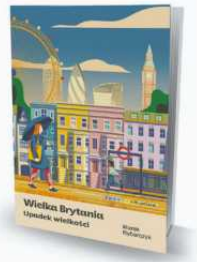
Walki plemienne w Wielkiej Brytanii, ale także w Polsce przynoszą przykre niespodzianki. Byłoby cudownie, gdybyśmy zaczęli mocno stąpać po ziemi i zobaczyli w politycznych oponentach współobywateli, ludzi, z którymi musimy tworzyć wspólnotę i budować jutro. ●



Marek Rybarczyk

• w latach 80. i 2000. etatowy dziennikarz BBC oraz korespondent polskich mediów m.in. „Gazety Wyborczej” w Londynie. Publikował także w „Przekroju”, kierował działem zagranicznym „Newsweeka”. Autor licznych książek o Wyspach i rodzinie królewskiej.

• Najnowsza – „**Wielka Brytania. Upadek wielkości**” – ukazała się w serii „Spectrum” wydawnictwa Muza. Jest dostępna w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl.



Pisarz musi pracować

– Pokazuję, że w kryzysowych sytuacjach jesteśmy zdolni zarówno do heroizmu, jak i bandytyzmu – mówi Ishbel Szatrawska o swojej nowszej powieści.

Z PISARKĄ **ISHBEL SZATRAWSKA**
ROZMAWIA **WOJCIECH SZOT**

Twe książki orbitują wokół wojny: „Żywoł i śmierć pana Hersha Libkina z Sacramento...”, „Toń”, a teraz „Wyrok”.

– Trudno mi uciec od tego tematu. Od 20 lat pracuję w Żydowskim Muzeum Galicja w Krakowie. Co prawda naszym celem nie jest opowieść wyłącznie o wojnie, ale nie ma co ukrywać – w pracy ciągle się z nią stykam.

Wydaje mi się, że w Polsce wszyscy jesteśmy wychowywani na wojennych opowieściach. Przynajmniej moje pokolenie było. Kto nie miał dreszczy na „Salcie” Konwickiego? Kto nie czytał Borowskiego? Do tego wojna wraca do nas ze zdwojoną siłą z racji bieżących konfliktów. Rozmawiamy w Warszawie, jest sierpień. Nigdy od wojny nie uciekniemy.

Bohaterami twojej nowej książki są Majda i Strzelecki, „pospolici szubrawcy czerpiący siłę, rosnący w dumę z tej przeciętności, z niegodziwości, z prostoty straszego przestępczego życia”.

Skąd ci się wzięli?
– Z Becketta. Zależało mi na antybohaterach, paskudnych, ale jednocześnie mających swoje – zrozumiałe dla czytelnika – racje. Chciałam, żeby byli do siebie podobni, ale też różni. Długo zastanawiałam się nad tym, jak ich zbudować – czy jeden powinien być bardziej emocjonalny, a drugi racjonalny? A może inaczej? Gdy przypomniałam sobie o bohaterach „Czekając na Godota”, Estragonie i Vladimirze, ośniło mnie.

Zatem co ich różni?

– Z jednej strony charaktery. Ogień i woda. Dosłownie tak ich określałam.

Majda jest impulsywny, zbudowany na – jakkolwiek to freudowsko zabrzmiał – popędach. Strzelecki myśli racjonalnie, chłodno. I ten prosty podział jest zdecydowanie zaczerpnięty z Becketta, u którego pewna schematyczność tandemu Vladimira i Estragona jest celowa. Beckett fantastycznie się tym bawi i to była dla mnie główna inspiracja. Ale w trakcie pisania zorientowałam się, że chodzi też o to, jak bohaterowie postrzegają swoją sytuację i jakie wiążą z nią nadzieje.

Dla Strzeleckiego rozkaz wykonania wyroku, który otrzymuje, jest nadzieją na, jak to prześmiewczo nazywa Majda: „nowe rozdzanie”, a więc czymś w rodzaju zbawienia, odkupienia. Majda traktuje to znacznie bardziej przyziemnie, nie ma złudzeń. W jakimś stopniu to pewnie też jest beckettowskie, choć już nie tak bezpośrednio.

Poza Beckettem jest tu jeszcze fascynacja językiem. Sięgasz do baroku.

– Na studiach zafascynowała mnie literatura barokowa. To zasługa mojego wspaniałego profesora Andrzeja Borowskiego.

Wyobraź sobie absurdalną sytuację: jesteś 19-letnią, zakochaną w Witkacym dziewczyną, która idzie na polonistykę Uniwersytetu Jagiellońskiego po to, by mieć do czynienia z profesorem Błońskim. I to się oczywiście dzieje. Ale studia to przecież nie tylko Błoński i Witkacy. Na pierwszym roku, na dzień dobry dostajesz kurs z li-

teratury staropolskiej. Kobyla. Do tego łacina i trudne do zrozumienia teksty. Tragedia.

Wkraczasz do sali audytorialnej, siadasz, spodziewasz się najgorszego – że to będą nudy. A tu pojawia się profesor Borowski, niezwykle intelektualista, a do tego showman, który potrafi sprawić, że słucha się wykładów z wypiekami na twarzy.

I to tak, że to był chyba jedyny moment w moim życiu, gdy można było spotkać mnie, 19-letnią opalającą się na dziedzińcu Wawelu i chichoczącą nad pamiętnikami Jana Chryzostoma Paska.

Dziś, po sukcesie serialu „1670”, może to już nikogo nie zdziwi, ale mnie w roku 2000 niepomniernie zdumiało, jak pasjonująca jest „staropolka”.

Zresztą najbardziej pociągającą mnie epoką faktycznie okazał się barok. Lubię wszystkie te rozbudowane środki stylistyczne – oksymorony, hiperbole, antytezy, inwersje. Barok również doskonale się komponuje z Beckettem, który garściami korzystał z dorobku teatru tamtej epoki.

Dlaczego bohaterami twojej książki nie są partyzanci, żołnierze, ale ludzie od brudnej roboty?

– Wojna to wciąż opowieść o tych, którzy z bronią w ręku walczą o jedną bądź drugą sprawę. A przecież większość ludzi nie brała udziału w żadnych walkach, lecz próbowała przeżyć z dnia na dzień. Wielu kombinowało, a niektórzy próbowali się na wojnie wzbogacić.

Zastanawiałam się, kim trzeba było być, żeby tak postępować. Dlaczego ludzie zdradzali najbliższych, donosili, zastraszali swoich sąsiadów, bogacili się ich kosztem? Jednocześnie starałam się nie osądzać moich bohaterów. Choć może, finalnie, oceniam nas wszystkich? Bo pokazuję, że w – łagodnie to nazywając – sytuacjach kryzysowych jesteśmy zdolni zarówno do heroizmu, jak i bandytyzmu.

Wydaje mi się, że dzisiaj już nie mamy złudzeń, że tak jest.

– Nie zgodzę się. Większości z nas wydaje się, że jednostkowo nam się uda. Że źli to będą ci inni, a nie my.

W „Wyroku” prawie niewidoczne są kobiety.

– Chciałam, żeby to była męska opowieść. Inaczej opowiedziana, ale męska. Kobiety pojawiają się na marginesach tej historii. Co może być zaskakujące, książkę zaczęłam pisać od sceny z udziałem kobiety, Bładej Małki.

Myślę, że czytelnicy zobaczą, że choć w „Wyroku” kobiety są pozornie nieobecne, to bardzo dużo dzieje się dzięki nim. W końcu zazdrość, zawiść, miłość nie wydają się bez udziału kobiet.

Sięgasz po stylistykę przypominającą western.

– Pisząc „Wyrok”, w głowie miałam świat jak z powieści Cormaca McCarthy’ego. Jestem fanką westernów, tego niezwykle pojemnego, ale przez lata pogardzanego gatunku. To w westernie znajdziemy historie ludzi z pogranicza – tego namacalnego, geograficznego, ale też ludzi w sytuacji konfliktu ogarniającego całe społeczeństwo, a do tego western zawsze ma mnóstwo nieoczywistych złooczyńców. W polskiej literaturze za pomocą westernowych narracji próbowano sobie radzić z opowieścią o losie cywilów podczas wojny.

Tu zresztą wkracza cały kontekst narracji wojennych w literaturze polskiej. Mamy wspaniałe wzorce i nie będę kryć, że jest cała grupa twórców – literatury, ale także filmu – których dzieła były dla mnie inspiracją. Jednym z moich ulubionych opowiadań jest „Pragnienie” Tadeusza Różewicza. To historia o partyzantach, którzy schwytali starego Niemca. W tym samym czasie główny bohater dowiaduje się, że hitlerowcy złapali jego działającą w konspiracji siostrę. Gdyby tego nie wiedział, może zapobiegłby dręczeniu tego człowieka.

To niejedyny inspiracje, z którymi grasz w „Wyroku”.

– Na pewno Grochowiak, ale też Józef Hen i jego „Prawo i pięść”, z pewnością także Leopold Buczkowski, Jan Józef Szczepański, Rembek. W kinie? Bezapelacyjne „Salto” i „Jak daleko stąd, jak blisko” Konwickiego.

Jest takie powiedzenie, przed którym zawsze się bronię: „Tyle wiemy o sobie, ile nas sprawdzono”. Buntuję się przed nim, bo noszę w sobie idealistyczną wiarę

Jestem fanką westernów, tego przez lata pogardzanego gatunku. W polskiej literaturze za pomocą westernowych narracji próbowano sobie radzić z opowieścią o losie cywilów podczas wojny



• Ishbel Szatrawska w Krakowie na Kazimierzu. W tle budynek przy Placu Bawół z murem poświęconym rodzinie Bosaków, którzy mieszkali w tej kamienicy od 1633 do 1941 roku

w to, że w sytuacji próby jednak potrafimy być heroiczni. Ale prawda jest taka, że rzeczywistość okrutnie nas weryfikuje. Ostatnie lata doskonale to pokazują.

Najpierw mieliśmy fantastyczną postawę Polaków, gdy Rosja zaatakowała Ukrainę. Siła wspólnoty była niezwykła. To społeczne zaangażowanie wyprzedziło instytucje państwowe i sprawiło, że Polska stała się bezpieczną przystanią dla tysięcy uchodźców z Ukrainy.

A dzisiaj? Czy będziemy równie zdeterminowani w walce z antyimigrancką narracją?

W „Wyroku” interesuje mnie moment, w którym człowiek wybiera zło. I nie ma już odwrotu. To wydaje mi się bardzo aktualne.

Wszyscy obserwujemy to, co się dzieje w Gazie. Niektórzy protestują, ale „de facto” jako społeczeństwo nie robimy niczego. Nawiązując do ludobójstwa w Gazie też dlatego, że pracujesz w muzeum, które zajmuje się żydowską historią, a to dziś trudny splot.

– Trudny, choć mam w sobie pewien rodzaj spokoju, bo celem muzeum jest przede wszystkim praca w obszarze szeroko pojętej historii. To nie jest placówka zajmująca się współczesnym Izraelem, tylko konkretną diasporą w konkretnym miejscu Europy i – z reguły, choć nie zawsze – konkretnym momentem historycznym, jakim jest Zagłada.

Jeśli zaś mam się wypowiadać z prywatnej perspektywy, to cóż... Netanjahu uważam – przepraszam za słowo – za skurwysyna. I mówię to nie od dziś, tylko od lat 90. Dziwi mnie, że ktokolwiek może go bronić.

Nawet ci, którzy są najbardziej proizraelscy, powinni sobie przypomnieć masowe protesty Izraelczyków z 2023 roku, kiedy Netanjahu próbował podporządkować sobie sądy i de facto rozmontować izraelską demokrację. To człowiek, który jest nastawiony na zarządzanie konfliktem i strachem także wobec własnego społeczeństwa.

Jeśli zaś chodzi o wojnę w Gazie, myślę, że ostatnie wypowiedzi Dawida Grossmana, skądinąd mojego ulubionego izraelskiego pisarza, są wystarczająco dobitne. To zresztą nie jest pierwszy przypadek, kiedy Grosman staje się – czy tego chce, czy nie – sumieniem Izraela; to pisarz znany ze swojej nieprzejednanej postawy i ostrej krytyki rządów Netanjahu.

W XXI wieku, kiedy każdy konflikt zbrojny, katastrofa klimatyczna, czystki etniczne i ludobójstwo, terroryzm są niemal na wyciągnięcie ręki, bo scrollujemy ten horror codziennie w telefonach i komputerach, globalnie czujemy się po prostu bezradni. Ogrom cierpienia zwyczajnie nas przytłacza.

Nie znaczy to, że nie ma sensu się angażować. Oczywiście, że ma to sens i ja także angażowałam się w akcje pomocowe i na rzecz uchodźców z Ukrainy, i na rzecz Gazy, i z pewnością będę się angażować w kolejne inicjatywy – i nie mówię tego po to, żeby sobie budować wizerunek aktywistki.

Chodzi mi raczej o podkreślenie, że nawet drobne inicjatywy są ważne i spectrum pomocy jest bardzo szerokie.

Z drugiej strony: zawsze będziemy mieli poczucie, że nasza pomoc jest niewystarczająca.

Czy nie mam wyrzutów sumienia, że robię za mało? Jasne, że mam. Bez przerwy.

A na marginesie: w ogóle nie widzę dysonansu między pracą w muzeum zajmującym się historią polskich Żydów a wsparciem inicjatyw pomocowych na rzecz mieszkańców Gazy. Myślę, że pod wpływem izraelskiej polityki, także polityki kulturalnej – bo Izrael bardzo ekspansywnie i arbitralnie rości sobie prawo do prze-

FOT. ADA KOPEC-PAWLIKOWSKA

mawiania w imieniu wszystkich Żydów świata – zapomnieliśmy, że Izrael nie reprezentuje wszystkich postaw obecnych w diasporze i nie ma monopolu na mówienie w jej imieniu. A z pewnością nie ma go pan Netanjahu.

Piszesz o tematach wypartych.

– Dzisiejsze konflikty także będą przepracowywane przez kolejne pokolenia. Najtrudniej będzie oczywiście z takimi tematami, które wymykają się oficjalnym postawom. Doskonale pokazuje to afera wokół gdańskiej wystawy „Nasi chłopcy”.

Jednocześnie, przyznając, dla mnie w historii najciekawsza jest ta szara strefa. I to, jak w sytuacji konfliktu potrafimy trafić zupełnie nie w takie miejsce, w którym byśmy się sami chcieli uplasować.

Może uświadomienie sobie, jak wiele zależy od przypadku, mogłoby nam pomóc wyjść poza bańki, w których się wygodnie mościmy.

– Jesteśmy bardziej do siebie podobni, niżbyśmy chcieli. Od kilku miesięcy nie ma mnie na Facebooku. Moją decyzję przyspieszyło zaprzysiężenie Trumpa, na którym byli wszyscy ważniejsi twórcy i właściciele serwisów społecznościowych zarabiający właśnie na polaryzacji. Pomyślałam: czy chcę się w to jeszcze bawić? Już nie chcę.

Z drugiej strony decyzję podyktował fakt, że świat platform społecznościowych jest strywalizowany i uproszczony. Zamyka nas na dyskusję i argumenty. Nie jest to oczywiście odkrycie Ameryki, po prostu zaczęło mnie to męczyć.

Jak wygląda świat poza Facebookiem?

– Bardzo dobrze. Bycie poza socialami świetnie działa na zdrowie psychiczne, bo na ży-

Paradoks zawodu pisarza jest taki, że dla wielu z nas praca pozaliteracka jest ważna nie tylko z powodu finansowej stabilności, ale oddechu, który daje. Kafka jednak też pracował

wo ludzie nie są tacy skłonni, by skakać sobie do oczu. Przekonałam się też, jak wielkim pozeraczem czasu są serwisy społecznościowe. W trzy tygodnie zrobiłam tyle, ile – gdybym tam została – zrobiłabym w trzy miesiące. Korzyści i emocjonalne, i zawodowe są tak duże, że nie widzę możliwości, by platformy społecznościowe mogły mi to wynagrodzić jakąś mniej lub bardziej wyimaginowaną promocją tego, co robię.

Wychodzi książka, to trzeba powalczyć o zasięgi?

– Słyszę głosy pisarzy, którzy mówią, że bez sociali nie wypromują książki. Rozumiem to i sama w tym brałam udział. Ale promocja to zadanie wydawnictwa i działu promocji.

Mam wrażenie, że niczego nam promocja w socialach nie daje, wcale nie przyciąga nowych czytelników. To po prostu mit, którym jesteśmy karmieni dopóty, dopóki w niego nie uwierzymy. A pisarz ma pisać.

Chciałabyś tak sobie siedzieć i pisać?

– Nie mam jednej odpowiedzi. Chciałabym. A jednocześnie domyślam się, że to nie jest najlepszy pomysł. Paradoks zawodu pisarza jest

taki, że dla wielu z nas praca pozaliteracka jest ważna nie tylko z powodu finansowej stabilności, ale oddechu, który daje. Kafka jednak też pracował.

Mam stałą pracę i nie zanoszę się na to, że bym z niej zrezygnowała. Bardzo ją lubię. Pozwala mi na kontakt z innym środowiskiem, zajmowanie się czymś innym niż tylko literaturą.

Nie jestem typem pustelnika, potrzebuję wyjść – na koncert, wystawę, do kina. Obcować ze sztuką, bo ona zawsze coś w człowieku otwiera. Ale praca zawodowa w innej dziedzinie też jest takim wyjściem i też otwiera horyzonty.

Dla mnie najtrudniejsze w pracy pisarza jest jednak zaangażowanie w promocję. Rój sobie, że najchętniej zostałabym Thomasem Pynchonem, który od dekad nie udzielił żadnego wywiadu, przez co wielu ludzi sądzi, że Pynchon po prostu nie istnieje.

Cyranka, twój wydawca, to niszowa oficyna.

– Bardzo mi u nich dobrze. Mam w umowie uczciwy procent wynagrodzenia od egzemplarza i czuję się zaopiekowana.

Ale sprzedaż polskiej prozy mnie smuci. Nawet książki, które miały wiele recenzji, były nominowane do nagród i są naprawdę dobre, sprzedają się w nakładach nieprzekraczających dwóch tysięcy egzemplarzy. Mnie się udało, nie mogę narzekać na nakłady.

Co tobie by pomogło jako pisarce?

– Zaczę od tego, że bardzo się cieszę, że skończył się spór Joanny Kuciel-Frydryszak z wydawnictwem Marginesy. To bardzo ważne, by pisarze i pisarki potrafili walczyć o swoje wynagrodzenia, w ogóle rozmawiać na ten temat.

To, co na pewno by pomogło pisarzom, to ubezpieczenia. Wiele z nas pracuje wyłącznie na umowach cywilnoprawnych i nie ma szans

na minimalną choćby emeryturę. W ogóle Polsce przydałoby się w końcu uregulowanie statusu artysty – ten problem nie dotyczy tylko pisarzy.

Ale tak już zupełnie jednostkowo, problem ubezpieczeń mnie nie dotyczy, bo przecież jestem na etacie.

Pomagają stypendia i rezydencje. Przydają się nie tylko do researchu, ale też zmiany środowiska. Trafiasz w nowe miejsce, gdzie możesz skorzystać z oferty kulturalnej, z bibliotek, archiwów, czy po prostu położyć po plaży, żeby nabrać sił do pisania.

A co pomaga ci na co dzień?

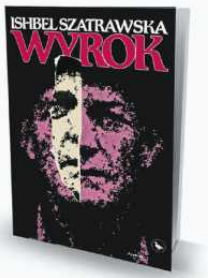
– Pies. Absolutnie. Wszystko, co napisałam, wymyśliłam na spacerach z psem. Pies reguluje życie, wycisza i zmusza do aktywności fizycznej. Ale najlepsze jest to, że resetuje. Idziesz z psem, pies sika, wacha świat, spotka innego psa, a ty trochę nad nim czuwasz, ale tak naprawdę nic nie musisz. I wtedy myśli się najlepiej. ●

*Ishbel Szatrawska

• Rocznik 1981. Dramatopisarka i teatrolożka. Dramat „Żywoć i śmierć pana Hersha Libkina z Sacramento w stanie Kalifornia” (2022) przyniósł jej nominację do Paszportu „Polityki” i nagrodę Odkrycie Empiku.

Za powieść „Toń” (2024) była nominowana do Nagrody Literackiej „Nike”.

• Ishbel Szatrawska, „Wyrök”, wyd. Cyranka, Warszawa 2025



WSPRZEDAŻY

TEMAT NUMERU:
JAK ODPOCZYWAĆ
BEZ PRESJI I OCZEKIWAŃ

DOROTA WELLMAN:
Nie umiem udawać

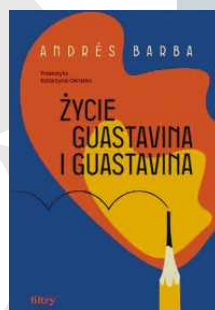
WERONIKA KSIĄŻKIEWICZ:
Coraz częściej odpuszczam

PSYCHOLOGIA:
Przeciążenie decyzjami

SEKS: Problemy z pożądaniem

wysokieobcasy
extra

Numer dostępny
z powieściami Andresa
Barby w prezencie





Nawet matematyka czasem nie nadąża za tym, co my robimy z kwantami.

Z FIZYCZKĄ **NINĄ MAZUREWICZ***
ROZMAWIA **PIOTR CIEŚLIŃSKI**

Na początek... muszę cię przeprosić.
– Za co?

Za to, że zostawiamy wam – młodszemu pokoleniu – świat w takim stanie. Zepsuty, pogubiony. Właściwie przydałoby się mocniejsze słowo. Klimat się sypie, wybuchają wojny, do głosu dochodzą groźne ideologie – i w Polsce, i na świecie.

– Rozumiem, ale ja także cały czas myślę o tym, jaki świat zostawię swoim dzieciom czy dzieciom innych. Odpowiedzialność nie zatrzymała się na waszym pokoleniu, my też ją czujemy. I rzeczywiście, nie wygląda to wszystko najlepiej.

„Kwanty nie gryzą” – to tytuł twojej książki. Co więc ciebie gryzie? Nie daje spokoju w świecie, nauce, życiu?

– Jedną z rzeczy, które mnie gryzą, ale na które chcę mieć jednak jakiś wpływ, jest to, że nauki ścisłe wciąż są traktowane jako coś bardzo odległego. Że wielu ludzi nie widzi, jak głęboko te tematy – fizyka, matematyka, kom-

putery kwantowe – przenikają naszą codzienność. I nie myślę tu tylko o eksperymentach, które szerszej publiczności mogą przypominać filmy science fiction, jak w CERN, ale o tym, że za chwilę – może szybciej, niż się wydaje – komputery kwantowe będą miały realny wpływ na to, jak działa bankowość, jak szyfrujemy dane, jak państwa prowadzą wybory. Jesteśmy w przededniu kwantowej rewolucji technologicznej.

To się zresztą już dzieje. Nicolas Gisin, mój mentor – szwajcarski fizyk specjalizujący się w fizyce kwantowej, o którym wspominam w książce i który jest dla mnie ogromną inspiracją – prowadzi firmę zajmującą się kryptografią kwantową. Tę technologię już przetestowano w praktyce: rząd Szwajcarii użył jej do zabezpieczenia danych wyborczych. To nie jest science fiction.

A jednak – mam wrażenie – ludzi to wciąż nie rusza.

– Zainteresowanie jest, ale często tylko powierzchowne. Polityka? Jasne. Kryzys mieszkaniowy? Jasne. Ale nauka? To już jakby „dla innych”. Niektórzy powiedzieliby, że „dla wybranych”. A tymczasem – jak piszę w książce – prawa fizyki nie pytają, czy się nimi interesu-

jesz. Obowiązują niezależnie od tego, jak bardzo się przed nimi wzbraniasz.

Dlatego tak bardzo zależy mi na tym, żeby pokazywać, że nauka nie jest oderwana od życia. Że nie jest dla geeków. Że ona nie gryzie, a jeśli się ją zostawi samą sobie – to ktoś ją wtedy przejmie. Politycy, wielkie korporacje, autorytarne rządy. Nauka powinna służyć ludziom i tylko jej zrozumienie może uchronić nas przed tym, żeby ktoś ją przeciw nam wykorzystał. Ważnym jest więc, żeby próbować wpuszczać ją pod strzechy i nie zrażać tych, którzy z zainteresowaniem spoglądają w jej kierunku.

Co robisz, kiedy nie piszesz książek?

– Mój świat dzieli się na kilka przestrzeni, które staram się jakoś pogodzić – choć nie zawsze to łatwe. Z jednej strony mam fizykę, która jest moją największą pasją. Z drugiej – ogromną ambicję, żeby stworzyć startup w sektorze kosmicznym. To dopiero początki, wszystko jest jeszcze w fazie bardzo roboczej, ale wciąga mnie to totalnie.

Możesz zdradzić, o co chodzi?

– Nie chcę, a nawet nie mogę na razie mówić za dużo. Ale ogólnie chodzi o stworzenie syste-

mu, który korzystałby z hałasu generowanego podczas startów rakiet...

Brzmi dość szalenie.

– Może. Jak wiele koncepcji powstających w mojej głowie. Ale fizycznie to ma sens. Moje rozwiązanie pozwoliłoby na bardziej zrównoważony rozwój sektora kosmicznego, ale również obniżyłoby koszty kosmicznych wojaży. Szukamy odpowiedniego materiału – w przyszłości w takich poszukiwaniach będą mogły pomóc komputery kwantowe.

To właśnie jedna z płaszczyzn, gdzie fizyka kwantowa styka się z technologią. Na razie mamy prototypy budowane w warunkach laboratoryjnych, ale jestem pełna nadziei, że nie długo się to zmieni. No, zobaczymy, jak to się przegryzie z rzeczywistością...

Przegryzie?

– Tytuł książki nie wziął się z niczego.

To pomówmy o książce.

– Pisanie to najstarsza z moich pasji. Zanim w ogóle zainteresowałam się nauką, ja już pisałam. Pierwsze teksty – o przygodach moich pluszaków – powstawały, gdy miałam pięć, sześć lat. Moja babcia wciąż ma te opowiadania-

nia! Zawsze wiedziałam, że coś mnie z pisaniem będzie łączyło.

Teraz próbuję znaleźć sposób, żeby to wszystko – naukę, pisanie i kosmos – połączyć w jedno. Ta książka, „Kwanty nie gryzą”, to jeden z efektów tej superpozycji [moja rozmówczyni nawiązuje do podstawowej własności cząstek w mechanice kwantowej, które mogą być jednocześnie w kilku różnych stanach]. Piśzę też artykuły, między innymi dla portalu Kosmonauta.net, największego w Polsce medium o sektorze kosmicznym. I działałam w serwisach społecznościowych – próbuję przyciągać ludzi do nauki. Zwłaszcza tych, którzy na co dzień nie mają z nią nic wspólnego.

I udaje ci się to?

– Ta książka trafia często do osób, które nie miały wcześniej żadnego kontaktu z fizyką. Zawsze się zastanawiam: jak o tym mówić? Jak opowiadać o rzeczach tak dziwnych, jak mechanika kwantowa, jak najmniej zniekształcając ich sens, ale jednak w przystępny sposób? Rozmawiałam o tym niedawno z mamą. Ona jest lekarzem – zupełnie inna dziedzina, inny świat. I mówi: „Nina, Boże, o co w tym wszystkim chodzi? Jak Ty to ogarniasz?”. I wtedy myślę: okej, może trzeba jeszcze prościej.

Czasem wydaje się, że już uprościłam wszystko, jak tylko się dało – a potem ktoś pisze: „Nina, jeszcze za trudno”. I tak się uczę. Nawet jeśli ktoś czegoś nie zrozumie od razu, to nie szkodzi – można to zostawić, pójść dalej. Ta książka ma być trochę jak zajawka, przedsmak tego, dokąd może zaprowadzić nas ciekawość. Jeśli ktoś będzie miał ochotę, sięgnie głębiej albo po prostu weźmie to, co dla niego najbardziej przystępne.

Mam do tego podejścia dużo pokory. Bo uprościć coś naprawdę skomplikowanego to często trudniejsze niż napisanie tekstu dla zawodowca.

Wiem coś o tym!

– Na początku myślałam, że to będzie łatwiejsze. Że usiądę i po prostu „machnę książkę”. Ale szybko życie zweryfikowało moje wyobrażenia. To była ogromna praca, a i tak mam wrażenie, że dopiero zaczynam się tego uczyć.

Nasz język codzienny zupełnie nie nadaje się do opisywania zjawisk kwantowych.

– Bo język wyrósł z naszej codzienności, która jest zupełnie inna niż mikroświat. Nawet matematyka czasem nie nadaje – fizycy używali tak zwanej delty Diraca, zanim matematycy w ogóle zdążyli ją sformalizować.

Niels Bohr, jeden z twórców mechaniki kwantowej, mówił, że jeśli chodzi o atomy, języka można używać tylko tak jak w poezji. Poeta również jest zainteresowany nie tyle opisywaniem faktów, ile tworzeniem obrazów i nawiązywaniem mentalnych połączeń. Coraz częściej zastanawiam się też, czy język matematyki, który tworzyliśmy z taką pieczołowitością, wystarczy, żeby opisać świat u jego podstaw... Kiedy już się do nich dokończymy.

Czy kiedy pisałaś, miałaś przed oczami konkretną osobę? Bo styl jest bardzo osobisty, jakbyś mówiła do przyjaciółki albo kolegi.

– Zawsze staram się tworzyć teksty tak, jakby były częścią rozmowy. Jakbyś siedział z kimś bliskim na kawie i próbował opowiedzieć mu o czymś, co jest dla ciebie ważne. A ta osoba w ogóle nie zna świata, z którego pochodzisz, i chodzi o to, żeby znaleźć język, który pozwoli nam się spotkać.

Gdybym miała wskazać jedną osobę, to moją mamę. Z jednej strony – osoba bardzo otwarta i ciekawa świata, z drugiej – kompletnie z innej bajki. Pracuje w medycynie, jest praktyczna, przyziemna. Mechanika kwantowa to dla niej czysta abstrakcja. Ale chciałam, żeby mogła na chwilę wejść w ten świat i poczuć, że to wcale nie jest jakiś odległy kosmos. Mikrokosmos... To ta sama rzeczywistość – i chciałam dać jej możliwość, żeby mogła podejrzeć ją głębiej.

Zaczynasz książkę od zdania: „No i zrobiło się dziwnie”.

– Myślę, że pierwszy raz poczułam to jako nastolatka – gdzieś w gimnazjum, którego zresztą już nie ma. Wtedy pojawił się mój pierwszy kontakt z tym całym szalonym kwantowym światem. Tylko że, co ciekawe, ta dziwność nie objawiła mi się na lekcjach.

Bo szkoła rzadko pokazuje fizykę jako coś naprawdę niesamowitego. Przynajmniej wtedy tak było. W liceum było już znacznie lepiej, bo nauczyciele bardziej wchodził w temat z pasją, a dodatkowo uzbrajali mnie w narzędzia potrzebne, żeby tę pasję rozwinąć. Ten kwantowy szok poczułam, kiedy sama sięgnęłam po książki, na początku były to teksty popularnonaukowe...

Pamiętasz jakie?

– Na pewno „Fizyka rzeczy niemożliwych” Michio Kaku, książki Rogera Penrose’a. Ale Penrose – od razu powiem – nie jest łatwy w czytaniu, nawet jeśli jego książki mają metkę „popularnonaukowe”. Pamiętam, że poleciłam kiedyś u siebie w „socjalach” jego „Cykle czasu”. Byłam po spotkaniu z nim i tak zafascynowana, że chciałam się tą energią podzielić. I odezwała się do mnie dziewczyna: „Nina, myślałam, że ty polecisz coś proste-

formach społecznościowych, liczą się pierwsze sekundy – dosłownie. Jest takie pojęcie „hook”, czyli haczyk. To, co powiesz na początku, musi kogoś złapać. Masz trzy sekundy, żeby zatrzymać uwagę. Tylko trzy! I to nie dotyczy tylko internetu. W każdej formie przekazu liczy się ten moment wejścia – pierwsze zdanie, tytuł, zdjęcie. Wiesz o tym doskonale z pracy w gazecie: jak nie przyciągniesz uwagi, to znikasz. Ludzie przewijają, kartkują, klikają dalej.

Sama ciekawość już nie wystarcza?

– Dla nas – osób, które tym się pasjonują – jest oczywiste, że fizyka kwantowa, sekrety czasu, cząstki elementarne są fascynujące. Ale nie każdy tak ma. I to był dla mnie szok. Bo serio – nie mieściło mi się w głowie, że ktoś może uważać, że kwanty są nudne!

A gdybyś miała sprzedać mechanikę kwantową w trzech zdaniach – złapać czytelnika na swój hak – co byś napisała?

– Że gdyby nie prawa fizyki kwantowej, nie byłoby ciebie, mnie, komputera, telefonu, internetu – niczego. I jeśli szukasz prawdy – a wierzę, że wielu z nas naprawdę szuka – to musisz przynajmniej dotknąć tego świata. Nawet na poziomie podstawowym. Bo inaczej obu-

Nauka nie jest oderwana od życia.

Nie jest dla geeków. Ale jeśli się

ją zostawi samą sobie – to ktoś ją

przejmie. Politycy, korporacje,

autorytarne rządy. Nauka powinna

służyć ludziom, a nie być przeciw

nam wykorzystana

go! Zamówiliśmy tę książkę i... nie rozumiemy nic!”. Wtedy sobie uświadomiłam: owszem, koncepcja cyklicznych wszechświatów jest genialna i inspirująca, ale forma, język – niekoniecznie dla każdego.

Czyli twoje „Kwanty” to miała być inna, prostsza opowieść?

– Taka, która wprowadzi cię w temat, zanim jeszcze umiesz czytać równania. Kiedy jeszcze nie masz narzędzi akademickich, ale już czujesz, że coś cię tam przyciąga.

Właśnie dlategoularyzacja nauki jest tak ważna. To dzięki niej ludzie mogą odkryć coś dla siebie. Nie można zmykać nauki w uczelnianych, mówić do ciekawskich: „wróć, jak skończysz doktorat”. Myślę, że można wgrzyźć się w naukę wcześniej, a to dosłownie może zmienić życie.

Jedna dobrze opowiedziana historia może kogoś zainspirować. Wiem, do kogo trafiam – to nie są dzieci, tylko młodzi dorośli: 18–24 lata, tak pokazują statystyki. Ale są też popularyzatorzy, którzy robią niesamowitą robotę na TikToku, w podcastach, dla jeszcze młodszych odbiorców. Inspirowanie kolejnych pokoleń to ogromna odpowiedzialność.

Jaki masz przepis na dotarcie do młodych ludzi? Trzeba ich zaskoczyć, zaintrygować, a może pokazać, że fizyka może im się po prostu przydać?

– Myślę, że działa... superpozycja. Wszystkiego po trochu. Bo dziś, zwłaszcza na plat-

dzisz się za 10 lat, w rzeczywistości pełnej tego, co dzisiaj wydaje się dziwne i nie będziesz wiedział, o co chodzi.

No i nie oszukujmy się, kogo nie fascynują tajemnice? A rzeczywistość ma ich jeszcze przed nami całkiem sporo!

Czyli prędzej czy później to cię dopadnie.

– Tak. Bo to nadchodzi. Tak jak ChatGPT, o którym dwa lata temu niewielu z nas myślało na poważnie. A dziś jak serwer sztucznej inteligencji pada, to ludzie nie wiedzą, jak żyć. I podobnie będzie z technologiami kwantowymi – one już są, tylko jeszcze w powijakach. Ale wezmą udział w wielkim wyścigu rozwoju. I dlatego warto je poznać, nawet jeśli nie jesteś fizykiem. Bo świat nie będzie na nikogo czekał.

Odniosłem wrażenie, że przez całą książkę przewija się twoja szczególna fascynacja czasem. W którymś miejscu piszesz wręcz, że czas może być kluczem do zrozumienia nie tylko niektórych tajemnic fizyki, ale może nawet do stworzenia nowej teorii.

– Dobrze to napisałam, skoro tak to odebrałeś. Bo rzeczywiście ta książka nie koncentruje się bezpośrednio na czasie, ale bardzo zależało mi, żeby po jej lekturze zostało wrażenie, że nie będziemy w stanie pójść dalej, stworzyć jeszcze bardziej fundamentalnej teorii niż mechanika kwantowa, jeśli nie zmierzmy się z problemem czasu.

Czyli z czym?

– To chyba jedno z najbardziej paradoksalnych i spornych pojęć w fizyce i w ogóle nauce. Czas jest jak marzenie sennie – coś, co istnieje, ale nie umiesz do końca wyjaśnić, dlaczego i jak. To nie jest tylko parametr, który się wpisuje do równań. To coś dużo głębszego. I często właśnie z tego powodu fizycy boją się nim zajmować, zasłaniając się twierdzeniem, że ten w ogóle nie istnieje.

To znaczy?

– Jest tylko iluzją, złudzeniem. Tak właśnie sugeruje wizja tak zwanego blokowego wszechświata, która wyrosła z teorii względności Einsteina.

Blokowy wszechświat można wyobrazić sobie jak filmową taśmę: wszystkie klatki – przeszłość, teraźniejszość i przyszłość – już istnieją. My tylko „przesuwamy się” po tej taśmie, oglądając kolejne kadry. Mamy złudzenie, że czas płynie, ale w rzeczywistości nic się nie zmienia – cała historia wszechświata jest zapisana od początku do końca. Ale to nie ma sensu.

A dlaczego?

– Blokowy wszechświat to piękna matematyczna konstrukcja, która nie odpowiada jednak mojej intuicji. Świat po prostu tak nie wygląda.

No więc co ty sądzisz o czasie?

– Mam poczucie, że czas się tworzy, że jest czymś żywym, a nie tylko parametrem w równaniu. Tworzy się na bieżąco z każdym wydarzeniem. Nie mamy więc do czynienia z gotowym filmem – teraźniejszość naprawdę się staje. Tak mówi koncepcja czasu „kreatywnego” czy „twórczego”, która jest mi bardzo bliska. I bardzo pasuje też do mechaniki kwantowej. Weźmy chociażby kolaps funkcji falowej. Łatwiej go zrozumieć, jeśli założymy, że czas nie tyle odsłania nam kolejne klatki filmu, ile powstaje, można powiedzieć, na naszych oczach.

Z tą ideą zetknął mnie mój mentor Nicolas Gisin, który od lat próbuje opisać czas z użyciem nieklasycznych narzędzi matematycznych, reinterpretując tradycyjne geometryczne podejście. Bo on sądzi, że obecna matematyka nie potrafi tego ugryźć. Potrzebujemy nowego podejścia.

Czas można też próbować opisać za pomocą kwantowych pojęć, takich jak na przykład splątanie i nad tym ja obecnie pracuję.

Jest też ciekawa teoria ewoluującego wszechświata blokowego George’a Ellisa. Miałam przyjemność z nim o niej rozmawiać – niesamowity człowiek. On uważa, że przeszłość istnieje jako einsteinowski blok, ale przyszłość cały czas się dopisuje. I to mi się podobają.

Znowu – dlaczego?

– Rozważmy świat, w którym wszystko już się wydarzyło i nie ma miejsca na wolną wolę, nasze świadome decyzje, zmiany, nadzieje. Jaki sens miałyby wtedy nauka? Po co byśmy robili eksperymenty, podejmowali wybory, zdobywali wiedzę?

To już zahacza o filozofię.

– I bardzo dobrze! Nie da się dziś oddzielić fizyki od filozofii. Wielu wielkich naukowców – również tych, których ja podziwiam – jest o tym głęboko przekonanych Pamiętam takie spotkanie, na które zaprosił mnie Nicolas – dyskusję o indeterminizmie, losowości czy przypadkowości praw natury. Byli tam fizycy i filozofowie z całego świata. Szukali synergii swoich dziedzin. Najważniejsze przecież, żeby dokończyć do prawdy. Właśnie tam padła ta myśl, którą bardzo zapamiętałam, że wolna wola jest warunkiem racjonalnych rozumowań, a zatem nie możemy jej negować. W konsekwencji musimy uznać, że czas naprawdę płynie, a nie jest to tylko złudzenie.

Inną rzeczą – Kant już o tym pisał – jest to, że nie umiemy wyjść poza własną świadomość. Nie jesteśmy „zewnątrznym” obserwatorem rzeczywistości. Jesteśmy jej częścią. I w dodatku prowadzimy naukę wewnątrz tego systemu. Nie wiemy, czy to, co obserwuje-

my, to rzeczywistość taka, jaka jest, czy tylko taka, jaką jesteśmy w stanie zobaczyć.

Może ktoś powie, że to brzmi metafizycznie, ale ja nie uciekam przed tym słowem. Musimy zadawać pytania, które dziś mogą wydawać się filozoficzne, ale za 10–20 lat mogą się okazać fundamentami nowych teorii. Przecież wiele rzeczy, które kiedyś uznawano za metafizykę, dziś bada się w laboratoriach. Dla dobra nauki potrzebujemy spotkać ze sobą różne perspektywy.

Chcesz wziąć udział w tych poszukiwaniach?

– Nie mogłabym odpuścić nauki. I nie wyobrażam sobie umrzeć, no jakkolwiek dramatycznie to nie zabrzmiałoby, nie dowiedziawszy się czegoś więcej o czasie. Chciałabym zrozumieć czas, zbliżyć się do jakiejś prawdy o nim. To jest celem mojego życia, nie nagrody, podróże czy lot w kosmos.

Zmieniałam szkoły, kraje, przechodziłam różne etapy – a to pytanie o istotę czasu wciąż jest ze mną. To moja obsesja intelektualna. I wiem, że mogłabym przeczytać setki cudzych prac, wysłuchać wykładów, przeczytać książki – ale to nie wystarczy. Muszę dolożyć własną cegiełkę, choćby najmniejszą.

Znam fizyków, którzy całkowicie odrzucają filozoficzne rozważania. Mówią, że one nie mają znaczenia, bo ważne jest tylko to, że wyniki eksperymentów zgadzają się z naszymi wyliczeniami. Cała reszta, wyobrażenia i pytania, co to znaczy, ich nie interesują. Spotykasz takich?

– Wielu. Myślę nawet, że większość tak ma. Nie chcę deprecjonować takiego podejścia – rozumiem je, bo kiedy mierzysz się z konkretnymi problemami, łatwiej jest podejść do nich zero-jedynkowo: robimy obliczenia, mamy wynik, idziemy dalej. To trochę przypomina kopenhaską interpretację mechaniki kwantowej, której pragmatyczne podejście oddaje słynne hasło „zamknij się i licz”. Po prostu rachuj i nie zaprzątaj sobie głowy pytaniami, co to właściwie oznacza.

Tyle że mnie to nie wystarcza.

Z drugiej strony oczywiście zdaję sobie sprawę z pułapki: mechanika kwantowa brzmi na tyle tajemniczo i dziwnie, że można podpiąć pod nią niemal wszystko i różne ezoteryczne wymysły sprzedawać jako „naukowe”. Tego musimy unikać. Ale nie można wylewać dziecka z kąpielą. Bez pytań o interpretację, o to, co to wszystko znaczy, opowieść o świe-

Mój mentor prowadzi firmę, która zajmuje się kryptografią kwantową. Tę technologię już zastosowano: rząd Szwajcarii użył jej do zabezpieczenia danych wyborczych

cie staje się niepełna – jak film z samymi dialogami, ale bez obrazu, albo jak obraz pozbawiony narracji.

Potrzebujemy spójnej opowieści, bo inaczej to, co nazywamy nauką, pozostaje tylko suchym zapisem faktów, bez głębszego sensu. A my przecież chcemy zrozumieć, jaką opowieść snuje Wszechświat. Ja chciałabym, żeby nie była wybrakowana.

Masz jakąś ulubioną interpretację mechaniki kwantowej? Taką, która do Ciebie przemawia najmocniej?

– W miarę przyglądania się rzeczywistości to się u mnie kilkakrotnie zmieniał. Serio. Więc jak przeczytasz ten wywiad za pół roku, może już będę gdzieś indziej. Ale dziś ciekawi mnie zastanawianie się nad interpretacją Penrose’a, czasem nazywanej też grawitacyjną.

I co ona mówi o świecie?

– W dużym skrócie: że to właśnie grawitacja odgrywa kluczową rolę w kolapsie funkcji falowej. Że to nie jest tylko kwestia obserwacji czy losowego zdarzenia, ale że to, co na poziomie mikro jest „kwantowe”, przestaje takie być, kiedy w grę wchodzi większe masy – bo zbyt duża krzywizna czasoprzestrzeni powoduje, że superpozycje się po prostu rozpadają. Czyli, obrazowo mówiąc, w mikroświecie cząstka może być tu i tam, to jest może istnieć w wielu stanach jednocześnie. Ale jeśli te stany zaczynają różnić się grawitacyjnie – mają za sobą różne możliwe geometrie czasoprzestrzeni – to już nie ma zmiłuj. Superpozycja się kończy. To właśnie wtedy, zgodnie z tą interpretacją, następuje kolaps.

Penrose uważa też, że czas trwania superpozycji zależy od różnicy energii grawitacyj-

nej między stanami – im większa, tym szybciej dochodzi do kolapsu. To sprawia, że jego hipoteza jest potencjalnie testowalna w eksperymentach z coraz większymi układami kwantowymi. To nie tylko filozofia, ale próba znalezienia realnego mechanizmu, zakorzonego w fizyce grawitacji.

Czyli jesteś zwolenniczką istnienia obiektywnej rzeczywistości – w przeciwieństwie do na przykład noblisty Antona Zeilingera, który twierdzi, że rzeczywistość wyłania się dopiero wtedy, kiedy dokonamy aktu pomiaru.

– Dokładnie tak. Interpretacja Penrose’a zakłada, że kolaps funkcji falowej to fizyczny proces. Coś, co rzeczywiście się dzieje – nie tylko na poziomie abstrakcyjnych obliczeń czy czysto matematycznych formalizmów.

To bardzo realistyczne podejście. Zakłada, że istnieje świat zewnętrzny, niezależny od naszej obserwacji, a jego ewolucja zależy od grawitacyjnych właściwości układu, a nie od naszej subiektywnej decyzji, co decydujemy się zmierzyć. I to bardzo do mnie przemawia.

Taki kwantowy świat byłby trochę mniej dziwny niż w innych interpretacjach fizyki kwantowej, na przykład teorii wielu światów.

– Ale cieszę się, że w nauce zaakceptowaliśmy już dziwność. Że przestaliśmy udawać, że świat musi być intuicyjny, i potrafimy powiedzieć: tak, to jest dziwne – i właśnie z tym się mierzymy. To przyniosła mechanika kwantowa, a cała rewolucja, jaka z niej wynika, otworzyła nam drogę do kolejnych kroków. Dzięki temu łatwiej nam się dziś pogo-

dzić z faktem, że świat nie działa tak, jak podpowiada codzienne doświadczenie.

Choć z drugiej strony – mam poczucie, że nasza wyobraźnia, nawet jeśli bywa bardzo bujna, i tak nie jest w stanie ogarnąć wszystkiego. Może przyzwyczailiśmy się już do pewnego poziomu abstrakcji, ale jaki jest ten ostateczny, graniczny poziom? Tego chyba jeszcze sobie nie uświadamiamy. Obawiam się, że może być tylko dziwniej.

Gdybyś miała zekranizować mechanikę kwantową – jaki to byłby film?

– Najłatwiej byłoby powiedzieć: science fiction. Ale szczerze? Ja chyba bym poszła w zupełnie inną stronę. Może jak thriller psychologiczny. Może jak sen, który nagle się zapętla i nie wiesz, czy już się obudziłeś, czy wciąż śnisz. Albo jak serial obyczajowy, w którym wszystko wygląda zwyczajnie, ale nagle ktoś przechodzi przez ścianę albo znika, bo akurat zmierzyłeś mu spin i zredukowała się jego funkcja falowa. ●



Nina Mazurewicz

• fizyczka, laureatka prestiżowych konkursów międzynarodowych i ogólnokrajowych, na których prezentowała swoje projekty, między innymi koncepcję napędu dźwiękowego oraz model przewidujący dynamikę rozprzestrzeniania się ognia. Popularyzuje wiedzę naukową, między innymi na profilu instagramowym @kobiecypierwiastek oraz motywuje do angażowania się w naukę jako mentorka w programach NASA Space Apps i innych inicjatywach. Równolegle rozwija startup w sektorze kosmicznym.

• Autorka książek „Kobiety Pierwiastek” o kobietach noblistkach (w formie e-booka) oraz najnowszej, „Kwanty nie gryzą”, dostępnej w dobrych księgarniach i w formie cyfrowej na Publio.pl.



REKLAMA

Kraj/34393144

PRZYGODA Z CZWARTKOWYM KLUBEM ZBRODNI NIE KOŃCZY SIĘ NA NETFLIX!

CZEKAJĄ NA CIEBIE KOLEJNE ŚLEDZTWA

POZNAJ BESTSELLEROWĄ SERIĘ COSY CRIME

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYSZ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ EBOOKI/ AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA **publio.pl**

www.wydawnictwoagora.pl

Wydawnictwo
Agora



ARCHITEKTURA ZBRODNI

Nie tylko mury mogą być świadkami przestępstwa, także rośliny, a nawet chmury.

Agnieszka Jucewicz

Mário Gomes siedzi przed dużym monitorem komputera, na którym widać przestrzenny model Grenfell Tower. Ten 23-piętrowy blok mieszkań komunalnych w dzielnicy Kensington w Londynie spłonął 14 czerwca 2017 roku, zginęły 72 osoby. Model jest niezwykle dokładny. Odwzorowano każde piętro, mieszkanie, przylegające ulice i budynki. Gomes, lokator spod numeru 183 na 21. piętrze, stara się odtworzyć minutę po minucie wydarzenia tamtej nocy.

Co mówi pożar

Takich szczegółowych rekonstrukcji będzie więcej. Wniosą je nie tylko ocalałe z pożaru, ale też rodziny ofiar i mieszkańcy sąsiednich domów – świadkowie tragedii. Zamówili je prawnicy reprezentujący poszkodowanych w trwającym sześć lat dochodzeniu.

Rekonstrukcje powstają z pomocą ekspertów Forensic Architecture – interdyscyplinarnej grupy dochodzeniowej, która od 15 lat działa przy Goldsmith College na Uniwersytecie Londyńskim. Badacze tę metodę pracy nazywają „situated testimony”, „umiejscowionym

świadectwem”. Cyfrowy model przestrzeni, w której doszło do tragicznych wydarzeń, ma pomóc ich uczestnikom przypomnieć sobie więcej szczegółów. Nie tylko to, co widzieli, ale też to, co słyszeli i czuli. Po to, by móc jak najwierniej odtworzyć przebieg katastrofy.

Gomes zaczyna od wyposażenia mieszkania. – Tej ściany działowej w salonie nie było. Zburzyłem ją, kiedy robiłem remont. Tu stała kanapa – wskazuję na monitorze. – Tam była nasza sypialnia, obok łóżka postawiliśmy kołyskę dla synka. Okna po tym, gdy administrator budynku wymienił je na nowe, były nieszczelne. Czuliśmy, jak przez szpary wieje wiatr.

Badacz wszystkie szczegóły nanosi na cyfrowy model 3D i wprowadza do przestrzeni cztery postaci reprezentujące Gomesa, jego dwie nastoletnie córki i żonę w siódmym miesiącu ciąży. Za chwilę doda do nich awatara sąsiadki, która przysłała po swoją córkę spędzającą tę noc u Gomesów. Obie już z nimi zostaną.

Przesuwając wskaźnik na osi czasu, można zobaczyć, w którym miejscu mieszkania, a później bloku znajdowała się każda z osób w danym momencie.

Pożar wybucha o godzinie 00.54 na czwartym piętrze od spiecia w lodówce. Strażacy wezwani przez właściciela mieszkania błyskawicznie gaszą ogień, lecz nie zauważają, że płomienie zdążyły się już wydostać przez okno i objęły elewację budynku pokrytą aluminiowymi panelami z rdzeniem z łatwopalnego polietylenu. „To tak, jakby wieżowiec połączyć benzyną” – wytłumaczy mi później Eyal Weizman, założyciel i dyrektor Forensic Architecture. Po niecałej półgodzinie Grenfell Tower przypomina już płonącą pochodnię.

Około 1.15 dym jest na piętrze Gomesów. Nie zbiegają na dół, bo w Wielkiej Brytanii

w sytuacji pożaru wysokościowców obowiązuje zasada „pozostań na miejscu”. Budynki powinny być skonstruowane tak, żeby płomienie nie mogły się przenosić z jednego lokalu do kolejnych, ale nie Grenfell.

Kiedy Gomes dzwoni na numer alarmowy po raz pierwszy, dyspozytorka potwierdza ten nakaz. O godzinie 2.32 mężczyzna dostrzega przez szklaną szybę w drzwiach wejściowych, że korytarz jest pełen gęstego, czarnego dymu, który zaczyna się wdzierać do mieszkania. Godzina jest tak dokładna, bo nagrał ten moment telefonem. To wideo też zostaje naniesione na model. W tle słychać płacz dziewczynki i wodę lejącą się do wanny. Gomesowie wraz z sąsiadką namoczą w niej później ręczniki, którymi owiną sobie głowy i twarze, by chronić się przed dymem. Jest tak gęsty i duszący, że kiedy podejmują pierwszą próbę ucieczki, po uchyleniu drzwi natychmiast cofają się do środka.

Gomes znów dzwoni na dyspozytornię i znów słyszy, że ma czekać. Mija kolejnych kilkanaście minut, jednak nikt się nie zjawia. Trzeci telefon też nic nie zmienia.

Ponieważ wszystkie połączenia z numerem alarmowym są nagrywane, treść tych rozmów również zostaje dołączona do dokumentacji przygotowanej przez Forensic Architecture. Głos Gomesa w rozmowie z dyspozytorką jest coraz bardziej zdenerwowany. W pewnym momencie krzyczy: „Ogień wdarł się do mieszkania. Pali się! Pali się!”. Płoną zasłony, płonie kołyska – te zniszczenia też zostają naniesione na model 3D. Wtedy Gomes podejmuje ostatnią próbę ewakuacji i już nie rozłącza się z dyspozytornią. Zapis audio trwa pół godziny.

Gomes (dramatycznym głosem): „Musimy się stąd wydostać! Idziemy! Trzymajcie się za ręce dziewczynki!”.

Dyspozytorka: „Halo? Strażacy wiedzą, że tam jesteście”.

Gomes kaszle, dławi się: „Nie zatrzymujcie się! Schodźmy!”.

Dyspozytorka: „Proszę do mnie nie mówić. Po prostu idźcie, pozostajcie na linii”.

Na klatce schodowej jest czarno. Na którymś z niższych pięter rodzina się gubi. Na szczęście po chwili wszyscy odnajdują się pod blokiem. W szpitalu żona Gomesa została wprowadzona w śpiączkę farmakologiczną. Lekarze przeprowadzają cesarskie cięcie, ale noworodek jest martwy. Zatrut się dymem. Logan, syn Gomesów, zostanie uznany za najmłodszą ofiarę pożaru.

Trwające sześć lat dochodzenie wykaże, że zawiedli wszyscy: rząd deregulujący rynek, co pozwoliło luźniej traktować kwestie bezpieczeństwa; lokalne władze decydujące się na najtańsze materiały przy renowacji budynku; administrator budynku, bo zignorował skargi na usterki techniczne (zepsute drzwi przeciwpożarowe, niesprawną wentylację); firmy oferujące niespełniające standardów materiały budowlane i straż pożarna, która zbyt późno odwołała zasadę „pozostań na miejscu”.

Materiały zgromadzone przez badaczy Forensic Architecture odegrają ważną rolę nie tylko w wygranym procesie o odszkodowanie, ale również w upamiętnieniu ludzkiego wymiaru tej tragedii. Zostaną pokazane w postaci długometrażowego filmu najpierw w 2024 roku podczas „Grenfell Testimony Week”, gdzie ocaleli, bliscy ofiar i sąsiedzi staną naprzeciwko oskarżonych i opowiedzą, jak ta tragedia wpłynęła na ich życie. A w tym roku, w centrum sztuki w Cardiff.

Pokazowi będzie towarzyszył drugi film. To siedmiominutowa składanka najczęstszych



▲ Grenfell Tower, 23-piętrowy blok mieszkań komunalnych w dzielnicy Kensington w Londynie spłonął 14 czerwca 2017r. Zginęły 72 osoby.

▼ Zespół Forensic Architecture z mieszkańcami Grenfell Tower tworzą bardzo dokładny cyfrowy model budynku i okolicy, by odtworzyć wszystkie okoliczności tragedii



FOT. JEREMY SELWYN/EVENING STANDARD VIA GETTY IMAGES; FORENSIC ARCHITECTURE (4)

odpowiedzi udzielanych w sądzie przez odpowiedzialnych za pożar. Tytuł filmu to: „Nie pamiętam, nie przypominam sobie”.

Architektura kryminalna

Forensic Architecture założył Eyal Weizman, urodzony w Hajfie architekt, profesor kultury wizualno- przestrzennej, wnuczek polskich Żydów ocalałych z Zagłady.

W zespole poza architektami pracują między innymi programiści, informatycy, filmowcy, archeolodzy, dziennikarze śledczy, naukowcy i prawnicy. Wykorzystując zaawansowane techniki, grupa prowadzi niezależne dochodzenia w sprawach dotyczących pogwałcenia praw człowieka, przemocy ze stron władz, wojska, policji i korporacji.

Często pracuje na zlecenie organizacji pozarządowych, między innymi Amnesty International, Lekarzy bez Granic, Czerwonego Krzyża. Wśród jej zleceniodawców są też osoby prywatne, rodziny ofiar lub prawnicy je reprezentujące. I jedno państwo: Republika Południowej Afryki, która w grudniu 2023 roku złożyła przed Międzynarodowym Trybunałem Sprawiedliwości wniosek, w którym oskarżyła Izrael o akty ludobójstwa kierowane wobec ludności palestyńskiej w Strefie Gazy. Forensic Architecture pomogła południowoafrykańskiemu zespołowi prawników zebrać materiały dowodowe w tej sprawie (do tego jeszcze wróce).

Angielskie słowo „forensic” ma szerokie znaczenie. Najczęściej tłumaczone jest jako „sądowy”, „kryminalistyczny”, „śledczy”. Odnosi się do naukowych metod i technik wykorzystywanych w badaniu przestępstw, jednak łacińskie słowo „forensis”, od którego pochodzi, ma jeszcze jedno znaczenie – „należący do forum”. I ten aspekt, prezentowania wyników

dochodzeń szerokiej publiczności, ma dla badaczy Forensic Architecture równie ważne, jeśli nie ważniejsze znaczenie.

Raporty przygotowane przez agencję zostały dopuszczone do postępowań sądowych między innymi w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Niemczech, Grecji, Izraelu, Gwatemali i Kolumbii. Prezentowano je przed Międzynarodowym Trybunałem Karnym, Europejskim Trybunałem Praw Człowieka i Zgromadzeniem Ogólnym ONZ. Można je też oglądać w formie filmów, zdjęć czy interaktywnych map w galeriach i muzeach na całym świecie.

Amerykańskie drony w Pakistanie

Zanim Weizman założył Forensic Architecture, przez lata studiował powstawanie nielegalnych żydowskich osiedli na Zachodnim Brzegu. Analizował, w jaki sposób rozplanowuje się przestrzeń, tak żeby wzmacniać jedne społeczności i rozbijać drugie. Jak projektuje się budynki i drogi dojazdowe, żeby ułatwiać życie jednym (żydowskim osadnikom) i utrudnić je innym (Palestyńczykom).

– Na początku lat 2000 zrozumiałem, że kolonializm może też przybrać formę przestrzenną – mówi. – Architektura to nie tylko budowanie, ale także destrukcja. Może być mechanizmem kontroli, zniewolenia i opresji. Może być też używana jako broń w działaniach wojennych, zwłaszcza w miastach.

Pierwsze architektoniczne dochodzenie, którego podjął się Weizman jeszcze na własną rękę, powstało we współpracy z B’Tselem, znaną izraelską organizacją działającą na rzecz praw człowieka. Miało na celu pociągnięcie do odpowiedzialności izraelskich architektów za pogwałcenie praw człowieka i zbrodnie wojenne. – Zwykle oskarżało się o to polityków, woj-

sko, policję, ale nie architektów. Jednak skoro do zbrodni dochodzi na desce kreślarskiej, na której zaplanowano, jak zbudować osadę, tak by jednocześnie zniszczyć palestyńską wioskę czy miasteczko, to taki projekt staje się dowodem zbrodni. A jego autor jest za nią odpowiedzialny – tłumaczy architekt.

Do pierwszej dekady XXI wieku Weizman mógł korzystać z programów architektonicznych, różnych dokumentów, map, zdjęć lotniczych, zdjęć przysłanych przez świadków. Mógł odczytywać ślady pozostawione na budynkach i w przestrzeni, rekonstruować zdarzenie na podstawie analizy ruin. Bo architektura bywa też świadkiem przestępstwa. Aż w okolicach 2010 roku nastąpiła radykalna zmiana – upowszechnił się mobilny internet i serwisy społecznościowe. Nagle badacze zyskali dostęp do masy zdjęć, nagrań audio i wideo, postów świadków. I to w takich okolicznościach narodziło się Forensic Architecture.

Jedno z pierwszych zleceń przyszło z ONZ, która robiła raport o ataku amerykańskich dronów w Pakistanie. – Amerykanie wtedy jeszcze nie przyznawali się do tego ataku – wyjaśnia Weizman. – Mówili coś w rodzaju: nie potwierdzamy, nie zaprzeczamy. Na podstawie dostępnych zdjęć i nagrań zbudowali model 3D zniszczonych budynków i analizując ślady po pociskach, ich kształt oraz umiejscowienie, wykazaliśmy, że mogły być wyrzucone wyłącznie z dronów określonego typu.

– Ludziom często się wydaje, że dochodzenie na podstawie otwartych źródeł polega na analizie idealnego nagrania, na którym dobrze widać ofiarę i sprawcę – opowiada dalej Weizman. – Takie nagranie może się zdarzyć, zwykle jednak to, co mamy do dyspozycji, to tysiące nagrań i zdjęć, które pokazują ułamek zdarzenia. Na jednym nagraniu słychać tylko wystrzał, na innych widać to, co się wydarzyło dwie, trzy sekundy później, bo ludzie włączają nagrywanie zazwyczaj dopiero, gdy usłyszą wystrzał. Wtedy musimy odtworzyć to, co zdarzyło się wcześniej, na podstawie innych źródeł. Czasem sięgamy po zdjęcia satelitarne, nagrania z innej części miasta. Nasza praca polega na łączeniu fragmentów, strzępków informacji – jest żmudna i architektoniczna.

Czy Mark Duggan trzymał pistolet

Zdarza się, że na analizę kluczowej półtorej sekundy jakiegoś incydentu zespół Forensic Architecture potrzebuje roku.

Tak było w przypadku głośnego zabójstwa Marka Duggana – młodego, czarnego mężczyzny, który 4 sierpnia 2011 roku został zastrzelony w północnym Londynie przez policjanta, co doprowadziło do największych w historii współczesnej Wielkiej Brytanii zamieszek.

Policjanci, podejrzewając, że Duggan kupił broń, zatrzymali jego samochód, a gdy z niego wysiadł, jeden z nich dwukrotnie do niego strzelił, twierdząc później, że Duggan miał w ręku pistolet. Broń znaleziono na trawniku siedem metrów dalej. Policja utrzymywała, że podejrzany musiał ją wyrzucić między wysiadaniem z auta a pierwszym bądź drugim strzałem – to było te kluczowe półtorej sekundy.

W 2014 roku sąd przychylił się do wersji policji, uznając, że funkcjonariusze mieli prawo zabić zatrzymanego. Cztery lata później prawnicy reprezentujący rodzinę Duggana zwrócili się do FA z prośbą o przeprowadzenie niezależnego śledztwa. Na podstawie zeznań policjantów i świadków, ekspertyz, raportu patologa, szczegółowych zdjęć terenu, a także wideo, które nagrał człowiek obserwujący zdarzenie z sąsiedniego wieżowca, badacze stworzyli cyfrowy model 3D, na którym drobiazgowo odtworzyli ruchy policjantów oraz Duggana i dowiedli, że nie mógł on trzymać broni w ręce, kiedy do niego strzelano. Z pozycji, w której się znajdował, nie mógł jej też wyrzucić na taką odległość. Dzięki raportowi rodzina Duggana zawarła z policją metropolitalną ugodę pozasądową, a później raport udostępniono publicznie, co wywołało duże poruszenie.

Weizman uzupełnia: – Policja często utrzymuje, że decyzje „strzelać czy nie strzelać” po-

dejmowane są w ułamku sekundy. Taki raport pokazuje, że za tym ułamkiem sekundy kryje się znacznie więcej. I żeby móc zrozumieć, dlaczego białemu funkcjonariuszowi wydaje się, że widzi w ręku czarnego mężczyzny broń, trzeba też wziąć pod uwagę historię rasizmu, dyskryminacji, kolonializmu i przekonania, które z nich wynikają. My to robimy.

Poznać strażnika po krokach

Co zrobić, kiedy nie ma zdjęć ani nagrań z miejsca zbrodni? Tak było w przypadku Sajdnaji, wojskowego więzienia położonego pod Damaszkiem zwanego Ludzką Rzeźnią.

To tam latami przetrzymywano, torturowano, a wreszcie mordowano „wrogów” reżimu Baszara al-Asada. Po przewrocie w Syrii w grudniu 2024 wstrząsające obrazy z Sajdnaji obiegły cały świat, ale w 2016 roku, kiedy Amnesty International zaprosiła zespół FA do współpracy w przygotowaniu raportu o łamaniu praw człowieka w tym miejscu kaźni, dostępne były wyłącznie zdjęcia satelitarne pokazujące więzienie z zewnątrz – duży betonowy budynek w kształcie śmigła o trzech ramionach. Zdjęcia te wraz ze spisanimi wywiadami z byłymi więźniami przeprowadzonymi przez Amnesty International pozwoliły badaczom Forensic Architecture stworzyć model Sajdnaji w 3D. Ale to był dopiero początek ich pracy.

W kwietniu 2016 badacze polecili do Stambułu, by porozmawiać z byłymi osadzonymi. W tych rozmowach wykorzystali wspomnianą już metodę „situated testimony”. Świadczenia pozwoliły badaczom szczegółowo odtworzyć wnętrza więzienia: umiejscowienie, rodzaj i rozmiar cel, schodów, korytarzy, a także rozkład stołówek z betonowymi stołami i ławami. W rzeczywistości nikt tam niczego nie jadł. Służyła za wyrafinowaną salę tortur, w której więźniów najpierw zaprzęgano do biegu „przez płotki”, na których łamali sobie zęby i kończyny, a potem ich bito. Osadzeni opisywali też szczegółowo narzędzia tortur, fakturę koców, rodzaj kafelków na podłodze i umiejscawiali je w odpowiednich pomieszczeniach.

Ponieważ w środku panowała całkowita ciemność, a więźniowie mieli zakaz odzywiania się, ich dominującym zmysłem stał się słuch. Po jakimś czasie rozpoznawali konkretnych strażników po krokach. Stukot blaszanych misek zapowiadał, że zbliża się pora posiłku. Od różniali, czym bici są współwięźniowie – czy są to pięści, metalowy pręt, kij, kable czy coś jeszcze innego. Jeśli bicie powtarzało się w kolejnych celach, wiedzieli, że zaraz sami będą bici. Po krzykach szacowali skalę bólu. Po sile upadku orientowali się, że ktoś stracił przytomność. Rozróżniali odgłosy przychodzące z zewnątrz, na przykład dźwięk nadjeżdżającej ciężarówki wiozącej nowych więźniów. Jeden ze świadków opowiadał: „Przerażające były też odgłosy zbliżającej się burzy, wiatru, padającego śniegu. W Sajdnaji potrafiło być bardzo, bardzo zimno. To zimno wykończyło wielu ludzi”.

Żeby dobrze skorzystać z pamięci słuchowej byłych więźniów, FA współpracowała z organizacją Earshot specjalizującą się w analizie dźwięków i budowie modeli akustycznych. Badacze odtwarzali rodzaje dźwięków, na przykład kroki strażników, i z pomocą świadków ustalali, jak szybko i jak głośno był ich chód.

Pytam Weizmana, jak radzą sobie z tym, że ludzka pamięć bywa zawodna. – Liczymy się z pomyłkami – odpowiada. – Jednak nasze doświadczenie pokazuje, że należy je traktować raczej jako ważny dodatek, a nie zniekształcenie. W błędzie może kryć się prawda o przeżyciu danego człowieka.

Podaje przykład: – Jeden z byłych więźniów Sajdnaji był torturowany w korytarzu. Według zeznań innych więźniów korytarz miał kształt prostokąta, wzdłuż niego ciągnęły się cele. On zapamiętał tę przestrzeń jako okrągłą. Tak, jakby go osaczała. Z psychologicznego punktu widzenia miało to sens. Oddawało stan jego umysłu – ból i traumę. Dlatego zbieramy również takie pomyłki, są dla nas niezwykle istotne.

Powrót do traumatycznych zdarzeń wzmocniony dodatkowo przez wizualizację

może być niebezpieczny dla osób, które w nich uczestniczyły, ożywiać dawne emocje. Dzielę się tą uwagą z Weizmanem, który uspokaja: – Praca z osobami dotkniętymi traumą to dla nas największe wyzwanie, dlatego robimy to przy współudziale wyspecjalizowanych psychoterapeutów. No i do rozmów zapraszamy tylko te osoby, które zdają sobie sprawę z tego, jak to może na nich wpłynąć i mają solidne oparcie albo w kimś bliskim, albo w specjalście od zdrowia psychicznego.

Co mówi drzewo w Gwatemali

Nie tylko mury mogą być świadkami zbrodni, również uprawy, rośliny, a nawet chmury.

W 2014 roku gwatemalska organizacja pozarządowa CALDH poprosiła Forensic Architecture o pomoc w zebraniu dowodów do procesu byłego dyktatora Efraína Ríos Montta, którego reżim doprowadził do zgładzenia i wykorzenienia ludu Ixil, społeczności Majów zamieszkującej górskie tereny Gwatemali.

Ponieważ na tych terenach ukrywali się powstańcy, władze automatycznie uznały Ixil za wrogów narodu. „Okolo 80 procent wiosek zostało zrównanych z ziemią, a pola i lasy podpalono. Ocalałych siłą przesiedlono do »wzorcowych wiosek« i przeszkolono z nowoczesnych technik rolniczych oraz uprawy monokulturowej” – czytamy w raporcie FA. „Wzorcowe wioski” jako żywo przypominały obozy pracy i były ściśle kontrolowane przez wojsko.

Badacze nie tylko skorzystali ze zdjęć lotniczych, na których gołym okiem widać, jakim przeobrażeniem uległ ten teren pod wpływem militarnej przemocy, ale pojechali też na miejsce i z pomocą członków plemienia Ixil odtworzyli mapę dawnych wiosek, dom po domu.

„Ponieważ budynki plemienia Ixil były zbudowane z drewna i suszonej cegły, ich organiczne pozostałości szybko strawił las mglisty. Aby zidentyfikować pozostałości budynków, nauczyliśmy się śledzić roślinność. Drzewa owocowe takie jak awokado, papaja czy brzoskwinia wskazywały na możliwą obecność dawnych domów i osad” – pisali w raporcie i podsumowywali: „Poprzez masakry, niszczenie lasów i upraw, przesiedlenia ludności, zamykanie terenów wspólnych oraz wojnę psychiczną, państwowe siły bezpieczeństwa nie tylko zaostryły kontrolę nad ludnością wiejską, ale też zakłóciły polityczno-naturalne powiązania między tymi społecznościami a ich ziemią, podważając podstawy istnienia Ixil jako odrębnej kultury”.

Co mówi chmura w Luizjanie

24 sierpnia 2023 roku zbiornik w zakładzie Marathon Petroleum Corporation w Garyville w Luizjanie zaczął przeciekać. Wyciekło 3,76 miliona kilogramów toksycznej, łatwopalnej substancji, a następnie wybuchł pożar.

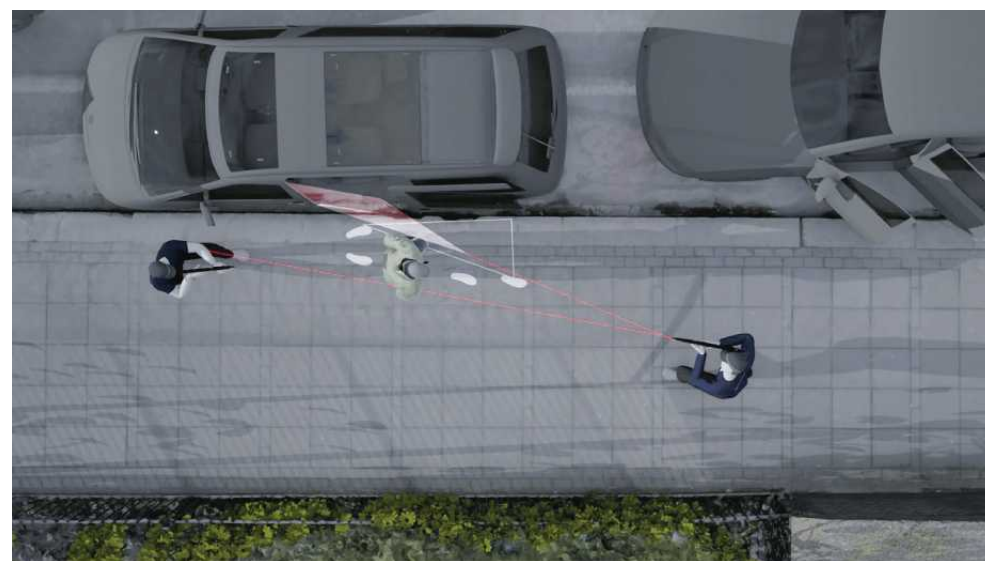
„Przez kilka dni mieszkańcy okolicznych miejscowości dokumentowali rozrost i przemieszczanie się gęstej, czarnej smugi chemicznej; zdjęcia satelitarne pokazały, że rozciągała się ona na ponad 96 km. Mimo że zgłaszali poważne problemy zdrowotne, a kilkoro z nich było hospitalizowanych, przedstawiciele władz stanowych i korporacyjnych konsekwentnie twierdzili, że pożar został opanowany i nie ma żadnych negatywnych skutków poza granicami rafinerii” – czytamy w raporcie.

Badacze FA, współpracując z dziennikarzami „The Guardian”, przeprowadzili wywiady z siedemnastoma mieszkańcami terenów graniczących z gigantem naftowym i stworzyli trójwymiarowy model terenu rafinerii oraz toksycznej chmury. Specjaliści z Wydziału Inżynierii Mechanicznej z Imperial College London pomogli im opracować jej skład chemiczny, ustalić dynamikę oraz trajektorię, by można było ocenić bezpośredni wpływ katastrofy na zdrowie mieszkańców. Raport dowiódł, że niektórzy z nich „byli narażeni na rakotwórczy benzen w stężeniu ponad 18 razy przekraczającym próg ostrej ekspozycji ustalony przez Centrum Kontroli i Prewencji Chorób (CDC)”.

Wspólne śledztwo Forensic Architecture i „Guardiana” pozwoliło przygotować rozsze-



• 4 sierpnia 2011 r w Londynie policjant zastrzelił Marka Duggana, młodego, czarnego mężczyznę, co doprowadziło do wielkich zamieszek. Cztery lata po niewinniającym policjanta wyroku sądu firma Forensic Architecture, na prośbę prawników rodziny Duggana, przeprowadziła niezależne śledztwo. Obok dwie z wielu symulacji tamtego zdarzenia



rzony pozew zbiorowy, w którym poszkodowani domagają się od giganta naftowego wysokich odszkodowań.

Wybuch w rafinerii Marathon nie jest wyjątkiem. W regionie zwanym „aleją raka” albo „aleją śmierci”, bo występuje tu najwyższe w USA ryzyko zachorowania na nowotwory, znajduje się ponad dwieście najbardziej zanieczyszczających środowisko zakładów petrochemicznych.

Forensic Architecture, która od kilku lat działa na rzecz lokalnych – biednych i głównie czarnych – społeczności, tak podsumowuje swój ostatni raport: „Najnowszy incydent w zakładzie Marathon nie może być postrzegany jako odosobnione wydarzenie, lecz raczej jako nagły nawrót objawów przewlekłej choroby, jaką jest rasizm środowiskowy, który nęka ten region od trzystu lat”.

Głód w Gazie ma swoją przestrzeń

Od października 2023 roku zespół prowadzi analizę przestrzenną działań izraelskiego wojska w Strefie Gazy. Na jej podstawie w październiku zeszłego roku (na prośbę zespołu poludniowoafrykańskich prawników) przygotował 827-stronicowy raport i interaktywną platformę Kartografia Ludobójstwa, na której przedstawiono wyniki dochodzenia.

W adnotacji do raportu autorzy wyjaśniają: „Używamy terminu »ludobójstwo« w znaczeniu nadanym mu przez Rafała Lemkina, którego koncepcja miała decydujący wpływ na definicję sformułowaną w artykule 2. konwencji w sprawie zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa. Według Lemkina ludobójstwo oznacza skoordynowany plan działań mających na celu zniszczenie podstawowych fundamentów życia grup narodowych w celu unicestwienia samych tych grup”.

Piszą też: „Obserwowane przez nas schematy postępowania izraelskiego wojska w Strefie Gazy wskazują na systematyczną i zorganiz-

zowaną kampanię, której celem jest niszczenie życia, warunków niezbędnych do życia oraz infrastruktury podtrzymującej życie”.

– Zwykle nasza praca polega na powolnej, skrupulatnej rekonstrukcji poszczególnych przypadków. Sytuacja w Gazie po październiku 2023 roku przyniosła nam ich tysiące – opowiada Weizman. – W pewnym momencie zrozumieliśmy, że w obliczu ludobójstwa nie chodzi o analizę pojedynczych incydentów. O to, że tam zbombardowali szpital, tu szkołę, a tam zniszczyli uprawy, tylko o dostrzeżenie powiązań między nimi. Ponieważ intencjonalność, zamiar zgładzenia danej grupy, można wywnioskować z pewnego schematu postępowania.

– Zaczęliśmy przyglądać się temu, jaki jest związek na przykład pomiędzy tym, że niszczy się rolnictwo – uprawy, ogródki warzywne, szklarnie, czyli zdolność ludzi do samodzielnego wyżywienia się – a tym, że bombarduje się centra dystrybucji żywności – kontynuuje architekt. – Zorientowaliśmy się, że każde z kolejnych działań wzmacnia efekty poprzedniego. Jeśli do tego dołączy się niszczenie infrastruktury medycznej na pewien określony sposób, studni, zbiorników wodnych, a także systemu odsalania wody i tak dalej, to widać pewien wzorzec oraz to, że takie działania nie są przypadkowe.

Pytam Weizmana o wprowadzony pod koniec maja wojskowy model dystrybucji pomocy humanitarnej obsługiwany przez Gaza Humanitarian Foundation, amerykańską organizację wspieraną przez izraelskie wojsko, który zastąpił dotychczasowy model „cywilny” koordynowany przez międzynarodowe i lokalne organizacje humanitarne przy wsparciu sieci lokalnych liderów, społeczności i osób prywatnych.

Weizman: – Głód ma swoją przestrzeń. Swoją architekturę i geografę. Żeby go wywołać, trzeba po kolei zniszczyć wszystkie źródła

żywności na danym obszarze. Wykazaliśmy to w naszym dochodzeniu. Praktycznie cały wschodni obszar Gazy, gdzie mieściły się tereny uprawne, został zrównany z ziemią. Zniszczono 95 procent rolnictwa, do tego wszystkie łodzie rybackie. Dalej, Izrael zaczął ściśle kontrolować każdą kalorię wjeżdżającą do Strefy Gazy.

Kolejnym krokiem było to, o co pani zapytała, czyli zastąpienie sieci dystrybucji pomocy humanitarnej wrośniętej w palestyńskie społeczeństwo przez zewnętrzną firmę. Jeśli chce się zniszczyć jakąś grupę, nie trzeba zabijać każdego jej członka. Wystarczy rozerwać tę niewidzialną sieć. Relację łączącą ludzi, duże rodziny, meczet, lokalne i międzynarodowe organizacje pomocowe. Warto też pamiętać, że Gaza Humanitarian Foundation nie jest żadną organizacją humanitarną. To najemni żołnierze, a każde nadzorowane przez nich centrum dystrybucji żywności stanowi śmiertelną pułapkę.

W Gazie są tylko cztery takie centra, w modelu cywilnym było 400 większych i mniejszych punktów. Droga prowadząca do każdego centrum jest po obu stronach obsadzona posterunkami z izraelskimi żołnierzami, a potem dzieli się na pięć wąskich, odgradzonych od siebie korytarzy. Wzdłuż obwodu każdego centrum zlokalizowane są cztery wieże strażnicze. – To jedna wielka architektoniczna maszyna do zabijania – mówi Weizman.

W raporcie przygotowanym dla World Peace Foundation badacze Forensic Architecture piszą: „Analiza 160 ogłoszeń o godzinach otwarcia i zamknięcia stacji żywnościowych Gaza Humanitarian Foundation opublikowanych na oficjalnej stronie fundacji na Facebooku w okresie od 29 maja do 4 lipca 2025 roku, wykazała, że:

60 procent ogłoszeń opublikowano krócej niż godzinę przed otwarciem placówki. Palestyńczycy muszą pokonać pieszo od 2,5 do 10 km, aby dotrzeć do stacji żywnościowych, co sprawia, że jest mało prawdopodobne, by zdążyli na czas skorzystać z niewielkiej dostępnej pomocy.

Średni czas otwarcia punktu dystrybucji żywności wynosił kiedyś 23 minuty. Po 19 czerwca czas ten spadł do 10 minut.

W 23 procentach przypadków zamknięcie obiektu ogłoszono przed wcześniej podanym czasem otwarcia.

W 16 procentach przypadków podano jedynie godzinę otwarcia lub zamknięcia”.

O pomocy zrzuconej z powietrza Forensic Architecture pisze: „Może trafić w jedno z dwóch miejsc: na 88 procentach obszaru Gazy znajdującym się pod izraelską kontrolą, gdzie wojsko grozi przemocą każdemu Palestyńczykowi, który tam wkroczy, albo na pozostałych 12 procentach, gdzie obecnie zgromadzona jest ludność Gazy.

Te ostatnie obszary są gęsto zaludnione i udokumentowaliśmy wiele zrzutów z powietrza, w wyniku których ginęli ludzie, a ich schronienia były niszczone”.

Z oczywistych względów Forensic Architecture i sam Weizman mają wielu wrogów. Z powodu dochodzenia prowadzonego na terenie Ukrainy w sprawie zbrodni wojennych popełnionych przez rosyjskie wojsko Weizman nie wjedzie do Rosji.

Przez trzy lata, za pierwszej prezydentury Donalda Trumpa, w związku ze śledztwem, które Forensic Architecture prowadziła w sprawie dzieci imigrantów przetrzymywanych w tamtejszych centrach detencji, Weizman miał zakaz wjazdu do USA. Mówi, że obawiałby się też podróży do Turcji, jak i do Izraela zresztą.

Nie zniechęca go to jednak. Szczególnie że powszechna dezinformacja oraz użycie sztucznej inteligencji czyni pracę Forensic Architecture jeszcze bardziej wymagającą.

Martwi go coś innego. – Świat robi się coraz bardziej niebezpieczny, więc i nasza praca robi się coraz bardziej niebezpieczna – mówi. – Boję się o swój zespół, o naszych współpracowników. ●

Z JACKIEM BORCUchem
REŻYSEREM, AKTOREM,
SCENARZYSTĄ ROZMAWIA
AGA KOZAK
ZDJĘCIA MATEUSZ
SKWARCZEK / AGENCJA
WYBORCZA.PL

Mój rozwód sprawił,
że jestem lepszym
ojcem

Jeśli to
empathia,
to *spoko*

AGA KOZAK: Zagrałeś w audioserialu Audioteki „Terapeuta” postać, która dziś – wydawałoby się – jest scancelowana. A przecież figura playboya to zawsze – czy w przypadku fikcyjnych Hanka Moody’ego z serialu „Californication”, wicehrabiego Valmonta z „Niebezpiecznych związków” lub bardzo realnego Bukowskiego, czy Hugh Hefnera – żywa ilustracja ciekawych kryzysów.

Jacek Borcuch, *: Są takie słowa, które nie tylko nie brzmią, ale brakuje dla nich miejsca w rzeczywistości. Słowo „playboy” zdecydowanie należy do tej kategorii. Nawet w twoich ustach brzmi słabo, bardzo niewspółcześnie, żenująco.

Fetuje pewną niszę w męskości, która kiedyś pretendowała do „męskości premium”, a która w tej chwili stała się smutną mniejszością. Można tak powiedzieć o mężczyznach, którzy nie zauważyli, że świat się zmienił, tak bardzo byli skupieni na sobie. Męskość to dzisiaj wyzwanie.

Marcin Capiga w swoim podkaście „Maska męskości” zadaje każdemu pytanie: „Czym jest męskość?”, i chyba jeszcze nikt mu nie odpowiedział.

– Myślę, że męskością może być umiejętność odnalezienia się w świecie, w którym kobieta czuje się bezpieczna. Męskość jest na pewno bardziej partnerstwem niż rywalizacją. Szukam, jak można być męskim, żeby to było postrzegane jako wartość dodana czy synonim czegoś dobrego.

Ja szczęśliwie mam córkę już 19-letnią, która mi ułatwia kontakt z rzeczywistością. Daje mi znaki.

Jest przewodniczką po nowym świecie?

– Tak, w pewnym sensie. Odkrywam dzięki niej rzeczy, które znam od lat, ale jej obecność w moim życiu rzuca na nie nowe światło. Na przykład rodzaje relacji, w jakich żyją jej znajomi. To zupełnie nie czarno-biały obraz.

Świadomość odmienności, narzędzia do opisywania rzeczywistości, które dzisiaj ma do dyspozycji pokolenie mojej córki, są nieporównywalne z moim światem – tym z czasów, kiedy miałem 20 lat. Mój świat w dużym uproszczeniu był zawężony do hetero- i homoseksualności. Dzisiaj ten podział jest prymitywny.

Chociaż środowiska konserwatywne nawet tego nie chcą widzieć. A my przecież żyjemy w zupełnie nowych, nienazwanych jeszcze czasach. Każdego dnia łapię się na tym, że chcę coś powiedzieć, ale wycofuję się z tego. Zdania zmieniają swoje sensy.

Jest takie powiedzenie, że mężczyzna czterdziesto- czy pięćdziesięcioletni, który nie ma dziecka, jest podejrzanym typem. Kiedyś znaczyło to tyle, że skoro do tego czasu nie uporządkował swojego życia, to pewnie już tego nie robi, przehułał swoje życie i na zmianę pewnie nie ma co liczyć.

Dzisiaj to zdanie jest całkowicie wykluczające. Bo niby dlaczego facet nie może nie mieć dziecka? Nie może po prostu nie chcieć? Dlaczego jest podejrzanym? Kto jest sędzią w tej sprawie? Rozumiesz?

Zaczynamy myśleć o wiele szerzej, ale jednocześnie, gdy się cenzurujemy, świat przestaje być swobodny. Wolność jest zagrożona – grzmią inni.

– Jestem osobą wolną i dość swobodną, ale uczestniczę w autocenzurze, nie wiem tylko do końca, czy to społeczny obyczaj samoo graniczenia, pewien rodzaj umowy społecznej, czy rosnąca zbiorowa empatia, a może robi się to dla własnego dobra, żeby cię palcem nie wytykali?

Nie potrafię tego jednoznacznie stwierdzić, ale to coś każe mi się czasem zamknąć. Jeśli to empatia, to spoko. To znaczy, że ten świat obudził w nas, w ludziach, jakieś myślenie o innych, wyjście z ego. Ale może jest tak, jak powiedziałaś, że ten świat przesta-

je być swobodny i po prostu zaczynamy być uważni.

Ja myślę, że mamy i to, i to. Bo my jako ludzie nawet empatię jesteście w stanie zepsuć, wpadając w nadmierne pilnowanie i nowy purytanizm. I są grupy, które pilnowane będą bardziej – na przykład ty jako facet po czterdziestce. To nie jest wygodna pozycja w tym momencie?

– Nie wiem. Dużo bardziej ogranicza mnie biologia, z jej powodu moje istnienie jest w defensywie. Ale to naturalny proces. Zmiany społeczne to zjawiska niezależne, nie przypuszczałem jednak, że będą postępowały tak szybko.

Wszystko przyspieszyło po pierwszej fali #MeToo. Sprawiedliwość dziejowa w najczystszej postaci. Z drugiej jednak strony, kiedy słyszę hasła typu: „Kino jest kobietą”, myślę sobie: „Ej, serio?”. Uśmiecham się oczywiście do siebie, ale mam świadomość, że osoby, które wypowiadają te słowa, naprawdę w nie wierzą.

Ja mogłam być osobą wypowiadającą takie zdania! My dopiero zaczynamy dostrzegać, że takie stwierdzenia mogą być nieinkluzywne, choć też bym z tym nie przesadzała. Może to po prostu wahadło sprawiedliwości odginające się trochę za bardzo w drugą stronę?

– Owo wahadło Wojciech Młynarski opisywał pięknie w swojej piosence:

„Moje ulubione drzewo – leszczyna, leszczyna/ Jak ją za mocno przygiąć w lewo, to w prawo się odgina/ A jak za mocno przygiąć ją w prawo, to w lewo bije z wprawą”.

Mamy jeszcze pojęcie poprawności politycznej, która jest wszechobecna i już właściwie nie do zniesienia – i wtedy to nie empatia, lecz cenzura. Bo empatia to coś dobrego, ale to, że wszyscy chcemy być spoko, lubiani, fajni, mieścić się w standardach, a nie mieć swoje, odmienne zdanie – już nie. Żyjemy w czasach przełomu, prawda?

Powiedziałeś przed chwilą: „Moje istnienie jest w defensywie”.

– Jestem dobrych parę lat po biologicznym peaku, który według ludzi zajmujących się chemią i biologią występuje w okolicach 34.-35. roku życia. Po nim już powoli, o promil procentu co miesiąc, obniża się nasza wydajność.

A że jestem urodzonym melancholikiem, te rzeczy doskwierają mi odczuwalnie każdego dnia. Z tego też powodu zacząłem się narkotyzować endorfinami i dopaminą, czyli zacząłem uprawiać sport. Bardzo późno, bo dopiero pięć lat temu, mając lat 50.

To nawet nie była świadoma decyzja, po prostu z córką graliśmy w badminton a i gdy po trzech uderzeniach zaliczyłem zadyszkę, pomyślałem sobie: „O nie, tak nie może być”. Kupiłem przyzwoite buty, żeby z kolei stawów sobie nie rozwalić. Ja się za bardzo nie ruszałem w ciągu swojego dotychczasowego życia, inwestowałem bardziej w zawartość głowy niż w ciało.

I nagle z dnia na dzień zacząłeś biegać?

– Żaluję, że tak późno to zrobiłem. Bo to bieganie dało mi niezwykle rzeczy. Energia i pewnego rodzaju haj, od którego zaczynam dzień, to jest coś wspaniałego.

Niegdyś o poranku wolno przeciągałem się jak kot – tak wolno, że moje szczyty aktywności, pisanie czy pracy przypadały na późne popołudnie. A teraz mam te szczyty energetyczne od rana.

Dużo lepiej mi się robi wszystko, dużo jaśniej i prostsze jest otoczenie. Kiedyś noc była naturalną okolicznością do pracy, dzisiaj są to przedpołudnia, a właściwie cały, jasny dzień. Nie wiem, ale wszystko się pozmieniało, albo raczej ja to pozmieniałem, i to jest spoko. Teraz jest naturalnie.

Dawniej lubiłem wieczorem napić się wina. A teraz nie. Wieczorne picie mi przeszkadza, rozregulowuje mój naturalny rytm. Że-



Ja szczęśliwie mam 19-letnią córkę, która mi ułatwia kontakt z rzeczywistością. Daje mi znaki

by móc zacząć dzień od intensywnego biegania, żeby dotrzymywać kroku swojej głowie, żeby rozumieć...

I jeszcze bardzo się wystrzegam, szczególnie w rozmowach z córką, mówienia: „A za moich czasów...”. Wiem, że wypowiedzenie takiego zdania będzie moim końcem, moją klęską.

Dlaczego? Mnie się czasem to wymysknie do studentów.

– Bo będę próbował wartościować czy też umniejszać jej świat, twierdząc, że za moich czasów było ciekawiej. Więc scancelowałem takie zdanie, choć mam czasami poczucie, że... Słuchaj, moja babcia, która całą wojnę spędziła na robotach w Niemczech, zawsze mówiła, że to był najpiękniejszy okres jej życia. Co dla mnie jest żywym dowodem na to, że młodość zawsze – pewnie pod warunkiem, że nie żyje się w jakiejś przemocy – jest czymś wspaniałym, co tak właśnie się wspomina. Ten okres kwitnienia jest czymś tak intensywnym, że później nic już nie daje takich przeżyć.

Badacze nazywają to czasem retroutopią – takie przekonanie, że „kiedyś to było lepiej”.

– „Kochanie, gdy ja miałem 19 lat...” – rzadko, ale czasami chciałbym tak powiedzieć córce, ale tego nie mówię. Nie chcę wsadzać do jej życiowego plecaka swojego zestawu przekonań. Po cholere jej wiedzieć, że gdy tata był w jej wieku, to coś tam robił albo czegoś nie robił? To niczemu nie służy, no, chyba że temu, bym ja się wygadał, a ja, owszem, lubię sobie pogadać.

Wróć teraz do tej defensywy w życiu. Przypomina mi się tytuł filmu Zanussiego, który bardzo lubię: „Życie jako śmiertelna choroba przenoszona drogą płciową”.

Żyjąc, tracimy życie. To „koszty życia”, żeby polecieć z kolei tytułem książki Deborah Levy.

– Ale póki się pędzi i biegnie, to się zapomina o tym. Dojrzałość polega na tym, że już się

trochę nie da zapomnieć, że świadomość bierze górę.

Dla mnie kino ma taki dar podarowania zapomnienia ludziom. Magia kina polegała kiedyś – a czasami nawet polega jeszcze i dzisiaj! – na tym, że pozwalała ludziom zapomnieć się właśnie, odizolować od świata, problemów, zrobić sobie pauzę i zanurzyć w jakiejś innej krainie.

Przebywając na co dzień w świecie rzeczywistym, dopominam się o to zapomnienie, bo ono jest jakąś... hm, pożądaną treścią życia. Szczęśliwi jesteśmy wtedy, kiedy się zapominamy: śmiech jest takim momentem zapomnienia; moment, w którym kichamy, nawet płacz – sprawiają, że w tu i teraz jesteśmy bardzo osadzeni, czy to w smutny sposób, czy radosny – wtedy całokształt życia nas tak nie dotyka, nie przeraża.

Wróć jeszcze do „defensywy”, bo gdy ja słyszę to słowo, to czasem myślę, że bywa też okazją do przegrupowania się, przeliczenia zasobów, sprawdzenia, co jest teraz, z czym dalej pójdziemy w bitwę zwaną życiem.

– Parę dni temu spotkałem się z kolegą z liceum. Też mieszka w Warszawie, ale nie widujemy się zbyt często – ostatni raz widzieliśmy się przed pandemią. Umówiliśmy się nad Wisłą przy Centrum Nauki „Kopernik”, przeszliśmy na pierwszą lepszą barkę przy Syrence. Słońce świeciło, było ciepło, podeszliśmy do baru. Oparłem się o ten bar i zdałem sobie sprawę z tego, że ostatni raz w takiej sytuacji byłem z sześć lat temu.

Jakiej?

– Takiej, że stoję oparty o bar i zastanawiam się, co sobie kupić do picia. I w końcu obydwa wzięliśmy piwo bezalkoholowe. To może być uproszczona odpowiedź na temat defensywy. A z drugiej strony to może być też opowieść o jakiejś świadomości – na przykład o tym, że chociaż alkohol piję wtedy, kiedy chcę, to jednak są to sytuacje wyjątkowe.

O ich wyjątkowości oczywiście też decyduje ja. Gdy jestem w swoich ukochanych Włoszech, to nie wyobrażam sobie nie pić wina. Ale już w Warszawie nie mam tego odruchu.

Zresztą to też rzecz nabyta od mojej córki. Nigdy nie wróciła do domu pijana, zapytałem ją kiedyś, co robi na tych imprezach. Powiedziała, że normalnie się bawią. Piją wino, rozmawiają, tańczą. Niby wszystko się zgadza, tyle że alkohol jest tylko lekkim dodatkiem do ich zabawy.

Upraszczaając, jej pokolenie już nie chleje jak pokolenie moje czy moich rodziców. Alkohol jest passé, jest do tego szkodliwy i ogranicza możliwość świadomego przeżywania jedynego życia, jakie mamy. Oczywiście rausz ma swoje miłe strony, więc próbuję żyć w jakiejś harmonii, żeby nie zwariować.

Dużo się zmieniło nie tylko w tej dziedzinie rauszu, lecz w ogóle: kiedyś, gdy ludzie mi coś radzili, zwłaszcza po pierwszym filmie – to nie słuchałem. Teraz mówię „może”. „Może masz rację, może to jest ciekawe?”. Wcześniej w ogóle nie dopuszczałem takich głosów. Czy to można nazwać mądrością, otwarciem się, słuchaniem czy tchórzostwem, lękiem, niepewnością, wątpliwością? Nie potrafię tego określić.

A czy coś pozostało niezmiennie? Chyba to, że nadal jesteś melancholikiem. Tylko co to dla ciebie znaczy?

– Zawsze wiedziałem, że muszę umrzeć. Niby to oczywiste, ale... Pamiętam, jak wpadła mi w ręce w liceum, a może nawet wcześniej, książka pt. „Trup” Louisa Vincenta Thomasa. Jest tam takie zdanie: „Zawsze wiedziałem, że muszę umrzeć, ale całe życie ludzilem się, że w moim przypadku będzie trochę inaczej”. Pamiętam, że pomyślałem: „O, ja tak samo czuję!”.

I przez całą moją podróż przez życie to zdanie powoli traci na mocy. Już nie myślę, że w moim przypadku będzie inaczej. Wiem,

że nie będzie inaczej. Choć ciągle spotykam ludzi, którzy mówią: „Wiesz, nie wiadomo, może coś wymyśla!”.

Co ci daje perspektywa, że umrzesz?

– Teraz już wszystko. Kiedyś potrzebowałem mocniejszych bodźców, żeby coś poczuć. A teraz wszystko mnie zachwyca. Może przez to, że wcześniej zaczynam dzień? Ale to przecież nie kwestia godzin, bo na plan zdjęciowy też wstawałem bardzo rano.

Ale ja to mam wpisane w moje DNA od zawsze, naprawdę od zawsze, tę świadomość śmierci. Półtora roku temu pochowałem ojca, to była jakaś cezura. Przestałem mieć tatę, który opiekował się moją mamą – choć ona nie potrzebowała opieki, jest samodzielna i w świetnej formie. Ale do tej pory tak, jakbym nie miał żadnych obowiązków względem mamy i taty.

Gdy tata zaczął chorować, wszystko zaczęło się zmieniać. Wcześniej nie myślałem specjalnie o mamie, o domu rodzinnym. Żyłem swoim życiem. Przed śmiercią taty wpadałem tam na parę dni w roku, byliśmy w kontakcie, ale nie było to intensywne. Wiedzieliśmy wszyscy, że jesteśmy, że istniejemy, i jeśli ktoś coś miał do kogoś, to kontakt był naturalny.

Po śmierci taty w sposób zupełnie odruchowy – nie była to decyzja, ale właśnie odruch – przejąłem troskę, odpowiedzialność, myślenie o mamie, co się objawia tym, że dzwonię do niej codziennie, a raz w miesiącu jestem u niej na Pomorzu przez kilka dni.

To było dla mnie chyba takim najsilniejszym doświadczeniem związanym z przemianami. I to, że byłem przy tacie, kiedy odchodził. Mimo iż specjalnie nie potrzebował ani mnie, ani brata, ani mamy – był dzielny i samowystarczalny, było to dla niego tak silne przeżycie, że najlepiej się czuł sam.

Do pewnego momentu w ogóle udawał, że się świetnie czuje. Później już było gorzej, ale jak go pytałem: „Jak się czujesz?”, to odpowiadał: „Nie zadawaj mi głupich pytań”. Raz mi się udało do niego jakoś dotrzeć: nie chciał rozmawiać, nie chciał, żebym mu czytał.

Zapytałem: „Może puszcze ci jakąś muzykę, piosenkę?”. „A co?”. „Geppert kiedyś lubiłeś” – nie wiem, skąd mi ona przyszła do głowy, to było dawno, jeszcze w latach 80. „O Geppert tobym posłuchał, zapomniałem o niej”. No i jak mu ją puściłem, to się wzruszył, powiedział, że to było piękne. Czyli udało mi się go tak zczarować, że się zapomniał.

Zabrałem go na te trzy minuty gdzieś indziej. Mój film „Wszystko, co kocham” jest

Z tym zerwaniem z drzewa poznania jest tak, że nie da się tego jabłka odwieść z powrotem, że już jak coś wiesz, to wiesz

o relacji ojca i syna i mnie się teraz wydaje, że my z tatą mieliśmy całkiem niezłą relację. A może to to, co ty nazywasz...

...retroutopia?

– Być może był to rodzaj utopii, że myślałem, że da się taką relację zbudować. Choć ja ze swoją córką wciąż próbuję. Ale z reguły przez cały czas próbuję jej wytłumaczyć, że ja się nie urodziłem jej tatą.

Ja dopiero po czterdziestce zrozumiałam, że mój ojciec najpierw jest człowiekiem, a potem dopiero tatą. I to po tym, gdy przepytalam z męskości dziesiątki mężczyzn! – Staram się z córką o tym rozmawiać. Kiedy mówi do mnie: „Oj, tato...”, ja do niej: „Ale co: »Oj, tato«? Co »oj, tato«? To niczego nie załatwia!”. Ja nie jestem jakąś instytucją, żeby mówić „Oj, bo wy, taty, wszystkie taty, tato wie, świat tatów tak myśli – to brednie!”.

Powiem ci jeszcze taką rzecz – nie wiem, czy jest ona specjalnie oryginalna – ale mam poczucie, że mój rozwód sprawił, że jestem lepszym ojcem.

Po nim miałem takie poczucie, że coś spierdoliłem, i nie chciałem, żeby Miła odczuła tego skutki. Szczęśliwie chyba mi się to udało, przyjaźnimy się z moją byłą żoną, mamy naprawdę dobre, partnerskie relacje. Więc córka żyje w świadomości, że ludzie po rozstaniu się przyjaźnią, że to jest zupełnie normalne.

Ale pamiętam, że gdy była malutka i do mnie przychodziła, to potrafiłem jej powiedzieć: „Tatusi pracuje, idź do mamusi”. A po rozwodzie taka sytuacja była dla mnie niewyobrażalna, nic nie może być ważniejsze od niej, kiedy przychodzi do mnie i czegoś chce.

Czy splanam jakieś długie? Może, ale wolę tę formę kontaktu, jakkolwiek by się nazywała.

A zobacz, dochodzimy do jakiegoś rodzaju pętli z tym, co mówiłeś o empatii: że wid-

mo krzywdy, którą potencjalnie możesz komuś wyrządzić, powstrzymuje cię przed zrobieniem czegoś, że jesteś bardziej opiekuńczy.

– Może. Dostrzeganie swoich błędów i przekształcanie ich... Brzmi trochę jak kolejna utopia. Może to jest część szerszego zjawiska, wartość rozumienia. Że to nie jest wycofanie, a że jednak rozwinęła nam się społecznie empatia, że zaczynamy dostrzegać nie tylko swój czubek nosa.

Ja się często zastanawiam, czy biorę udział w społecznym jakimś... szaleństwie. Ale jeżeli to, o czym teraz mówiłem w kontekście córki, że wziąłem odpowiedzialność i stałem się nie tyle przeczulony, ile empatyczny – to może w tym szaleństwie jest metoda.

I w kontekście społecznym przynosi to olbrzymie korzyści, szczególnie mniejszościom. Od razu nasuwa się pytanie: co lepsze – swobodna, fałszywa wolność i krzywdząca anarchia czy kontrolowana empatia?

I gdzie tu jest wolność, ale tu już jesteśmy w ogródku Ericha Fromma i jego „wolności od” i „wolności do”. Tu by się liczyła wolność OD krzywdzenia. Ale to już na grubszą pogawędkę.

To jeszcze wróćmy do tego zapomnienia. Co ci je daje?

– Wszystko to, co pozwala się zapomnieć, jest dla mnie kategorią pożądaną. Dobra książka, film, dobre jedzenie, podróże, niezwykle miejsca, intensywne relacje z najbliższymi. Wszystko to, co pomaga nie myśleć o tym, że sypie się piach w klepsydrze.

Ja tego oczywiście nie czuję na co dzień, że coś kapie, przecieka, ale mam z tym intensywny, codzienny kontakt. To jest niekończąca się medytacja tego, że się żyje.

Przypomina mi się taki film dokumentalny Janka Holoubka „Słońce i cień” w którym jego tata z Konwickim idą przez las. Mają tam blisko po 90 lat, ledwo idą, ale obaj palą papieroski, przysiadają na jakimś drzewku i Gustaw mówi do Konwickiego mniej więcej tak: „Tadziu, ja ci muszę powiedzieć, że jak ja sobie pomyślę o śmierci, no to to jest no, nierealne.

To jest dla mnie abstrakcja. Ja w ogóle nie wiem, jak ludzie mogą sobie kupować pomniki, rezerwować miejsca na cmentarzu. Śmierć to dla mnie rzecz niepojęta”. I to mówi człowiek stojący nad grobem. I to jest medytacja z silną wiarą w życie. Medytacja śmierci z tą sentencją, o której ci wspomniałem,

że „być może w moim przypadku będzie trochę inaczej”.

Jednak nie będę trupem.

– Moja jest inna – bo ja życie postrzegam w kategorii cudu. Takiego biologicznego – jakkolwiek jednak cudu: że moja matka spotkała mojego ojca, że wskutek tego jestem ja, oddzielny byt. Mam swoje troski, swoje trwogi i próbuję nadać temu sens, a tak naprawdę sens jest taki, że zaraz nie będzie tego sensu.

Oswojenie tego – do czego namawiają nas filozofie Wschodu – jest pewnym osiągnięciem. Czy ja się trwożę? Jakoś tam się trwożę. Ale nadal uważam, że jestem w uprzywilejowanej pozycji, bo są ludzie, którzy żyją w czymś, co moja babcia nazywała „błogą nieświadomością” – dobiegają siedemdziesiątki, ale to wszystko do nich nie dochodzi.

Niestety, z tym zerwaniem z drzewa poznania jest tak, że nie da się tego jabłka odwieść z powrotem, że już jak coś wiesz, to wiesz.

A może – znów będę adwokatem diabła w swojej własnej sprawie – lepiej jest jednak nie wiedzieć i być może trochę półgłówkiem? Może w tej nieświadomości jest więcej męskości, facet się nadyma, przeży, uśmiecha, przewraca oczami i wydaje mu się, że cały świat wiruje wokół niego – ciągle wracam do punktu wyjścia naszej rozmowy.

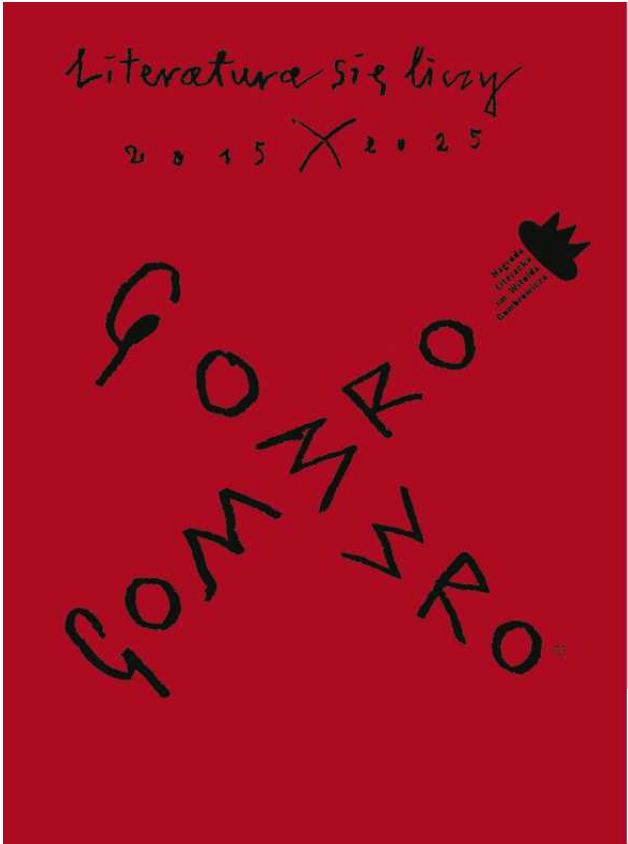
Choć, szczerze mówiąc, nie wiem, czy w ogóle jest sens mówić o męskości, czy nie jesteśmy na etapie, że powinniśmy mówić prościej – o człowieczeństwie. ●

*Jacek Borchuch

• (ur. 17 kwietnia 1970 roku w Kwidzynie) – aktor, reżyser i scenarzysta. Studiował filozofię na Uniwersytecie Warszawskim, aktorstwo w Akademii Teatralnej w Warszawie i w Studium Wokalno-Aktorskim w Gdyni. Zadebiutował jako reżyser i scenarzysta filmem „Kallafiorr” (1999), uznawanym za pionierskie przedsięwzięcie rodzącego się kina offowego w Polsce. Jako aktor zdobył rozgłos dzięki roli w „Długu” (1999) Krzysztofa Krauzego, a jego reżyserskie dokonania m.in. „Wszystko, co kocham” (2009), „Nieulotne” (2012) oraz „Stodki koniec dnia” (2019) były doceniane na festiwalach, w tym Sundance. W najnowszej superprodukcji Audioteki „Terapeuta” Jacek Borchuch wcielił się w głównego bohatera Marka Szredera i wyreżyserował cały audioserial.

REKLAMA

Kraj/34390237



X edycja Festiwalu OPĘTANI LITERATURA

Literatura się liczy
Radom - Wsola

TEGOROCZNI GOŚCIE TO:

GRZEGORZ BOGDAŁ, WIKTORIA BIEŻUŃSKA,
JUSTYNA SOBOLEWSKA, PIOTR SOMMER,
MIKOŁAJ GRYNBERG, BARBARA SADURSKA,
PRZEMYSŁAW CZAPLIŃSKI, EWA GRACZYK,
JÓZEF OLEJNICZAK, JERZY FRANCAK, PAWEŁ SOŁTYS,
MICHAŁ NOGAŚ, DOROTA LANDOWSKA, JACEK WAKAR

KATARZYNA GRONIEC, MANIUCHA BIKONT
KRYSZYNA PROŃKO

13, 14, 15,
16, 17, 18 19, 20
września

Nominowani

Barbara Elmanowska
Joanna Mazur
Monika Muskata
Katarzyna Sobczuk
Maciej Wnuk

Ogłoszenie laureata
20.09.2025

SZCZEGÓŁOWY PROGRAM:
MUZEUMGOMBROWICZA.PL



Organizatorzy:
Prezydent Miasta Radomia
Muzeum Witolda Gombrowicza
Patronat honorowy:
Rita Gombrowicz

Mecenas:
Kryżanowski
KOMBUD

Partner strategiczny:
Mazowsze
Partner strategiczny:
unidevelopment

Partnerzy:
Urząd Miasta Radomia
Urząd Miasta Wsola
Urząd Miasta Wierzbica
Urząd Miasta Włocławek
Urząd Miasta Żyrardów

Patronat medialny:
Wyborcza.pl
Kultura
BOOKLIPS.PL III

WYDARZENIE DOFINANSOWANE
Z BUDŻETU WOJEWÓDZTWA
MAZOWIECKIEGO W RAMACH
ZADANIA „GOMBOROCZNICE 2025”

Słowacja między Wschodem a Zachodem

EUROPA KUSI.
PUTIN
BARDZIEJ?

Słowacki premier Vladimír Mečiar w latach 90.: „Jeśli Zachód nas nie zechce, to pójdziemy w drugą stronę”. Ciągłe idą.

Martin Bútora*

W idzimy to na własne oczy, potwierdzają to badania: w Słowacji powszechne jest myślenie spiskowe oraz postawy antymniejszościowe, antyamerykańskie i przede wszystkim prorosyjskie. Częściowo można to tłumaczyć historią. Sympatia do Rosji pojawiała się u nas zwłaszcza od XIX wieku, kiedy wyrażali ją np. narodowi budziciele: Ján Kollár, Ľudovít Štúr czy konserwatywny polityk Svetozár Hurban Vajanský, którego atencja dla carskiej Rosji brała się nie tylko z poszukiwań sojusznika w narodowej walce Słowaków z habsburskim jarzmem, ale także z postrzegania Rosji jako obrońcy przed zachodnim modernizmem i liberalizmem. Wszyscy oni jednak zupełnie nie znali Rosji z jej brutalnym samoderżawiem.

W Słowacji nie mieliśmy Karela Havlíčka Borovského, czeskiego poety, dziennikarza i polityka, który mieszkał w Rosji w latach 1843-44. „Mogę zaświadczyć - napisał potem - że Rosjanie nie myślą o innych Słowianach po bratersku, ale nieuczciwie i egoistycznie”. Tuż po I wojnie pierwszy prezydent Czechosłowacji Tomáš Garrigue Masaryk opublikował obszerne dzieło „Rosja i Europa”, w którym m.in. zwrócił uwagę na wielkie różnice cywilizacyjne między Rosją a krajami środkowymi i zachodnimi Słowian.

W XX wieku prorosyjskie nastroje wzmocniło u nas wyzwolenie przez Armię Czerwoną oraz ogólny wynik II wojny, a wkrótce potem radziecka dominacja w naszym kraju. Hasło „Ze Związkiem Radzieckim na wieczne czasy i nigdy inaczej” stało się doktryną polityki zagranicznej Czechosłowacji.

W 1968 r. dominację tę osłabiła polityczna odwilż i krótko potem radziecka inwazja wojskowa, ale „normalizacja” lat 70. i 80. ją przywróciła. Po powstaniu niepodległej Słowacji w 1993 r. nastroje prorosyjskie pojawiały się w różnych konfiguracjach politycznych, a pewien kulturowy kod wraz z naiwnym wyobrażeniem Słowacji jako „mostu” między Zachodem a Wschodem znalazł oddźwięk w znacznej części społeczeństwa.

Zbigniew Brzeziński już przed 30 laty ostrzegał przed nierozważnym zawarciem „przedwczesnego partnerstwa” z Rosją i opowiadał się za „tworzeniem pluralizmu geopolitycznego” na terenie byłego ZSRR: „Z całą pewnością można powiedzieć, że bez Ukrainy Rosja przestałaby być imperium, za to gdyby doszło do podporządkowania Ukrainy, Rosja automatycznie stałaby się imperium”.

Jego zdaniem amerykańscy politycy powinni zdać sobie sprawę ze znaczenia Ukrainy, obiecać jej znaczną pomoc gospodarczą oraz dać jej gwarancje niepodległości i integralności terytorialnej.

Czołowy słowacki ekspert ds. polityki zagranicznej Alexander Duleba w drugiej połowie lat 90. też stwierdził, że zamiast uświadomić sobie znaczenie Ukrainy, słowacka polityka zagraniczna preferowała rozwój stosunków słowacko-rosyjskich.

Zwrócił uwagę na „ślepy pragmatyzm” słowackiej elity rządzącej i jej prorosyjskie preferencje: mimo oficjalnych deklaracji o proeuropejskim i proatlantyckim kierunku Słowacji ekipa premiera Vladimíra Mečiarza, za pomocą gęstej sieci kontaktów, mentalnie oswajała nasze społeczeństwo z kwestią przynależności do rosyjskiego kręgu cywilizacyjnego.

„Idea słowiańska” była popularna nie tylko w środowisku nacjonalistycznej inteligencji; cieszyła się też znacznym poparciem w oficjalnych mediach rządowych. Ówczesna polityka słowacka nie rozumiała istoty tego, o czym mówił były prezydent Ukrainy Leonid Krawczuk:

„Idea słowiańska jest ideą carską. Rosja uciskała Ukraińców, Białorusinów, Polaków. Nasza idea narodowa nie jest słowiańska, ale ukraińska. Więzi etniczne nie są perspektywiczne i nie przynoszą nikomu żadnych korzyści. Należy budować normalne stosunki oparte na zasadach europejskich”.

Już w marcu 1993 r. Moskwę odwiedziła delegacja pod przewodnictwem premiera Mečiarza, który prowadził rozmowy o wzajemnych stosunkach z Wiktorem Czernomyrdinem. Znalazły one finał w problematycznym traktacie o wzajemnej przyjaźni między obydwojma krajami.

Politolog Svetoslav Bombík napisał wtedy jasno w dzienniku „SME”: „Strategicznym celem Rosji jest rozbicie prozachodniej Grupy Wyszehradzkiej i uniemożliwienie jej członkostwa w NATO”. W tym celu Rosja chce wykorzystać Słowację jako „najsłabsze ogniwo V4”, bo postrzega ją jako „najbardziej podatną” na przejście do swojej strefy wpływów.

Przypomniał też, że strona rosyjska „zapropozowała już Słowacji przystąpienie do branżowych organizacji Wspólnoty Niepodległych Państw”, przy czym według rosyjskiego ambasadora w Słowacji Siergieja Jastrzembskiego „nie byłoby źle, gdyby Słowacja jako pierwsze państwo środkowoeuropejskie uczestniczyła w pracach choć jednej z organizacji Wspólnoty”.

Według Bombika powstałaby w ten sposób „ramowa współpraca instytucjonalna, od gospodarczej po polityczną i w dziedzinie bezpieczeństwa, dzięki której Słowacja stopniowo znalazłaby się pod wpływem Rosji”, stając się „nieczytelnym partnerem w oczach Zachodu”.

Artykuł Bombika wywołał ogromne poruszenie i zapoczątkował publiczną debatę, która trwała lata.

Kiedy po odwołaniu Mečiarza w marcu 1994 r. do władzy doszedł koalicyjny rząd Jozefa Moravčíka, prerekonformatorska polityka gospodarcza, nieautorytarny styl rządzenia oraz przychylnie działania wobec mniejszości węgierskiej poprawiły reputację Słowacji. Słowacki parla-



ment przyjął nową doktrynę obronną, której celem było „uzyskanie pełnoprawnego członkostwa w NATO”.

W przedterminowych wyborach w 1994 r. ponownie zwyciężyła jednak partia Mečiarza. Kiedy zachodni partnerzy krytykowali jego antydemokratyczne działania, rządowe media budowały mit Mečiarza jako „bohatera narodowego”, którego Zachód nie rozumie. Zarazem jako „alternatywę” zaczęto promować Rosję. Aż do wyborów w 1998 r. całkiem realnie groziła nam mantra Mečiarza: „Jeśli Zachód nas nie zechce, to pójdziemy na Wschód”.

W lutym 1995 r. Słowację odwiedziła delegacja Federacji Rosyjskiej pod przewodnictwem premiera Czernomyrdina, który o słowackim premierze powiedział: „My w Rosji doskonale znamy pana Mečiarza. Nasze spotkanie to dobry sygnał”.

Dzień przed wizytą rosyjskiego premiera wizytę w Słowacji zakończyła delegacja rosyjskiego parlamentu, której szef chwalił „wielowiekową historię stosunków rosyjsko-słowackich”. Mówił też, że spotkał się u nas „z większą otwartością na stanowisko Rosji niż w innych krajach Europy Środkowej”.

W marcu 1995 r. wizytę w Słowacji złożył sekretarz Rady Bezpieczeństwa FR Oleg Łobow, a z nim przedstawiciele rosyjskiego MON-u, MSW i niektórych przedsiębiorstw. Głównym tematem rozmów ze słowackimi władzami była współpraca w przemyśle zbrojeniowym.

W październiku 1995 r. Mečiar i Czernomyrdin podpisali w Moskwie cztery umowy międzyrządowe i dwie międzyresortowe. Ambasador Rosji w Słowacji Siergiej Jastrzembski na spotkaniu z wybraną grupą słowackich dziennikarzy stawiał Mečiarza za przykład dla europejskich przywódców za jego stosunek do rozszerzenia NATO, które jego zdaniem nie może odbywać się kosztem interesów Rosji. W maju 1998 r. prezydent Rosji Borys Jelcyński po spotkaniu w Moskwie powiedział Mečiarowi, że Rosja „bardzo, bardzo pragnie, aby wygrał pan wybory”.

W ciągu ośmiu lat rządów Mikuláša Dzurindy (1998-2006) sytuacja się zmieniła i Słowacja, przystępując do NATO i Unii Europejskiej, umocniła swoją pozycję w strukturach euroatlantyckich.

Pod pewnymi względami posunęła się naprzód również podczas pierwszej kadencji Roberta Fico (2006-10): wspomnijmy przystąpienie do strefy Schengen, przyjęcie



euro, zniesienie obowiązku wizowego z Kanadą i USA czy udział w operacjach wojskowych NATO w Afganistanie. Jednak podczas gdy w praktycznych działaniach i kluczowych decyzjach Słowacja z reguły zachowywała się w ramach NATO i UE jako stabilny sojusznik, to premier Fico zaczął głosić politykę „czterech azymutów” [skierowaną na wszystkie strony świata] i wspierać rozwój stosunków z coraz mniej demokratyczną Rosją.

Ożyły nastroje prorosyjskie. W maju 2007 r. Fico podczas uroczystości upamiętniających 62. rocznicę zakończenia II wojny wezwał społeczeństwo, aby „swobodnie pielęgnowało słowiańską wzajemność”, i skrytykował słowackie media za to, że „już od dwóch dekad świadomie ją ignorują”.

Przewodniczący parlamentu Pavol Paška po spotkaniu w Moskwie z przewodniczącym Dumy Państwowej Borysem Gryzłowem w czerwcu 2007 r. podkreślił, że przedstawiciele RSFSR doceniają pozycję Słowacji jako pewnego mediatora w stosunkach między Rosją a krajami UE. „Na wszystkich poziomach, z którymi miałem do czynienia, panuje absolutne zaufanie do stosunków słowacko-rosyjskich”.

Według niego zaletą Słowacji jest „zdolność do dobrej komunikacji z Federacją Rosyjską, lepszej niż jakiegokolwiek innego kraju członkowskiego Unii”. Była to myślenie naiwne: echo dawnej koncepcji Edvarda Beneša, zgodnie z którą Czechosłowacja miała być „mostem” między Wschodem a Zachodem. Nie wspominam już nawet o infantylnym złudzeniu, że Polska czy kraje bałtyckie potrzebowałyby Słowacji jako pośrednika i że miałyby zaufanie do ówczesnego słowackiego rządu.

Polityka „czterech azymutów” miała odwrócić kraj od rzekomej „jednostronnej orientacji” gabinetu Dzurindy na USA. „Jakbyśmy zapomnieli - głosił Fico w 2009 r. - że świat ma cztery strony. Za prezydentury Władimira Putina (...) Rosja osiągnęła ogromny postęp i ponownie znalazła się na arenie światowej. Ze strony malej i na dodatek słowiańskiej Słowacji kontynuowanie polityki jednostronnej orientacji na Zachód byłoby kolosalnym błędem. W przyszłości dolożymy zatem wszelkich starań, aby rozwijać dobre stosunki z Rosją”.

Dobrą ilustracją i punktem kulminacyjnym stosunków słowacko-rosyjskich za rządów Fico była wizyta prezydenta Miedwediewa w kwietniu 2010 r. z okazji 65. rocznicy wyzwolenia Bratysławy przez Armię Czerwoną. „Słowacja to uprzywilejowany partner, komfortowo otwarta brama do Unii” - oświadczył Miedwediew. Według rosyjskiej de-

legacji współpraca rosyjskich firm ze słowackimi ma „duże perspektywy”, a Słowacja jest „kluczowym partnerem Rosji w Europie Środkowej i Wschodniej”.

Podczas rządów Ivety Radičovej (2010-12) zainteresowanie Rosją osłabło, ale po kolejnych wyborach do władzy znowu doszedł Fico i podczas jego dwóch kadencji sytuacja znów uległa zmianie. Jeszcze przed kolejnymi wyborami w 2016 r. popadł on w konflikt z Unią w sprawie obowiązkowych kwot przyjmowanych migrantów, ale w drugiej kadencji zaskoczył nowym tonem. W 2017 r. na krótko stał się politykiem proeuropejskim, według którego Słowacja jako „proeuropejska wyspa w środku Europy” powinna stać się częścią rdzenia Unii. Starał się w ten sposób wykorzystać dla siebie antyeuropejskie i antyliberalne tendencje na Węgrzech i w Polsce.

Sąsiedzi zauważyli tę zmianę, a media węgierskie i polskie pisały, że Fico z „regionalnego straszaka” i „niebezpiecznego populisty”, który „obudził demony nacjonalizmu”, stał się zwolennikiem szybkiej integracji z europejskim centrum.

Lecz jednocześnie jego koalicyjny partner, szef Słowackiej Partii Narodowej (SNS) i przewodniczący parlamentu Andrej Danko, coraz bardziej zbliżał się do nacjonalistyczno-populistycznego bloku o prorosyjskich sympatiach. Zaledwie trzy tygodnie po tym, jak prezydent Andrej Kiska, premier Fico i Danko uzgodnili jednolitą proeuropejską i proatlantycką politykę, okazało się, jak różne są ich poglądy na świat.

Mimo że w październiku 2017 r. Danko podpisał wspólną deklarację przedstawicieli władz konstytucyjnych w sprawie priorytetów członkostwa Słowacji w UE i NATO, już miesiąc później w swym wystąpieniu w Dumie w Moskwie zamiast o orientacji euroatlantyckiej mówił o orientacji „słowiańskiej”, uznając silną Rosję za „filare bezpieczeństwa światowego”.

Działo się to tego samego dnia, w którym prezydent Kiska przemawiał w europarlamencie na temat aneksji Krymu przez Rosję, zagrożeń związanych z rosyjską propagandą i niebezpieczeństw jej wpływu na światową politykę. Mówił: „Musimy się bronić. Słowami i czynami”.

Fico był już wtedy politykiem o długim stażu. Od 1987 r. był komunistą, który „nie zauważył” aksamitnej rewolucji i listopada 1989 r. Później stał się członkiem Partii Lewicy Demokratycznej, która po wyborach w 1998 r. i porażce Mečiara weszła w skład szerokiej ko-

• **Protest pod hasłem „Dość Rosji!” zorganizowany przez inicjatywę Pokój dla Ukrainy (Mier Ukrainie) przeciwko premierowi Robertowi Fico. Bratysława, plac Wolności. 23.12.2024.**

FOT. PATRIK UHLIR PAP/CTK

alicji kierowanej przez Dzurindę. Wkrótce jednak odszedł i założył partię Smer, która głosiła politykę „trzeciej drogi”. Gdy uznał, że na lewicy pojawiła się wolna przestrzeń, zaczął się przyznawać do socjaldemokracji i wchłonął istniejące lewicowe partyjki. Flirtował z europejskim centrum, zawsze przesuwając się tam, gdzie pragmatycznie spodziewał się sukcesu politycznego.

Przełomem w jego karierze politycznej było brutalne zabójstwo dziennikarza Jána Kuciaka i Marty Kušnírovej w 2018 r., po którym zaczęły wychodzić na jaw korupcyjne praktyki jego ekipy i przenikanie struktur mafijnych na najwyższe piętra władzy. Potężne protesty społeczeństwa obywatelskiego doprowadziły do jego odwołania ze stanowiska premiera. Dlatego w 2020 r., po przegranych wyborach, Fico wyprofilował się jako antybrukselski, antyamerykański i prorosyjski przeciwnik Sorosa, a wzorem stał się dla niego Viktor Orbán.

W latach 2020-23 Fico z niezwykłą agresją atakował rząd, który w pełni zaangażował się we wsparcie Ukrainy, w tym także pomoc wojskową; brutalnie atakował prezydent Zuzanę Čaputovą, którą nazywał „amerykańską agentką”, a dziennikarzy uznał za antysłowackie „węże, hieny i prostytutki”.

Od zwycięskich dla siebie wyborów w 2023 r. Fico głosi „suwerenną politykę zagraniczną”, mocno usprawiedliwia rosyjską agresję na Ukrainę, o którą obwinia Zachód i samą Ukrainę.

Do koalicji ponownie włączył prorosyjską Słowacką Partię Narodową, która wprowadziła do rządu i parlamentu polityków antysystemowych o ekstremistycznej lub faszystowskiej przeszłości. Tak „uzbrojony” przystąpił do bezprecedensowej walki z liberalną demokracją na Słowacji, dążąc do rządów autokratycznych.

Po skończeniu kadencji prezydent Čaputovej Smer zaangażował się we wsparcie Petra Pellegriniego, przewodniczącego ugrupowania Hlas – socjalna demokracja. Ostatecznie po przegranej pierwszej turze wyborów prezydenckich Pellegrini pokonał kandydata liberalno-demokratycznego, byłego szefa MSZ Ivana Korčoka, ponieważ Smer, Hlas, ugrupowania antysystemowe i dezinformacyjne sieci społecznościowe zmobilizowały wyborców fałszywym twierdzeniem, że Korčok to „kandydat wojny”.

Mimo tych sukcesów, w połowie 2025 r. można stwierdzić, że dzięki działaniom społeczeństwa obywatelskiego i opozycji Fico nie jest w stanie zrealizować wszystkich swoich celów w polityce wewnętrznej.

Tym bardziej niebezpieczna jest linia, którą Fico i jego partia wytyczyli w polityce zagranicznej. Usprawiedliwianie i popieranie rosyjskiej agresji, częste spotkania szefa MSZ Juraja Blánára z jego rosyjskim odpowiednikiem Ławrowem, ataki Fico na Ukrainę i jej prezydenta, ciągłe oskarżanie Unii o prowadzenie złej polityki wobec Rosji oraz blokowanie unijnych działań - to spycha Słowację na margines wspólnoty euroatlantyckiej.

Fico nie tylko zrealizował zapowiedź swojego udziału w obchodach 80. rocznicy zakończenia II wojny w Moskwie (był tam jedynym szefem rządu z kraju UE). Stwierdził też, że zamierza „normalizować stosunki z Rosją”, i wystąpił w rosyjskiej telewizji państwowej. A w 2024 r. zaskoczył opinię spotkaniem z Putinem w Moskwie na dwa dni przed Wigilią.

Wizyta na Kremlu wywołała wielkie poruszenie w kraju, a rzekome rozmowy w sprawie dostaw rosyjskiego gazu przez terytorium Ukrainy są według opozycji hańbą dla Słowacji i zdradą interesów narodowych, bo tę kwestię należałoby omówić z Ukrainą.

- To przełom w naszej polityce zagranicznej, a premier nie ma do tego żadnego mandatu – stwierdził Korčok, dziś członek najsilniejszej partii opozycyjnej Progressywna Słowacja. Równie ostro zareagowały inne partie opozycyjne. Podróż skrytykował też prezydent Pellegrini, według którego wizyta w Moskwie może znacznie zaszkodzić Słowacji w oczach Unii i NATO.

Wiele mediów głównego nurtu wyraziło obawy, że Fico stara się wyrwać Słowację z Zachodu i włączyć ją do świata rosyjskiego. Jego rozmowy z Putinem, których rzekomym celem było uzgodnienie dostaw gazu, są w rzeczywistości przykładem polityki mającej na celu zerwanie standardowych stosunków między członkami UE i NATO oraz wstrzymanie sankcji wobec Rosji i wsparcia dla Ukrainy. Fico zdradził podstawy republikańskiej wolności i demokracji oraz odwrócił Słowację od Unii i NATO, kierując ją w stronę Rosji. Co jest groźne dla wolnego, demokratycznego rozwoju kraju. Słowacja znów znalazła się na rozdrożu między Zachodem i Wschodem. ● przeł. Andrzej S. Jagodziński

• Tekst napisany dla „Wyborczej”. Tytuł od redakcji.



*Martin Bútora

• ur. w 1944 r., słowacki pisarz, socjolog, dyplomata i publicysta. Współzałożyciel ruchu Społeczeństwa przeciw Przemocy – głównej słowackiej siły aksamitnej rewolucji w 1989 r. W latach 1990-92 doradca prezydenta Havla, później słowackiego prezydenta Kiski. Były prezes Słowackiego PEN Clubu. Jako ambasador Słowacji w USA (1999-2003) walczył przyczynić się do przyjęcia tego kraju do NATO.

Słowacja. Nowa mutacja nacjonalizmu

ZARAZA SZALEJE
W BRATYSŁAWIE

Nowoczesność,
empatia dla słabszych,
szacunek dla natury?
Nacjoniści tego nie cierpią.
Wolą podziwiać Rosję Putina.

Martin M. Šimečka*

Pojęcie „antysłowacki” powróciło znów na scenę, ale jest puste, bo rzekomymi wrogami są... sami Słowacy. „Nacjonalizm to choroba wieku dziecięcego. Ludzkość musi ją przeżyć jak odrę” - powiedział Albert Einstein. Być może pewnego dnia się z tego wyleczy, ale Słowacja na razie przeżywa kolejny nawrót zarazy. Wirus nacjonalizmu odżył w nowej mutacji.

Słowo „antysłowacki” jest w powszechnym wyposażeniu polityków rządzącej koalicji [premiera Fico], ale używają go inaczej niż w przeszłości. Wrogami Słowaków nie są już mieszane rodziny ani jacyś „obcy”, zniknęły też aluzje do pochodzenia etnicznego. Wrogami Słowaków są dziś Słowacy, którzy sprzeciwiają się rządowi. To niewielka zmiana retoryki, ale tylko pozornie.

Historia słowackiego nacjonalizmu jest stunkowo krótka. W XIX wieku kryła się w nim jeszcze pozytywna idea tożsamości narodowej opartej na kulturze, zarówno ludowej, jak i nowoczesnej. W XX wieku przybierał on różne formy, ale jedna jego cecha pozostawała niezmienna: zawsze był antydemokratyczny. W przeciwieństwie np. do krajów bałtyckich, gdzie nacjonalizm odegrał ważną rolę na początku lat 90. w buncie przeciwko rosyjskiej dominacji i w budowaniu demokracji.

Jednocześnie słowacki nacjonalizm miał zawsze charakter paranoiczny, oparty na teoriach spiskowych. Swą śmiertelnością się pokazał podczas II wojny światowej, kiedy prezydent Państwa Słowackiego ks. Jozef Tiso głosił, że należy pozbyć się „żydowskiego żywiołu”, a za wrogów narodu uznał również Czechów.

W czasach komunizmu nacjonalizm był oficjalnie zakazany, dlatego w latach 50. „burżuazyjnych nacjonalistów” uznawano za wrogów reżimu, ale po 1989 r. powrócił z pełną siłą. Głównymi wrogami stali się wtedy Węgrzy i Czesi, a po rozpadzie Czechosłowacji także „federaliści” - ci Słowacy, którzy nie zgadzali się na ów rozpad i powstanie niepodległej Słowacji - oraz zawsze „dyżurna” mniejszość węgierska.

Wówczas nacjonalizm podsycala niepewność wielu osób, które po 1989 r. straciły grunt pod nogami, bały się przyszłości i ostatnią stałą wartością, do której mogły się odwołać, była ich słowackość. To były brzydkie i groteskowe lata: komuniści bez żenady przepoczwarzali się w narodowców, pojawili się pravicowi nacjoniści, palono

„święte ogniska” niepodległości, szukano u nas centrum Europy, a państwo opanowali barbarzyńcy owinięci w słowackie flagi.

Po klęsce Vladimíra Mečiara wydawało się, że nacjonalizm u nas wyparował, ale on tylko schował się do mysiej dziury. Po ćwierćwieczu wypełnił z niej w nowej postaci, choć równie paranoiczny i antydemokratyczny.

Jednak w przeciwieństwie do wszystkich poprzednich brakuje mu wroga zewnętrznego, a wraz z nim wizji zwycięstwa. Podczas II wojny Słowacy nacjoniści pozbyli się Żydów, wysyłając ich do Auschwitz, a Czechów, deportując na zachód. Po wojnie wypędzili Niemców i częściowo Węgrów, a po 1992 r. ostatecznie pozbyli się Czechów, dzieląc federację. Wszystkie te masowe mordy i czystki mogli więc świętować jako zwycięstwo Słowaków nad wrogami.

Jaką wizję zwycięstwa nad antysłowacką siłą mogą dziś zaproponować? Deportacja jest niemożliwa, bo wrogów jest zbyt wielu i do tego są oni tej samej narodowości, tylko mają inne poglądy. Mówią też tym samym językiem, choć używają go inaczej.

Co to właściwie jest nacjonalizm? I czy to w ogóle jest jeszcze nacjonalizm? Przypomina on raczej trybalizm - klanowość opartą na tożsamości plemiennej, która nie ma zewnętrznych cech tożsamości narodowej, jak pochodzenie etniczne czy język. Premier Robert Fico celowo buduje tę tożsamość plemienną na takich cechach, jak brutalność, męskość i zwierzęce okrucieństwo, czyli na gloryfikacji przemocy.

W gruncie rzeczy to sprzeciw wobec nowoczesności i wobec całego zestawu wartości współczesnej cywilizacji europejskiej, od empatii dla słabszych po szacunek dla natury. Z tej niechęci wynika również podziw dla Rosji, imperium rządzonego za pomocą przemocy.

W sumie nie ma znaczenia, czy nazwiemy to nacjonalizmem, czy inaczej, chodzi o to, że gdyby ta tożsamość plemienna reprezentowana przez Fico miała na długo opanować Słowację, państwo nie przetrwałoby takiego powrotu do epoki barbarzyństwa. Będzie musiało wystąpić z Unii Europejskiej, która, nawiasem mówiąc, w obecnym stanie polityki z całą pewnością nie przyjęłaby nas jako członka 20 lat temu - również dlatego, że nacjonalizm uważa za czynnik, który wywołał II wojnę. W przypadku wystąpienia z Unii Słowację opanowałyby znacznie potężniejsi barbarzyńcy.

Mam jednak nadzieję, że tak się nie stanie, bo społeczeństwo słowackie - niezależnie od wewnętrznych sporów - generalnie rozwija się w kierunku nowoczesności szybciej, niż mogłoby się wydawać, jeśli spojrzeć na koalicję rządzącą.

Obecny rząd jednak bezwiednie ujawnił, że słowacki nacjonalizm zawsze opierał się na tożsamości plemiennej. Jest on bowiem równie paranoiczny i antydemokratyczny

jak wszystkie poprzednie, wszyscy jego przedstawiciele są tak samo brutalni i wulgarni jak ich poprzednicy i nadal posługują się tym samym prymitywnym językiem nienawiści.

Różnica polega wyłącznie na tym, że ten nacjonalizm nie może już ukrywać się pod płaszczykiem etnicznym, bo liczna grupa jego przeciwników to niekwestionowani Słowacy. Nie żeby to miało znaczenie, ale gdybyśmy mieli znaleźć pojęcie, które obejmowałoby nacjonalizm i tożsamość plemienną, przemoc i sprzeciw wobec nowoczesności, brutalność i nienawiść, moglibyśmy po prostu mówić o faszyzmie. ●

• przeł. Andrzej S. Jagodziński



*Martin M. Šimečka

• ur. w 1957 r., słowacki pisarz i publicysta. Były naczelny słowackiego dziennika „SME” i czeskiego tygodnika „Respekt”. Tekst został napisany dla niezależnej słowackiej gazety „Denník N”. Tytuł - „Wyborcza”.

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Ewa Lipska*

Egzamin

Egzamin konkursowy na króla
wypadł doskonale.

Zgłosiła się pewna ilość królów
i jeden kandydat na króla.

Królem wybrano pewnego króla
który miał zostać królem.

Otrzymał dodatkowe punkty za pochodzenie
spartańskie wychowanie
i za uśmiech
ujmujący wszystkich za szyję.

Z historii odpowiadał
ze świetnym wyczuciem milczenia.

Obowiązkowy język
okazał się jego własnym.

Gdy mówił o sprawach sztuki
chwycił komisję za serce.

Jednego z członków komisji
chwycił odrobinę za mocno.

Tak
to na pewno był król.

Przewodniczący komisji
pobiegł po naród
aby móc uroczyście
wręczyć go królowi.

Naród
oprawiony był
w skórę.



*Ewa Lipska

ur. w 1945 r. w Krakowie, poetka, prozaička. Wydała m.in.: „Przechowalnia ciemności” (1985), „Strefa ograniczonego postępu” (1990), „Ludzie dla początku” (1997), „1999” (1999), „Ja” (2003), „Pogłos” (2010), „Pamięć operacyjna” (2017) i „Wariacje Geldbergowskie” (2023).

Utwór za: Lipska, „**No-
wy wybór wierszy**”,
Wydawnictwo a5,
Kraków 2020. Peere-
lowska cenzura nie
dopuszczała go do druku
w pierwszym wydaniu
jej „Czwartego tomu
wierszy” (1974).

Po spotkaniu Trumpa i Putina

PRZYSTANEK ALASKA. W TYM SERIALU CAR GÓRĄ

Prezydenci Rosji i Ameryki
w jednej limuzynie: dwie głowy
państw czy dwaj spiskowcy?

Wiktor Jerofiejew*

Wszyscy wrogowie i przyjaciele Putina w Rosji od początku jego trwających 25 lat rządów uważają, że jest on szczęściarzem. Mimo wszystkich prób, jakim poddawana była jego prezydencka dusza, począwszy od pierwszych lat jego rządów, kiedy jeszcze nie miał stabilnej pozycji, a skończywszy na obecnym spotkaniu z Trumpem na Alasce. Ten nazwał Putina po swoim „smart guy” [„bystry gość”].

Ten szczęściarz, nawet mimo wywołanej przez siebie wojny z Ukrainą i politycznej izolacji ze strony Zachodu, rządzi z wielką wprawą i dla własnej przyjemności. W wieku 72 lat jest, jak to się mówi po rosyjsku, „zdrow jak ogórek”. Rozważa polityczną nieśmiertelność swojej dyktatury.

Spotkanie z Trumpem było dla niego bardzo owocne. Przede wszystkim dla jego carskiej pozycji w Rosji. Teraz naród rosyjski w końcu zrozumie, że nasz car ma rację. Zarówno w kwestii wojny, jak i w kwestii polityki, jaką państwo prowadzi wobec opozycji, tych nowych „wrogów ludu”.

Jeśli Amerykanie szanują transakcje biznesowe, to Rosjanie szanują symbole. Żadna transakcja na Alasce nie doszła do skutku, ale symboli na korzyść Rosji jest mnóstwo. Począwszy od czerwonego dywanu, który amerykańscy żołnierze rozłożyli przed Putinem. Przyleciał on do Ameryki nie jako zbrodniarz wojenny, za którego uważa go prawie cała Europa, ale jako gość honorowy, witany przez amerykańskiego prezydenta oklaskami.

Albo taki symboliczny szczegół: Putin jedzie z lotniska razem z Trumpem limuzyną amerykańskiego prezydenta. Nie jest to zaplanowane, to improwizacja, moment, w którym dwóch niezwykle dumnych ludzi o wspólnych wartościach, jak dwaj spiskowcy, traktuje się nawzajem z szacunkiem.

Jednak rosyjski gość w gruncie rzeczy ostatecznie poniżył Amerykanina. Jeśli ma być szacunek, to musi być wynik. A jeśli nie ma wyniku, to gospodarz spotkania nie zasługuje na szacunek. Trump z kamienną twarzą postanowił nie zapraszać Putina na lunch po rozmowach, co oznacza, że uznał, iż przegrał; obraził się i rozgniewał.

W instrukcji, którą sporządziła administracja rosyjskiego prezydenta dla prądowych mediów jeszcze przed szczytem, zostało jednoznacznie powiedziane, że władze Ukrainy „nie są zdolne do porozumienia”, dialog z nimi „wyczerpał się”, na co Putin prawdopodobnie zwróci uwagę Trumpo-



• Prezydenci Władimir Putin i Donald Trump na lotnisku w Anchorage na Alasce. 15.08.2025

*Na Alasce nie doszła do skutku
żadna transakcja biznesowa.
Za to symboli na korzyść Rosji
było tam mnóstwo*

wi. „Ukraina zignorowała wszystkie pokojowe propozycje Rosji”.

Po takiej instrukcji spotkanie straciło sens dla strony amerykańskiej, ale albo nie wiedziała o niej, albo ją zignorowała – tak czy inaczej dowodzi to złego przygotowania i braku specjalistów od Rosji w otoczeniu Trumpa.

Z drugiej strony wszystko zostało dokładnie przemyślane, aż po najdrobniejsze szczegóły. Szef MSZ Ławrow pojawił się na Alasce w koszulce z symbolicznym napisem ZSRR [po rosyjsku СССР]. Ten dyplomata, który kiedyś zrobił karierę w liberalnych czasach żegnania się z ZSRR, teraz podkreśla swoje przywiązanie do marzenia o powrocie do Związku Radzieckiego – wraz z Ukrainą i Białorusią w pierwszej kolejności. A jego szef na konferencji prasowej po trzech i pół roku krwawej rzezi, w której zginęło i zostało rannych około miliona lu-

dzi po obu stronach, nadal spokojnie mówi o „bratnim” narodzie Ukrainy.

Co kryje się za tymi słowami? Radość! Radość z tego, że Trump zapomniał o sankcjach wobec Rosji, że można spokojnie kontynuować wojnę wraz z przyjaciółmi z Chin i Korei Północnej. A ci europejscy politycy nie mają żadnego znaczenia, skoro Putin wyszedł z amerykańskiej izolacji, są dla niego politycznymi liliputami. Trump wraz z Putinem rozważa poprawę stosunków dwustronnych, a na koniec, na zaproszenie Putina „Next time in Moscow”, odpowiada w sposób nieprecyzyjny, ale pozytywny.

W swoim wystąpieniu na konferencji prasowej Putin oczywiście nie zapomniał wspomnieć, że Alaska była kiedyś częścią Imperium Rosyjskiego i najwyraźniej została niepotrzebnie sprzedana Ameryce za śmieszną kwotę 7,2 mln dolarów w 1867 r. Tyle że rosyjskich „kolonizatorów” na Alasce było wtedy niewiele, około 800 osób; zajmowali się głównie futrzarstwem, a Aleksander II musiał sprzedać Alaskę, aby nie trafiła w ręce nieprzyjatelnej Rosji Wielkiej Brytanii.

Putin rozpoczął swoje spotkanie z Trumpem słowami „Dzień dobry, sąsiedzie” – i rzeczywiście, w Cieśninie Beringa odległość między rosyjską wyspą Duży Diomedes a amerykańską Mały Diomedes wynosi zaledwie niecałe 4 kilometry.

Jakiś czas temu byłem na Małym Diomedesie i odkryłem, że między obiema wyspami istnieje największa różnica czasowa na

świecie: jeśli na tej amerykańskiej jest południe w poniedziałek, to na rosyjskiej jest wtorek, godz. 9 rano. Na jednej z dwóch sąsiadujących ze sobą wysp Rosjanie jedzą śniadanie, na drugiej Amerykanie obiad. Jak tu się zrozumieć?

Kwestia ta pozostaje nadal aktualna. Aby znaleźć możliwości porozumienia się z Rosją, Ameryka i w pewnym stopniu Europa muszą dysponować poważnymi zespołami ekspertów od Rosji, którzy byłiby w stanie prowadzić poważne negocjacje z moim krajem. W przeciwnym razie wszystko to nadal będzie wyglądać jak absurdałna tragikomedia. ●

przełożył arp
Tytuł tekstu od „Wyborczej”.



***Wiktor Jerofiejew**

• ur. w 1947 r., znany pisarz rosyjski. W Polsce ukazała się m.in. jego mroczna baśń dla dorosłych „Różowa mysz” (do kupienia na Kulturalny-sklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl).



SLOGAN: SZLACHTA NIE PRACUJE TO BZDURA

Nie zgadzam się z czarno-białym podziałem na złą szlachtę i uciemiężonych chłopów. Z faktami nie ma to nic wspólnego.

Z PAWŁEM RZEWUSKIM, HISTORYKIEM I FILOZOFEM, ROZMAWIA ANNA S. DĘBOWSKA

ANNA S. DĘBOWSKA: Za Sienkiewiczem podobno pan nie przepadał.

PAWEŁ RZEWUSKI: Ja Sienkiewicza kupuję, tylko nie całego. Cenię „Ogniem i mieczem”, zapewne dlatego, że w dzieciństwie oglądałem ekranizację i scen z husarią nie zapomnę. Ta powieść jest najspójniejsza. „Potop” nie może się skończyć, a „Pan Wołodyjowski” to najsłabsze ogniwo, książka nieco wymuszona.

Jeśli więc pisać „Krzywdę”, myślałem o Sienkiewiczu, to właśnie o „Ogniem i mieczem”. I o prologu, który wprowadza czytelnika w atmosferę Dzikich Pól. Tam jest trochę fantasy, jest mowa o upiorach i duchach – w miarę rozwoju akcji to znika, a szkoda. Jest też barwny świat Kozaków, sporo humoru, a postacie poza Skrzetuskim nie są tak jednowymiarowe jak w „Potopie” czy „Panu Wołodyjowskim”.

Ulubiony bohater?

– Ani Zagłoba, ani Skrzetuski czy Bohun, ale Rzędzian, postać niesamowita. Daje najlepsze wyobrażenie o realiach I Rzeczypospolitej. Kim jest? Wydaje się, że chłopem, chociaż sam podkreśla, że szlachcicem, choć ubogim. Przez Skrzetuskiego traktowany jest jak sługa, ale z tym walczy. To pokazuje hierarchię, jaka panowała wewnątrz stanu szlacheckiego. W „Potopie” mamy już de facto tylko rozdźwięk między magnaterią a szlachtą ziemiańską, a doly szlacheckie nie są pokazane. Mógłbym być takim Rzędzianem, ni to chłopem, ni to szlachcicem. Maciej Falkowski ukuł w swojej książce termin „ślachta” [”Ślachta. Historie z mazowiecko-podlaskiego pogranicza”, 2024], który pasuje do opisu tej grupy.

„Ślachta”? Z takim nazwiskiem?

– To nie takie proste, bo Rzewuscy to olbrzymia rodzina z wieloma odnogami. Jeśli ma pani na myśli Rzewuskich, którzy wyemigrowali z Podlasia na Ukrainę i dali początek linii magnackiej w XVII wieku, to ja nie jestem bezpośrednio spokrewniony ani z podróżnikiem Wacławem Rzewuskim, ani z pisarzami Sewerynem Rzewuskim i Henrykiem Rzewuskim, tym od „Pamiętek Soplicy”. Moja rodzina wywodzi się z pogranicza Mazowsza i Podlasia, ze wsi Stare Rzewuski. Tam było dużo biednej szlachty o tym nazwisku. Z magnaterią łączył ją tylko herb Krzywda.

Czy mój przodek mógł brać udział w wolnej elekcji króla? To prawdopodobne. Tym bardziej że biedna szlachta mazowiecka była tam najliczniejsza. Mógł wtedy spotkać krewniaków z Podola. Wyobraźmy sobie, że taki Rzewuski z Mazowsza w dziurawym kontuszu spotyka wielkiego pana Rzewuskiego i twierdzi, że są rodziną. Magnat spojrzałby na niego z pogardą.

Zubożałej szlachcie zwanej szarakami pozostawało poczucie przynależności stanowej, świadomość, że mają swój zakurzony herb i zardzewiałą szablę po dziadku. Poza tym żadnych pieniędzy, żadnych wpływów. A ich potomkowie, kiedy schłopieli, to i pańszczyznę mogli odrabiać, i takie losy się zdarzały.

Opisuje pan takiego szlacheckiego gołodupca, imię Serafina Mogilnickiego.

– Któremu nie pozostaje nic innego, jak zostać tzw. klientem możnego pana i stać się marionetką na sejmiku. Magnateria zatrudniała tych biednych ludzi, żeby gardłowali w ich interesie, zrywali obrady. Klientela rosła w miarę, jak przybywało ludzi, którzy z jednej strony zachowali swoje prawa, ale z drugiej nie mieli żadnych narzędzi, żeby je w stosowny sposób egzekwować.

To wszystko nie wyjaśnia mi, dlaczego osadził pan akcję swojej książki w wieku XVII. Zobowiązują tradycja, Sienkiewicz, Łoziński, Hen, Komuda i inni?

– Pierwsza połowa XVII wieku to szczególny moment w historii kraju, a przez to fascynujący. Jezuici jeszcze nie zdobyli pełni władzy, spotykają się z silną opozycją. Rzeczpospolita jest u szczytu potęgi – wygrywamy większość wojen. Mamy możliwość obsadzenia cara w Moskwie, z czego nie korzystamy. Prowadzimy skuteczną politykę zagraniczną, lecz później potop szwedzki wszystko przekreśla. Po potopie państwo zaczyna się powoli rozchodzić w szwach. Można się wręcz dziwić, że wciąż działało. To pokazuje siłę tego projektu – mimo obecnego warcholstwa i anarchii I Rzeczpospolita przetrwała aż do końca XVIII wieku.

Ale przeczuwano, że może upaść?

– Pierwszym poważnym takim momentem była śmierć Zygmunta Augusta w 1572 roku. Jeszcze przed nią pojawiły się myśli apokaliptyczne, że jak się skończy dynastia Jagiellonów, państwo się rozpadnie. Stanisław

Orzechowski pisał: „Tę sławną Koronę postronni sąsiedzi między się, jak psi flak, roztargną”.

Czynników upadku było wiele. Jednym z nich, bardzo ciekawym, były zmiany klimatyczne. Zaczęły się oczywiście dużo wcześniej, ale właśnie w połowie XVII wieku dały się ludziom we znaki. Pod koniec XIV wieku skończyło się coś, co nazywało się optimum średniowiecznym, a zaczęła się tzw. mała epoka lodowcowa. Jeszcze w średniowieczu na Lubelszczyźnie hodowano winorośl i wytwarzano wino, aż nagle zrobiło się strasznie zimno. Najgorsze było to, że pogoda jakby całkiem się rozregulowała. Były lata bardzo zimne i były bardzo ciepłe. Susze, pożary, powódzie, plagi szarańczy. Taki na przykład rok 1607, o którym piszę w „Krzywdzie”, w Polsce był rokiem suszy. Z kolei w Londynie było wtedy tak zimno, że Tamiza zamarzła. Z kolei w 1666 roku mamy w Londynie wielki pożar, który pochłonął średniowieczne centrum miasta, a w Rzeczypospolitej jedną z najsurowszych zim. Podczas potopu szwedzkiego wilki do miast podchodziły w poszukiwaniu jedzenia. 30 lat później, o czym pisze Jan Chryzostom Pasek w pamiętnikach, styczeń był tak ciepły, że ludzie wychodzili na dwór w letnich strojach.

Wszystko to miało wpływ na jakość zboża i zbiory, a w tym właśnie czasie polskie zboże przestało być konkurencyjne w Europie.



Od kilku lat panuje moda na odkrywanie swych chłopskich korzeni. Czyta się historie ludowe, a nie rycerskie opowieści. Pana książka, nawiązując między innymi do tradycji gawędy szlacheckiej, idzie pod prąd. Chciał pan „Krzywdą” otworzyć dyskusję?

– Chętnie bym polemizował z popularną dziś tezą o okrucieństwie szlachty i wszechobecności pańszczyzny w I Rzeczypospolitej. To sprawa ważna, ale też bardzo skomplikowana, która łatwo sprowadzić do frazesów.

Proszę bardzo.

– Ale nie dlatego napisałem „Krzywdę”. Zaczęło się od literackiej zabawy, rodzaju ćwiczenia. Od dawna fascynują mnie literatura i kino fantasy. Narzuciłem więc sobie zadanie napisania horroru, który rozgrywa się w biały dzień, jak w filmie „Midsommar”, ale jednocześnie utrzymany jest w estetyce historii ludowej, jak u Roberta Eggersa.

Wpadłem na pomysł, żeby osadzić tę opowiestkę w XVII wieku na ziemiach polskich. Obroniłem doktorat o systemie politycznym I Rzeczypospolitej, to jest moja naukowa specjalność.

Dzięki redaktorowi prowadzącemu i wydawcy z ArtRage ta zabawa przeistoczyła się w coś więcej – w próbę stworzenia fantasy z I Rzeczpospolitą w tle, ale z naciskiem na jej różnorodność. I tak metodą pisarskich prób i błędów powstała „Krzywda”, powieść w odcinkach, z których każdy przy-

◀ **„Polonez pod gołym niebem”, autorstwa XIX-wiecznego, lwowskiego malarza Kornelego Szlegela**

FOT. ZBIORY BIBLIOTEKI PAWLIKOWSKICH / WIKIPEDIA

▼ **Magnat i szlachta, rysunek Juliusa Kossaka na podstawie pochodzącego z XVI wieku „Pontyfikału” Erazma Ciołka**

FOT. ZBIORY MUZEUM NARODOWEGO W KRAKOWIE

nosi nową historię i bohaterów, ale zarazem powraca do wątków z poprzednich części. A zwornikiem jest dla nich postać Stanisława Wróblewskiego i jego kompana, pana Wróbelka. A także Gedeona, złego brata Stanisława.

Mogę już zdradzić, że będzie ciąg dalszy. Właśnie nad nim pracuję. To saga rodu Wróblewskich. Zaplanowana z wydawcą na kilka tomów i obejmująca trzy wieki dziejów I Rzeczypospolitej – od momentu uchwalenia konstytucji „Nihil novi” z 1505 roku, która ograniczyła kompetencje prawodawcze króla, aż po czas rozbiorów i upadku państwa.

Szykuje się polski odpowiednik wileńskiej sagi „Silva rerum” Kristiny Sabaliauskait??

– Mój wydawca wyczuł, że jest czas na taką literaturę. Widzę, jak czytelnicy reagują na „Krzywdę”. Niektórzy na nią czekali, bo chcieli zmiany spojrzenia na historię Polski przedrozbiorowej. A „Krzywda” leży gdzieś pomiędzy prostą, jednoznaczną linią pochwalną wobec demokracji szlacheckiej a jednoznacznie krytyczną, która pojawiła się wraz z wydaniem książki Jana Sowy „Fantomowe ciało króla”, a później „Ludowej historii Polski” Adama Leszczyńskiego.

Nie zgadzam się z prostym, czarno-białym podziałem na złą szlachtę i uciemiężonych chłopów. Ładnie wygląda to na papierze, ale z faktami jest na bakier. Rzeczywistość była bardziej skomplikowana. Rzeczpospolita Obojga Narodów to było państwo, które miało prawie milion kilometrów kwadratowych powierzchni – zaczynało się gdzieś na dalekiej północy, gdzie było zimno i ludzie jedli przede wszystkim śledzie, a kończyło się na południu, na Dzikich Polach, gdzie niechcianemu adoratorowi zamiast czerniny podawało się harbuza w charakterze odmowy. Granica państwa sięgała z jednej strony Wielkopolski, stykając się z państwami niemieckimi, a z drugiej obejmowała ziemie, które leżą teraz głęboko w Rosji. Pośród tego masa języków, kultur, spojrzeń nieoczywistych. Przeciętny szlachcic na Podolu spokojnie mógł o sobie powiedzieć: „Jestem Polakiem, Litwinem, Rusinem”. Polakiem, więc szlachcicem. Litwinem, ponieważ pochodził z Wielkiego Księstwa Litewskiego. I Rusinem, bo wyznawał wiarę prawosławną. Wariantów było czarnaśzta wiele.

Dlatego nie chce pan mówić o tym państwie „Polska”?

– To dziedzictwo całego regionu, który obejmował oprócz ziem polskich Wielkie Księstwo Litewskie, a w nim Litwę właściwą, Żmudź, Inflanty, ziemie ruskie, które z kolei dzieliły się na tereny należące dziś do Białorusi i do Ukrainy. Rzeczpospolita to było również dziedzictwo, które dzielimy z Niemcami: Prusy, ziemie śląskie, Inflanty, które bardzo dobrze funkcjonowały w ramach tej struktury.

Warto też pamiętać, że ta formacja kulturowa była szalenie atrakcyjna dla wielu ludzi. Nie przypadkiem osiedlali się tu licznie Włosi, Anglicy, Szkoci, Niemcy, Holendrzy. Ci ostatni wybrali okolice Gdańska i Mierzei Wiślanej. Cieszyli się wolnością osobistą, przyjeżdżali, żeby się dorobić, żywiąc przekonanie, że właśnie na tych ziemiach panuje większa swoboda.

Że niby Rzeczpospolita była wtedy taka tolerancyjna? Prawica dziś chętnie przywołuje to jako dowód tego, że Polacy wysłali tolerancję z mlekiem matki.

– W tym okresie, w którym osadzona jest moja proza, istotnie taka była. I cudzoziemcy to doceniali. Przy czym nie była to tolerancja polegająca na glaskaniu siebie nawzajem i mówieniu, że jest cudownie, ponieważ ty głosisz jedno, ja głoszę drugie i żyjemy w zgodzie. Nie – raczej panowało przekonanie, że ty głosisz głupoty, ale mówisz mi, że

FOT. PAP/MARCIN OBARA

Paweł Rzewuski

• (ur. 1990) doktor filozofii, historyk, pisarz i publicysta. Jego zainteresowania naukowe dotyczą historii społecznej i filozofii polityki, a także metafizyki i filozofii umysłu. Autor m.in. prac: „Filozofia Piłsudskiego”, „Grzechy Paryża Pótnocy. Mroczne życie przedwojennej Warszawy”, „Monarchia mixta, czyli poszukiwanie suwerena. Studium koncepcji władzy w I Rzeczypospolitej 1505-1609”

to ja się mylę i głoszę głupoty, więc ja oczywiście zaprzeczam, w związku z czym się spieramy. Ale jakoś koegzystujemy w tym sporze.

Taka równowaga nie była jednak do utrzymania na dłuższą metę, a z ideałów tolerancji niewiele dotrwało do naszych czasów. Było jasne, że nawet w Rzeczypospolitej, która dość długo trwała bez wojen religijnych, któraś z tych sił – katolicyzm lub protestantyzm – ostatecznie zwycięży. Przy czym wcale nie było pewne, że wygra kontrreformacja, a w Rzeczypospolitej górę weźmie akurat katolicyzm. Ów zaś nie oznaczał wówczas klerykalizmu. Idealnym przykładem jest rokoszanin Mikołaj Zebrzydowski, wychowanek jezuitów i dewot, który zorganizował największą antyklerykalną akcję w historii XVII wieku. Interesy polityczne zawsze brały górę.

W „Krzywdzie” pojawia się arianin Jan Werner, ale wcale nie jest to pozytywny bohater. Jest też senator biskup Bielski, który wprowadzie działa w interesie króla i próbuje powściągać warcholstwo szlachty, jednak chętnie czytuje Machiavellego, więc trudno na nim polegać.

– Wyznanie w żadnym razie nie definiowało, czy ktoś jest dobry, czy zły. W tekstach z epoki uważane jest za wtórne względem szlachectwa.

Jednym z większych warcholów był arianin Arciszewski, dowódca artylerii wojsk Rzeczypospolitej, który za zabójstwo współwyznawcy został skazany na banicję oraz infamię. Uciekł aż do Brazylii. Ale bez problemu znajdziemy politycznych warcholów wiernych papieżowi. Uproszczenie nic nam nie powie o tamtym świecie.

Protestancki odłam szlachty i magnaterii opowiadał się przeciwko wzmocnieniu władzy królewskiej, a więc za wolnością szlachecką, a z kolei jezuici dążyli do wprowadzenia w Polsce absolutyzmu, a więc mimo że byli katolikami, działali wbrew interesowi szlachty wszystkich wyznań. Spór był bardzo dynamiczny, a podziały znacznie bardziej skomplikowane, niż nam się dzisiaj wydaje.

Wyzysku pan chyba nie kwestionuje?

– W żadnym wypadku nie kwestionuję, że była przemoc i wyzysk. Z tym nie da się polemizować, takie są fakty zawarte w źródłach. Pisali o tym ówcześni autorzy katolicy i protestanci. Zwłaszcza jezuici często wspominali o tym, że taki wyzysk panuje. A Jan Kazimierz w swoich ślubach lwowskich obiecał, że chłopów będzie dobrze traktował. Zarazem ta sprawa jest o wiele bardziej skomplikowana niż szufladka z napisem: „szlachta, która chłopów gnębiła”. Nawet stan szlachecki w I Rzeczypospolitej nie był przecież jednolitym tworem, by przypomnieć postać Rzędziana. Bywało, że mieszczanin czy wolny chłop znajdował się w lepszym położeniu niż zbiedniały szlachcic szaraczkowy.

W to akurat trudno mi uwierzyć.

– Ale tak było na Mazowszu czy Podlasiu. Tacy ludzie nie mieli żadnych chłopów i sami musieli ciężko pracować w polu, żeby utrzymać gospodarstwo. Slogan: „Szlachta nie pracuje”, jest tylko chwytliwym hasłem mającym niewiele wspólnego z rzeczywistością.

Za to bogaty chłop mógł zatrudniać chłopską biędotę, która za niego odrabiała pańszczyznę. Używanie kwantyfikatorów „każdy” lub „wszyscy” niczego nie wyjaśni, raczej zaciemni, bo znajdują się wyjątki od tych zasad.

Dobrze jednak, że przestaliśmy idealizować tamten okres.

– Jan Sowa z „Fantomowym ciałem króla” pokazał narrację mniej idealistyczną niż ta, która obowiązywała w Polsce Ludowej i pierwszych dekadach wolnej Polski.

Wtedy nareszcie ktoś napisał prawdę.

– Ja mam dużo zastrzeżeń do „Fantomowego ciała króla”, ale niewątpliwie zaczął się wtedy proces wychodzenia z fazy idealizowania demokracji szlacheckiej. Polacy uświadomili sobie, że w dużej mierze są potomkami włościan, a nie herbowych. A to znaczy, że ich przodkowie mieli ciężkie życie. Tyle że powstało wokół tego zbyt wiele uproszczeń, na przykład takich, że dziś pracodawcy wyzyskują pracowników tak, jak kiedyś szlachta chłopstwo. Więc teraz coraz więcej historyków zaczyna mówić: „Teraz już czas, aby wszystkie te tezy skonfrontować ze źródłami i pokazać złożoną rzeczywistość I Rzeczypospolitej”.

Opisują problem z różnych perspektyw. Joanna Orzel w „My, Sarmaci” (2025) pisze o mitach i rzeczywistości szlachty w Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Jaśmina Korczak-Siedlecka – w książce „Przemoc i honor w życiu społecznym wsi na Mierzei Wiślanej w XVI-XVII wieku”

(2021) o przemocy, ale właśnie w środowisku wolnych chłopów. Tam przemocą regulowano relacje społeczne, ważny był honor, tak jednoznacznie przypisany szlachcie.

Jest też prof. Mateusz Wyżga, który sam ma pochodzenie włościańskie i pisze o podmiotowości chłopskiej i chłopskiej migracji. Próbuje zdemitologować pańszczyznę i przedstawić ją jako zjawisko dużo bardziej skomplikowane, niż się wydaje.

Czyli jakie?

– To prawda, że w niektórych rejonach kraju byli gospodarze, którzy stosowali pańszczyznę w okrutny sposób. Była przemoc, bicie, szubienica opisywana w XVI wieku przez Anzelma Gostomskiego jako „podstawa dobrej gospodarki”. Ale były też rejony, w których przemoc się nie opłacała.

Wyobraźmy sobie gospodarza majątku w Wielkopolsce, zamożnego szlachcica, który ma pięć wsi, jakiś tartak, młyn. W swym gnieździe rodowym niech ma do dyspozycji 20 mężczyzn, których może powołać pod broń, i zaufanego szlachetkę, którego zatrudnia jako ekonoma. Pozostali ludzie z jego otoczenia to włościanie z przewagą liczebną, którzy też mają broń, na przykład siekiery do pracy w lesie, kosy i noże do obrony przed bandytami. Pan nie może sobie pozwolić na bezwzględną przemoc, boby go zabili. Takie pojedyncze wypadki zresztą zdarzały się i mamy o nich informacje



Czynników upadku Rzeczypospolitej było wiele. Pod koniec XIV wieku skończyło się coś, co nazywało się optimum średniowiecznym, a zaczęła się tzw. mała epoka lodowcowa. Jeszcze w średniowieczu na Lubelszczyźnie hodowano winorośl i wytwarzano wina, aż nagle zrobiło się strasznie zimno

w źródłach. Poza tym zdawano sobie sprawę z tego, że dwór nie istniał bez wsi.

Zresztą między chłopami też wytwarzały się relacje hierarchiczne, nawet znacznie bardziej rozbudowane niż między szlachtą a włościanami.

Czy geograficznie da się wyróżnić rejony, gdzie przemoc wobec chłopów była większa?

– Takiej mapy przemocy i pańszczyzny ponad miarę nie da się narysować. Tym bardziej że administracyjnie I Rzeczpospolita też nie była jednolita. Dzieliła się na ziemię prywatne, królewszczyzny i na obszary należące do Kościoła. Tu też były różnice.

Kto najbardziej cisnął? Szlachcic, król czy klasztor? I od czego to zależało?

– Ponownie muszę powiedzieć, że to względne. Mógł się trafić ekonom królewski, który był wyjątkowo srogi, albo szlachcic skłonny do przesadnej przemocy. Gdybym miał wskazać, gdzie było większe prawdopodobieństwo nadużyć, to będzie to prędzej dwór szlachecki, bo on sam sobie – choć w ograniczonym stopniu – stanowił prawo.

Taką brutalną postacią był niejaki pan Stanisław Warszawicki. Był po prostu sadystą, który znęcał się nad wszystkimi, a zwłaszcza nad upośledzonym synem. Jego synową była Anna Stanisławska, jak się później okazało, autorka pierwszego poematu napisanego po polsku przez kobietę. Pisała o swoim nieszczęśliwym małżeństwie – jej mąż też miał skłonność do przemocy, a z drugiej strony bał się swego ojca. Później się rozwiodła, bo rozwody też istniały.

Pana bohaterki – Regina i Barbara Kieżgajło czy Tekla Horodecka z domu Poniatowska – to osoby inteligentne, sprytnie, władcze. Ale czy o czymkolwiek decydowały, jeśli chodzi o własne życie? Wolności osobistej nie miały, nawet jeśli były szlachciankami.

– Miały być dobrymi żonami, tego je uczono, to prawda. Młoda szlachcianka nie miała dużego pola manewru, zwłaszcza jeśli jej małżeństwo było aranżowane. W lepszej sytuacji była, wychodząc za mąż z miłości – ale wtedy koniecznie za zgodą obu rodzin. Znana jest historia pierwszego małżeństwa targowiczana Potockiego, który ożenił się z biedną szlachcianką Komorowską wbrew woli swego ojca. Efekt był taki, że teść wysłał siepaczy, którzy synową zabili.

Sytuacja kobiety stawała się dużo lepsza, gdy zostawała wdową. Wtedy okazywało się, że ma olbrzymią władzę. I majątek. I może nareszcie decydować o sobie.

Często było tak, że to kobiety doglądały majątków, gdy mężczyźni pilnowali okolicy przed najazdami tatarskimi.

Natomiast chłopki rzeczywiście były własnością pana ze wszystkimi tego konsekwencjami.

Większość populacji była rzeczywiście politycznie wykluczona. Mimo to nieformalnie wiele różnych grup miało wpływ na politykę. Gromady chłopskie miały swoje wypracowane regulacje, czasami oparte na relacjach z dworem, a czasami całkowicie suwerenne.

Na sejmikach kobiety odgrywały zakulisową rolę, podobnie zresztą jak mieszczanie i Żydzi. To, że szlachta oficjalnie podejmowała decyzje, nie oznacza, że były one w pełni suwerenne.

W „Krzywdzie” pisze pan jednak dużo o przemocy i bezkarności panów, którzy nabijali na pał, gwałcili chłopki, robili z poddanymi, co chcieli.

– Nie patrzę jednak na to wyłącznie przez pryzmat klasowy. To była rzeczywistość znacznie bardziej pierwotna, w której przemoc istniała na wielu poziomach – w stosunku do chłopów, wobec własnych dzieci, kobiet, mieszczan. Istniała też między szlachtą – odbywały się zajazdy szlacheckie, również z udziałem chłopów, przeciwko innym herbowym, często po sąsiedzku.

Mieszczanie też nie byli wolni od przemocy wymierzonej w przedstawicieli innych stanów. To samo wśród chłopstwa. Nie było więc tak, że istniała jedna grupa szczególnie narażona na akty okrucieństwa i prześladowanie. Przemoc była rodzajem języka pomiędzy ludźmi. Różnicą była jej intensyfikacja. Niektórzy mieli mniej narzędzi do obrony przed nią, inni więcej.

Gdy się czyta „Prawem i lewem” Władysława Łozińskiego, włos się na głowie jeży. Jak oni mogli tak żyć?

– Łoziński pisał o terenach pogranicznych między Wielkim Księstwem Litewskim, Dzikimi Polami a Koroną. To był rejon narażony na ataki tatarskie, co bardzo zmieniało perspektywę. Łatwiej było na przykład zaakceptować istnienie watażki i infamisa, który porywał kobiety, organizował zajazdy, napadał na kupców lub organizował pogromy, ale jednocześnie bronił społeczność przed Tatarami. W takiej Wielkopolsce mieli zupełnie inną perspektywę, bo tam Tatarami tylko dzieci straszono, więc jak się trafił szlachcic bandyta, to mniej mu wybaczano.

Na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej ludzie siedzieli jak na beczce prochu. Nawet dwory inaczej budowano. Tzw. dwory kresowe to były małe twierdze z wałami i wieżami obronnymi, oknami jak strzelnice przeznaczonymi do obserwowania, czy nikt nie podchodzi, a nie do podziwiania widoków. Opisuję taki dwór w rozdziale o panu Rytwinowicu mieszkającym w prywatnej twierdzy przy granicy Rzeczypospolitej z Siedmiogrodem.

Spójrzmy na podziały w dzisiejszej Polsce. Historia lubi się powtarzać?

– Czasem jest niczym więcej niż tylko farsą.

Nie lubię snuć tego rodzaju analogii, bo przecież każda epoka ma swoje uwarunkowania. Trudno porównywać ustrój liberalno-demokratyczny z demokracją szlachecką. Ale są w Polsce pewne mechanizmy i procesy głęboko zakodowane. Jest w nas na przykład to niesamowite umiłowanie wolności, upór, że my będziemy decydowali sami o sobie. Z jednej strony daje nam poczucie odpowiedzialności i skonsolidowania się w sytuacji kryzysu, jak było w przypadku zwołania Sejmu Wielkiego. Ale z drugiej strony, w sytuacji bez kryzysu powoduje to, że się wiecznie o coś kłócimy. Wojna kokosza w XVI wieku, rokosz Zebrzydowskiego w XVII, niesnaski w Legionach Dąbrowskiego, konflikty w łonie dowódców powstania listopadowego. Ciąg dalszy dopiszcie państwo sami. ●

Rozmawiała Anna S. Dębowska



Krzywda

Paweł Rzewuski
ArtRage

Jasne strony dziejów

Ponad urazami

Sojusz robotnika z inteligentem wcale nie był oczywistością. To, że Lech Wałęsa zaufał przybyłym z Warszawy Bronisławowi Geremkowi i Tadeuszowi Mazowieckiemu, zakrawa na cud.

Brzezicki

Gdy w sierpniu 1980 roku Mazowiecki i Geremek jechali do Gdańska, wcale nie zamierzali stać się najważniejszymi doradcami Wałęsy. Niewiele mogli o nim wtedy wiedzieć. List warszawskich intelektualistów, zwany Listem 64, który przywieźli na Wybrzeże, wcale nie był opowiadaniem się po konkretnej stronie. Wzywał władze do dialogu, ale także podkreślał znaczenie umiaru w słusznej walce o swoje prawa, apelował o zdanie sobie sprawy z trudnej sytuacji kraju.

To Lech Wałęsa, który nie lubił owijania w bawełnę, zapytał, w czym konkretnie przybysze mogą się przydać, bo listów z wyrazami wsparcia to strajkujący mają już dosyć dużo. Stało na tym, że sformowano grupę ekspertów, która pomogła robotnikom rozmawiać z władzami.

Historia znana, nie ma co jej po raz kolejny opisywać. Fascynujące jest to, że ludzie z dwóch różnych światów potrafili się porozumieć i, co więcej, obdarzyć wzajemnym szacunkiem i zaufaniem. Po strajku, we wrześniu 1980 roku, Ge-

remek, Mazowiecki oraz wielu innych warszawskich (i nie tylko) inteligentów zaczęło pracę dla związku zawodowego robotników.

Przyszli twórcy III RP stali się najważniejszymi doradcami Lecha Wałęsy. Nie przeszli na „ty”, ale darzyli się respektem. Mieli różne charaktery, pochodzili z odmiennych światów.

Krzysztof Kozłowski opowiadał mi kiedyś o wizycie Wałęsy i Mazowieckiego jesienią 1980 roku w redakcji „Tygodnika Powszechnego”. Akurat na Śląsku wybuchł strajk, który należało zgasić. Wałęsa zareagował na to natychmiastową gotowością wyjazdu na Śląsk, Mazowiecki zaś zaczął biadolić, że nie ma szczoteczki do zębów, koszuli ani bielizny na zmianę.

Gdy po 13 grudnia 1981 roku wielu zwątpiło w Wałęsę, Geremek z Mazowieckim trwali przy nim, aż do roku 1989. To Wałęsa zdecydował, że pierwszym niekomunistycznym premierem Polski po 1945 roku zostanie Mazowiecki. Geremek, który również miał takie ambicje, z klasą przyjął tę decyzję. W Sejmie mówił, że do trudnego zadania reformowania Polski staje najlepszy z możliwych

kandydatów. W 1990 roku Mazowiecki, wtedy już premier Polski, stał się rywalem Wałęsy w drodze do prezydentury. Lech nie przebiegał w środkach, by pokonać Mazowieckiego, uciekając się nawet do antysemityzmu. Premier sromotnie przegrał. Tamten konflikt był niepotrzebny i destrukcyjny dla nowej Polski. Oslabił siły proreformatorskie i zasiał w polskiej polityce ziarno populizmu.

Po przegranych wyborach prezydenckich, uznawszy, że program jego rządów został zakwestionowany, Mazowiecki podał swój gabinet do dymisji. Mówił wtedy: „Wartości, którym służyłem, będę bronił nadal. W interesie Polski otwartej, tolerancyjnej i demokratycznej. Polski wiernej swym najlepszym tradycjom narodowym i chrześcijańskim. Polski, o której innym już kształcie sam naród wydaje świadectwo, zwracając się: Ojczyznę wolną pobłogosław, Panie. Polski, której dobro jest ponad każdym naszym zniechęceniem, ponad urazami i porażkami. Te mijają, a Ona trwa”.

Potem wielokrotnie zdarzało mu się współpracować z prezydentem Wałęsą ponad urazami.

Taka była tamta klasa polityczna. Współtwórcy III Rzeczypospolitej wcieli, jakim skarbem jest niepodległa Polska. Nie byli nieomylni ani pozbawieni wad, co pokazała wojna na górze z roku 1990, ale mieli w sobie coś, co każe za nimi dziś tęsknić. To coś to było poczucie odpowiedzialności.

Nie tracili czasu na czcze dyskusje. Gdy Wałęsę ponosił temperament, Geremek tylko wzdychał, mówiąc: „Panie Lechu, pan się chyba szaleju najadł”.

Zastanawiam się, co by powiedzieli Mazowiecki z Geremkiem, gdyby usłyszeli, że przez kilka dni niemal cała klasa polityczna, ale także i media mogły żyć sprawą skrótu „KN” niefortunnie użytego w pytaniu do jednego z ministrów podczas konferencji prasowej. Śledzić, kto to pytanie zadał, a następnie obrzucać się błotem? Albo że kwestia, kto z kim wypije piwo, może decydować o przyszłości kraju.

Chyba nie uwierzyliby, że w Polsce może rosnąć tyle szaleju. ●

Andrzej Brzezicki

– historyk, dziennikarz, publicysta

Antypolityka historyczna

Wolny handel

Urok modeli myślowych dawnych ekonomistów wynika stąd, że nie mieli oni komputerów.

Janowski



Kwestia cel – jak wiadomo – nieoczekiwanie wróciła do wielkiej polityki, pomyślałem więc, że spróbuję przedstawić tak zwaną teorię kosztów komparatywnych, którą opracował w roku 1817 David Ricardo, jeden z najwybitniejszych liberalnych ekonomistów angielskich.

Oto istnieją tylko dwa państwa, nazwijmy je Karpatia i Rurytania. Ich gospodarki produkują tylko dwa towary, powiedzmy wino i rowery. Każdy kraj może decydować, czy chce wytwarzać oba te produkty (i w jakiej proporcji), czy tylko jeden. W Rurytanii koszt produkcji butelki wina wynosi 5 złotych, a produkcji roweru – 10 złotych. Karpatia natomiast może produkować wino kosztem 6 złotych za butelkę i rowery kosztem 20 złotych za sztukę.

Clou polega na tym, że w takiej sytuacji wolny handel wbrew pozorom opła-

ca się obu krajom, a nie tylko temu, który oba produkty wytwarza taniej. Ponieważ różnica kosztów produkcji roweru między oboma państwami jest większa niż różnica kosztów produkcji wina, Rurytańczycy powinni skoncentrować się na produkcji rowerów, a wino importować z Karpalii.

Oto przykład z życia codziennego. Jeśli mam do zrobienia jakąś pilną i dobrze płatną pracę, to opłaca mi się zamówić pizzę na obiad, zamiast samemu gotować. Chociaż obiad zrobiony samemu jest o wiele tańszy niż zamówiony w pizzerii, to w czasie, który musiałbym poświęcić na gotowanie, zarobię więcej, wykonując moją pracę, niżbym oszczędził, gotując samemu. Analogicznie, Rurytańczycy zarobią więcej, produkując rowery i kupując wino po 6 złotych, niż oszczędziliby, sami produkując wino tańsze o złotówkę.

Ale Karpaczycy również opłaca się wolny handel. Kraj uboższy nie musi wytwarzać jakiegoś produktu taniej, aby móc go eksportować. Liczą się koszty komparatywne, to znaczy względne w porównaniu z kosztami produkcji innych towarów u siebie i u sąsiada, a nie bezwzględne. Ewentualne cła spowolniłyby rozwój obu gospodarek.

Urok modeli myślowych u dawnych ekonomistów wynika stąd, że nie mieli oni komputerów, reduko-

wali więc skomplikowane sytuacje do możliwie najprostszej, łatwej do ogarnięcia.

Model Ricarda jest formalnie poprawny: gdyby istniała planeta, na której leżały tylko dwa państwa produkujące tylko dwa towary, to gospodarka tej planety działałaby dokładnie tak, jak model przewiduje. Pytanie brzmi: Czy model ten jest dobrym przybliżeniem o wiele bardziej skomplikowanej realnej gospodarki?

Nie – odpowiedziałoby wielu badaczy życia gospodarczego. Różne koncepcje ekonomiczne, od XVIII-wiecznego kameralizmu poczynając, domagały się państwowej ochrony krajowego przemysłu. W drugiej połowie XX wieku popularność zdobyła teoria tak zwanego rozwoju zależnego: jeśli kraje niżej rozwinięte (peryferyjne) koncentrują się na eksporcie jakiegoś produktu do wyżej rozwiniętego centrum, to tworzy się w nich monokultura, zanikają inne gałęzie gospodarki, a kraje centrum mogą narzucać swoje warunki cenowe. Tak było, w myśl tej teorii, z plantacjami trzciny cukrowej w kolonialnej Ameryce Łacińskiej, a także z rozwojem gospodarki pańszczyźnianej w Europie Wschodniej. Importując cukier z Ameryki, a zboże z Europy Wschodniej, Zachód przekształcił jakoby te regiony w bazę surowcową, hamując ich rozwój.

Kto ma rację? To pytanie na Nobla z ekonomii, a nie na felieton. Mój subiektywny pogląd jest taki: świat jest różnorodny i nieraz zdarzały się sytuacje (niekonieczne te dwie wspomniane wyżej) potwierdzające teorię rozwoju zależnego, kiedy na przykład napływ towarów przemysłowych z regionów wysoko rozwiniętych utrudnia rozwój przemysłu na peryferii. Per saldo jednak, w dłuższej perspektywie czasowej integracja gospodarcza jest, jak sądzę, korzystna dla wszystkich jej uczestników.

Wielki poprzednik Ricarda Adam Smith pisał, że wzrost rozległości rynku jest podstawowym czynnikiem obniżki kosztów jednostkowych produkcji dowolnego towaru. Ta obniżka wynika ze wzrostu wolumenu produkcji, łączy się ze wzrostem popytu (na skutek niższych cen). Efektem jest ożywienie gospodarcze.

Żyjemy w ciekawym momencie, w którym historycy gospodarczy i ekonomiści, obserwując skutki nakładanych przez kolejne kraje coraz to nowych cel, będą mogli sprawdzać swoje teorie wymiany międzynarodowej nie tylko na komputerowych modelach, lecz na żywym organizmie gospodarki światowej. ●

Maciej Janowski

– historyk, zajmuje się dziejami Polski i Europy w XIX wieku.



• Stanisława Dubois Niemcy aresztowali 21 sierpnia 1940 roku, równo dwa lata później został rozstrzelany w obozie Auschwitz, miał 41 lat FOT. ZBIORY PAŃSTWOWEGO MUZEUM AUSCHWITZ-BIRKENAU

MIĘDZY SANACJĄ A ENDECJĄ NIE MA RÓŻNIC

Ze skrupulatnych obliczeń Stanisława Dubois wynikało, że chłopci mieli na utrzymanie 20 zł miesięcznie, robotnicy – 36, drobnomieszczaństwo – 40, pracownicy umysłowi – 111, kapitaliści – 200, a kler aż 335 zł.

Andrzej Romanowski

Lektura publicystyki Stanisława Dubois jest przykra. I nie chodzi tu tylko o ogłód II Rzeczypospolitej odbiegający od utrwalonych schematów. Chodzi o coś, co można by nazwać narodową lojalnością. Oto bowiem w latach 1916-18 powstało polskie państwo. Powstało z niebytu, a (w utrwalonych granicach) przetrwało nie dwadzieścia nawet, lecz niewiele ponad szesnaście lat. To państwo nazywane przez wrogów „sezonowym” bądź „bękartem traktatu wersalskiego” rzeczywiście w roku 1939 uległo rozbirowi. Mamy więc wobec Polski międzywojennej naturalną skłonność idealizacyjną. Zatem lektura Dubois musi owocować poznawczym niepokojem, może i szokiem. Niedgdy podobny szok wywołała „Wyprawa w dwudziestolecie” Czesława Miłosza. Ale tam znalazło się przynajmniej parę dobrych słów dla władz sanacyjnych. U Dubois niczego takiego nie ma.

NAJMŁODSZY POSEŁ NA SEJM

Miłosz komponował jednak swą książkę z perspektywy dziesięcioleci. Dubois pisał na gorąco, w ogniu walki politycznej. Można oczywiście dowodzić, że to pisanie tendencyjne. Że tworzy je „zapalenie młody”, którego sam wiek pcha do radykalizmu. Rzeczywiście, artykuł otwierający zbiór „O przebudzenie” napisał osiemnastolatek. Lecz przecież dalsze teksty wyszły już spod pióra człowieka dobiegającego czterdziestki. A młody wiek nie przeszkodził mu w wygrywaniu dwóch z rzędu wyborów parlamentarnych – w tych drugich nie mógł nawet prowadzić kampanii, bo siedział w więzieniu. Lektura tej publicystyki to wejście w trzewia Polski międzywojennej.

Gdy bowiem odrzucimy perswazyjny język, staniemy w obliczu nagich faktów. Pierwszym jest sama droga życiowa Stanisława Dubois. To i owo da się o niej wyczytać z zebranych tu tekstów, jednak przede wszystkim informuje o niej znakomity wstęp prof. Andrzeja

Friszke będący właściwie mikromonografią. Dowiadujemy się otóż, że młodzieńki Dubois wkraczał w życie publiczne w czasie okupacji niemieckiej w I wojnie światowej: został żołnierzem Polskiej Organizacji Wojskowej (POW), a we wrześniu 1918 roku wstąpił do PPS.

Miał wtedy zaledwie 17 lat, ale temu wyborowi politycznemu pozostał wierny do końca: do następnej okupacji niemieckiej, do sierpnia 1942 roku, gdy został zamordowany w Auschwitz. Wcześniej, u progu dorosłości, brał udział w wojnie z bolszewikami i w III powstaniu śląskim, otrzymał Krzyż Walecznych. Jako pepesowiec wzrastał w legendzie Józefa Piłsudskiego i przewrót majowy 1926 roku obalający rząd prawicowy niewątpliwie przyjął z nadzieją.

Ale niebawem stał się jednym z pierwszych rozczarowanych. „Jak podmuch świeżego wiatru w zatęchłej atmosferze życia politycznego w Polsce odczuliśmy uchwałę CKW PPS o przejściu tej czołowej organizacji proletariatu do opozycji wobec obecnego rządu” – pisał

1 grudnia 1926 roku. „Obecny rząd”? Ależ to był rząd premiera Piłsudskiego!

Nieco ponad rok później Dubois po raz pierwszy wygrał wybory i zasiadł w Sejmie jako poseł najmłodszy – młodszy o cztery dni (sic!) od Adama Ciołkosza, również socjalisty. I oto widzimy rozpoczęte wkrótce potem drogi więzienne Dubois: czteromiesięczne zamknięcie w twierdzy brzeskiej i innych zakładach karnych, potem dziesięciomiesięczne uwięzienie na mocy wyroku sądowego.

WŁADZA STRZELA DO LUDU

Fakty – to też wydarzenia z ówczesnego życia politycznego. W Krakowie na przykład pamięta się o walkach z listopada 1923 (32 ofiary) czy o demonstracji robotniczej z marca 1936 (8 ofiar). Ale czy Lwów, tak nostalgicznie dziś wspominany, kojarzy nam się z „czarną wiosną” 1936 roku (15 lub nawet 49 ofiar, może więc więcej niż w grudniu 1970 na

Wybrzeżu)? A czy ktoś poza mieszkańcami małopolskiego Łapanowa pamięta o pięciu chłopach zabitych tam przez polską policję w roku 1932?

Wszystkie te fakty znalazłem, jednak dopiero z publicystyki Dubois dowiedziałem się o wypadkach w Stryju 31 marca 1926 (6 ofiar) czy o krwawych zajściach w Gostyninie i Inowrocławiu w czerwcu i lipcu tego roku. A także o PPS-owcu Teofilu Jaszowskiem zamordowanym w 1929 roku w Piotrkowie Trybunalskim przez fanatycznego zwolennika sanacji.

Jednak lista faktów politycznych pozostaje u Dubois i tak niekompletna. Wprawdzie pisze on o obozie odosobnienia w Berezie Kartuskiej, ale albo nie wie o stosowanych tam praktykach, albo jego uwagi skonfiskowała cenzura. Nie ma tu też mowy o sądach doraźnych, o szafowaniu karą śmierci, o liczbie więźniów politycznych. Lecz mimo tych opuszczeń Polska międzywojenna – zwłaszcza Polska sanacyjna, bo o niej najczęściej mowa – jawi się jako kraj opresyjny, gdzie broń palna w rękach władzy była codziennością. Pewne obszary zagadnień robią dodatkowe jeszcze wrażenie.

W CELACH O 16.30 WYŁĄCZAJĄ ŚWIATŁO

Pierwszy z tych obszarów to wspomniane więziennictwo. Ponieważ więźniowie polityczni byli od pewnego momentu zrównani z więźniami kryminalnymi, Dubois zajął się całą tą grupą: 65 tysiącami ludzi. W więzieniu w Koronowie – donosił – „pali się zaledwie 15-świecowa żarówka”, a o godzinie 16.30 w ogóle gasi się światło; więźniowie chcieli zapłacić za lepsze i dłuższe oświetlenie, ale „odmówiono im”. „Osobliwość więzienia w Koronowie – dodaje – jest brak kanalizacji. W celach 30-, 40-osobowych znajdują się ustępy, które wynosi się dwa razy dziennie. Nie trzeba tłumaczyć, jakim powietrzem oddychają więźniowie”. Koronowo było przypadkiem szczególnym, lecz sytuacja osadzonych była żalosna także w Fordonie, Rawiczu, Łomży, a przede wszystkim – czego już Dubois nie pisze – w najcięższym więzieniu Polski międzywojennej: na Świętym Krzyżu.

Obszar drugi to Kościół. Dubois, informując o wydanym na Jasnej Górze 6 września 1936 roku „Liście pasterskim Episkopatu Polski”, uważa, że wzywa on do walki „z całym społeczeństwem polskim”. Parę miesięcy później zajął się „dochodami kleru i nędzą w Polsce”. Ze skrupulatnych obliczeń w artykule „Błogosławieni ubodzy” wynika, że chłopci utrzymywali się miesięcznie za 20 zł, robotnicy za 36 zł, drobnomieszczaństwo za 40 zł, pracownicy umysłowi za 111 zł, kapitaliści za 200 zł, a kler – uwaga – za 335 zł.

Dubois, informując o wydanym na Jasnej Górze 6 września 1936 „Liście pasterskim Episkopatu Polski”, uważa, że wzywa on do walki „z całym społeczeństwem polskim”

DRESZCZ NIEPOKOJU NA WOŁYNIE

Obszar trzeci był najbliższy Dubois – człowiekowi pióra. Jest nim kwestia wolności słowa. „W Poznaniu – alarmował w Sejmie w r. 1932 – wychodzi dwutygodnik »Walka Ludu«. Na 20 numerów tego pisma 17 zostało skonfiskowanych. [...] Symbolem prasy w Polsce stają się białe plamy”. Konfiskowane były nawet przemówienia poselskie, czego przecież – dodajmy od siebie – nawet pod zaborem austriackim nie było. Istotnie, pod względem swobód obywatelskich Polska międzywojenna stanowiła w porównaniu z Galicją głęboki regres.

I wreszcie obszar czwarty: mniejszości narodowe. Dubois zajmował się dwiema – Ukraińcami i Żydami. W 1931 roku poświęcił w Sejmie dłuższe przemówienie pacyfikacji „Małopolski Wschodniej”. W ten sposób określano w międzywojniu dzisiejszą zachodnią Ukrainę, choć dawniej nikt tego terytorium tak nie nazywał: w Rzeczypospolitej przedrozbiorowej było to województwo ruskie, w czasie zaborów – Galicja. Już sam więc termin godził w uczucia narodowe Ukraińców – podobnie jak po rozbiorach musiała godzić w uczucia polskie nazwa „Prusy Nowoschodnie”: leżała tam Warszawa...

A jednak – z jakim rygoryzmem traktowano w II RP termin „Małopolska wschodnia”, o tym świadczy fragment tego właśnie, zanotowanego stenograficznie, przemówienia. Mówi Dubois: „Pan Stronński cieszy się ze spokoju na Ukrainie. (Głos: „Gdzie – na Ukrainie?”) Przepraszam, pomyłka. Z pokoju w Małopolsce wschodniej. (Głosy na ławach BBWR: „Tak, tak!”)”.

Jak widać, Dubois ustąpił. Jego przemówienie było wystarczającym proukraińskie, najwyraźniej nie chciał dawać przeciwnikom dodatkowych argumentów. Żarliwy protest przeciw stosowaniu (jakże krótkowzrocznie!) odpowiedzialności zbiorowej nie zmienia jednak faktu, że także tutaj prawda była jeszcze bardziej ponura. Piętnując bowiem zdzieranie ze ścian portretów Tarasa Szewczenki, Dubois nie dodaje, że były one zazwyczaj deptane i niszczone (a gdyby tak Polakom deptano portrety Mickiewicza?). Zapewne też nie wie o innych

metodach stosowanych w trakcie pacyfikacji (przedstawi je po latach historyk Andrzej Leon Sowa). Gdy jednak w 1936 roku cytował Dubois artykuł z „Kuriera Porannego”, przytoczył z niego również takie słowa: przez wieś wołyńską „przechodzi falami dreszcz niepokoju, niezadowolenia czy wrzenia”. Czy nie stajemy tu u źródeł późniejszej rzezi wołyńskiej?

JEDNOLITOFRONTOWIEC

Wspomniałem o perswazyjnym języku. Gdybyż jednak tylko! Występuje tu w całej krasie frazeologia socjalistyczna: owe „masy ludowe”, „walczący proletariot”, „naukowy socjalizm”, „zgniłe społeczeństwo burżuazyjne”, „społeczeństwo bezklasowe” czy „nowy socjalistyczny ustrój”. Ta frazeologia miała wtedy walor agitacyjny, dziś trudno z nią obcować bez zmęczenia. „Obalenie obecnego ustroju – wobec faszystowskich metod obrońców kapitalizmu – pisał Dubois w marcu 1934 roku w »Robotniku« – inaczej skutecznie się nie da jak w drodze rewolucyjnej walki”.

Chwytny tu moment, w którym drogą radykalizującego się języka dochodzi do zbliżenia socjalisty z komunizmem. Prof. Friszke przypominia, że już w lutym 1933 roku, a więc miesiąc po dojściu do władzy Hitlera, Biuro Międzynarodówki Socjalistycznej opowiedziało się za współpracą z Kominternem. Jednak w Polsce do pierwszych rozmów socjalistów z komunistami doszło dopiero we wrześniu 1934. A to znaczy, że sygnał zbliżenia dał Dubois pół roku wcześniej, i chyba samodzielnie. W istocie bowiem, zwłaszcza jako późniejszy (w latach 1936-37) redaktor „Dziennika Popularnego”, zajmował on postawę „jednolitifrontową”. Choć przecież współpracę z komunistami ograniczał do kilku konkretnych obszarów i wyraźnie podkreślał własną tożsamość: socjalisty i demokraty. Z partią Kazimierza Pużaka i Tomasza Arciszewskiego znacznie więcej łączyło go, niż dzieliło, z tym że na jego „jednolitifrontowość” kierownictwo PPS patrzyło z niepokojem i niechęcią.

Odrębna w kilku sprawach od PPS – czy jest to jednak publicystyka niezależna? Nie, ona pozostaje partyjna – jeżeli nie organizacyjnie, to środowiskowo. Dubois uważa na przykład, że „między sanacją a endecją nie ma różnic”. Oczywiście, prawdą jest, że obóz sanacyjny zdradził swe lewicowe korzenie i pozegłował na prawo, że tzw. Ozon przyciągał niektóre frakcje endecji. Lecz mimo wszystko ów „brak różnicy” mógł być dostrzeżany głównie z punktu widzenia socjalisty. Tylko też ze zmitologizowanego w socjalizmie pojęcia „ludu” mogło płynąć przekonanie, że wyznawcami antysemityzmu są wyłącznie „warstwy pośrednie”, nigdy robotnicy i chłopci. A przecież nie było trudno dostrzec, że podstawy antysemickie obecne są we wszystkich warstwach społeczeństwa. Przemykanie oczu na fakty niewygodne jest jednak powszechne u wyznawcy każdej ideologii.

Czy Dubois był państwowcem? Mimo jednorazowych wykrzyków nigdy nie przygotowywał rewolucji, zwłaszcza rewolucji typu bolszewickiego. A jednak w okresie Centrolewu przekroczył barierę legalizmu: kolportował w koszarach wydawane na powielaczu pismo „Bagnet i Szabla”, wydawał nielegalny „Biuletyn Informacyjny”. Występuje przy tym u Dubois rażąca dysproporcja między przenikliwym, pozbawionym złudzeń, stosun-

kiem do III Rzeszy a całkowitym milczeniem o ZSRR. Skoro jednak stalinowskie pięciolatki były analizowane nawet przez wicepremiera Eugeniusza Kwiatkowskiego, skoro Stalową Wolę nawet Melchior Wańkowicz nazywał „polskim Magnitogorskiem”, a o „piecach Magnitogorska” pisał Władysław Broniewski – to czy możliwe, by podobnym fascynacjom nie uległ socjalistyczny Dubois? Nie wiemy: zgromadzone w książce artykuły to tylko wybór.

CZY PO WOJNIE BY SIĘ ODNALAŻŁ?

W tym przerwany życiu kryje się jednak jakaś tajemnica. W czasie niemieckiej okupacji nie przyjęto Dubois do – konspiracyjnej i kadrowej – organizacji Wolność-Równość-Niepodległość (WRN). On sam był nadal wierny PPS, ale kształtowało się wokół niego środowisko, które już po jego uwięzieniu skryształizuje się w nową partię: Polscy Socjaliści. A to ugrupowanie stworzy potem Robotniczą Partię Polskich Socjalistów, która stanie się trzonem tzw. Odrodzonej PPS, z czasem coraz silniej współpracującej z PPR. Czy Dubois by się odnalazł w tych kręgach? Jeden z jego najbliższych współpracowników, Ludwik Cohn, pójdzie później drogą od niego odrębną, a w roku 1976 stanie się współzałożycielem KOR.

Przed trzydziestu i dwudziestu laty dokonywano rewaloryzacji dorobku polskiej prawicy. Wobec nawarstwionych uprzedzeń, półprawd i przemilczeń było to działanie we wszech miar słuszne. Dziś, wobec dominującej w obiegu publicznym historiografii prawicowej, koniecznością staje się rewaloryzacja idei lewicowych.

Przemysław Prekiel wydał już trzy książki poświęcone działaczom socjalistycznym: Cohnowi, Dubois i Kazimierzowi Kelles-Krauzowi. Andrzej Friszke opublikował przed kilku laty monografię „Państwo czy rewolucja” – lekturę obowiązkową dla polskiego inteligenta. Wybór publicystyki Dubois przekonuje, jak ważne miejsce zajmuje w polskim dziedzictwie tradycja socjalistyczna – w tym akurat przypadku jednostronna, w całości jednak skomplikowana i wielobarwna. Te socjalistyczne świadectwa warto czytać, nawet gdy – mądrzejsi o dziesięciolecia – nie będziemy podzielać wszystkich dokonywanych wtedy wyborów. ●



O przebudzenie. Artykuły, reportaże, przemówienia,

Stanisław Dubois

Oprac. Przemysław Prekiel, wstęp Andrzej Friszke, Oficyna 21



• Stanisław Dubois podczas procesu brzeskiego w 1931 roku. Przez sanacyjny sąd został skazany na trzy lata, odsiedział 8 miesięcy

FOT. ZE ZBIORÓW NARODOWEGO ARCHIWUM CYFROWEGO

Tajemnica zabójstwa Bohdana Piaseckiego

BEZPIEKA KAŻDEGO

Wiesław Gudy-Wółkowiński znalazł się na liście podejrzanych, bo często zaczynał zdanie od „więc”.

Maciej Cnota

Dochodzi godzina 14. Czwórka 15-, 16-latków wybiega z budynku prywatnego męskiego liceum św. Augustyna w Warszawie. Za ogrodzeniem skręcają w lewo i idą w stronę ulicy Puławskiej. Do przejścia mają niecałe pół kilometra.

Jest mroźny wtorek, 22 stycznia 1957 roku. W okolicy kiosku z gazetami przy Naruszewicza do uczniów podchodzi dwóch mężczyzn. Pytają, który z nich to Bohdan. Pokazują mu jakieś zapisane kartki papieru i już razem, we trójkę, wsiadają do zaparkowanej taksówki. Pozostali chłopcy idą dalej.

Trzy godziny później ojciec Bohdana, Bolesław Piasecki, wpływowo szef stowarzyszenia PAX, odbiera list: „Szanowny panie! Syn pański został przez nas uwięziony. Uwolnienie syna nastąpi tylko w przypadku złożenia przez pana okupu w wysokości czterech tysięcy dolarów USA w banknotach nie mniejszych niż 20 oraz stu tysięcy złotych polskich (...). W przypadku nie złożenia powyższej sumy w przeciągu 48 godzin od momentu uprowadzenia syna zostanie on zamordowany” (pisownia oryginalna).

W kolejnych dniach porywacze jeszcze parokrotnie kontaktowali się z Piaseckim lub jego znajomymi, ale ostatecznie nie podejmują okupu. Po kilku dniach znikają bez śladu.

Niemal dwa lata później, pod koniec 1958 roku, hydraulicy w czasie rutynowego przeglądu instalacji w kamienicy na Woli natknęli się na ukryte w piwnicy ciało Bohdana. W jego piersi wciąż tkwił nóż, który – jak wykazała sekcja zwłok – wbito mu niedługo po uprowadzeniu.

PO OMACKU

Przez lata śledczy poświęcili mnóstwo energii, by stworzyć wrażenie zbliżania się do rozwikłania zagadki morderstwa nastolatka. W rzeczywistości szukali po omacku. Świadczy o tym choćby to, że listy porywaczy porównano z prawie 250 tysiącami próbkami pisma ręcznego. W dokumentach śledztwa przewija się ponad 150 tysięcy nazwisk tych, którzy mogli mieć związek z porwaniem i zabójstwem. Wśród nich byli współpracownicy SB, gospodynie domowe, artyści plastycy, księża, uliczne rzeźmieszkcy, a nawet słynny sprawozdawca

sportowy Bohdan Tuszyński, którego głos miałby być podobny do głosów porywaczy.

Podejrzania padły też na Wiesława Ignacego Gudy-Wółkowińskiego, choć trudno uznać, by wyróżniał się z tłumu Polaków. W jego życiorysie nie brak wprawdzie bohaterskich czynów, które jednak przeplatały się z haniebnymi i tajemniczymi.

Bezpieka wiedziała, że swego czasu Wiesław udzielał korepetycji uczniom liceum, z którego Bohdan wyszedł z kolegami chwilę przed porwaniem. Był w stałym kontakcie z nauczycielami, pytał o postępy swoich podopiecznych. Któregoś razu Guda-Wółkowiński zabrał ich nawet na zwiedzanie ambasady Stanów Zjednoczonych. Dla członków Specjalnej Grupy Śledczej prowadzących sprawę o kryptonimie „Zagubiony” – przy której momentami pracowało kilkuset milicjantów i pracowników MSW – to poszlaka wskazująca na udział w spisku Amerykanów. Stąd już tylko kroczek do udowodnienia, że za porwaniem i morderstwem stoją Żydzi z zaprzyjaźnionego ze Stanami Izraela, pałający chęcią rewanżu za antysemicką działalność Piaseckiego seniora.

Hipotezę o żydowskim spisku głosił sam Bolesław Piasecki. Wskazywał, że Ignacy Ekerling – taksówkarz wiozący Bohdana z ulicy Naruszewicza – kilkanaście miesięcy później chciał wylecieć z Warszawy do Tel Awiwu, a wniosek o paszport złożył niedługo przed porwaniem. W 1966 roku dziennik „Ma'ariw” podał, że zabójcy chłopaka żyją w Izraelu. Milicja chciała sprawdzać ten wątek, ale wybuch wojny sześciodniowej spowodował, że PRL zerwała wszelkie stosunki z Izraelem i śledztwo stało się niemożliwe.

„PROSZĘ SŁUCHAĆ, CO JA BĘDĘ MÓWIŁ”

Milicjanci wzięli Wiesława pod lupę, przyglądali się też jego rodzicom.

„Ojciec wymienionego [Felicjan] z zawodu lekarz ginekolog w latach poprzednich był konsultantem do spraw rozwozowych kurii biskupiej w Poznaniu” – napisał ppłk Władysław Nowicki, naczelnik Wydziału III Komendy Wojewódzkiej MO w Poznaniu, w czterostronicowym piśmie przesłanym do szefa grupy operacyjnej przy Biurze Śledczym MSW. Dokument z 1963 roku ma gryf „Tajne specjalnego znaczenia”. Innym razem zauważył: „Nienaganny tryb życia Felicjana Gudy-Wółkowińskiego oraz jego wysoka pozycja społeczna, w 1939 roku naczelny lekarz armii »Poznań«, znany po wojnie w Poznaniu lekarz”.



• **Od lewej: Jan Dobraczyński, Bolesław Piasecki, jego syn Bohdan oraz Zygmunt Wójcik, na wycieczce w Tatrach w latach 50. XX wieku**

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE / EAST NEWS

Agencji podsłuchiwali rozmowy telefoniczne prowadzone z poznańskiego numeru 9550. W mieszkaniu przy ulicy Lampego 6 słuchawkę zawsze podnosi żona Felicjana i matka Wiesława.

„Proszę teraz słuchać, co ja będę mówił” – ten rzekomo rozkazujący ton zwracania się podejrzanego do matki śledczy uznali za dowód na jakieś niejasne intencje.

Przecież może chodzić o coś prozaicznego. Syn ma do przekazania ważną informację, a ograniczają go czas i pieniądze. W tamtym czasie rozmowy telefoniczne były dobrem luksusowym.

Do tego Wiesław często zaczyna zdanie od „więc”. „Taki początek zdania wystąpił również u rozmówcy Piaseckiego” – zauważa ppłk Władysław Nowicki.

Na niekorzyść mężczyzny ma świadczyć również to, że listy do rodziców wysyłał nie na ich adres zamieszkania czy do mieszkania gospośi, która mieszkała piętro wyżej, ale na poste restante – do okolicznych placówek pocztowych. Śledczy notują, że to droga, którą „Bolesław Piasecki powiadomiony został oficjalnie o uprowadzeniu syna”. Oficjalnie?! Dłuższy czas szukam w ówczesnym prawodawstwie opisu procedury „oficjalnego” informowania o porwaniu. Niestety, bez skutku.

Podobno w rozmowach z matką i listach do niej Wiesław określał się mianem „Sławka”. Wszystko jest niejasne i tajemnicze. W materiałach SB próżno szukać odpowiedzi na oczywiste pytania. Może wcale nie o to chodzi? Przecież skoro nie ma argumentów przeciw młodemu Gudzie-Wółkowińskiemu, można go wciągnąć na listę podejrzanych o porwanie i zabójstwo.

POWSTANIEC Z PŁAMĄ W ŻYCIORYSIE

Wiesław Ignacy urodził się 1 kwietnia 1925 roku w rodzinie pochodzącego z Podola lekarza wojskowego, wspomnianego Felicjana. W czasie niemieckiej okupacji senior rodu był członkiem Komitetu Porozumiewawczego Lekarzy Demokratów i Socjalistów. Aktywnie pomagał Żydom i członkom podziemia, zarówno z Gwardii, Armii Ludowej, jak i Armii Krajowej. W randze pułkownika był też wiceszefem Szpitala Ujazdowskiego, gdzie ukrywano wielu „nielegalów”. W czasie powstania warszawskiego ratował rannych na Okęciu. Asystował mu trzech synów. Najmłodszy i najstarszy – 16- i 21-letni przyplacili to życiem. Przeżył tylko Wiesław.

SŁOWA SIĘ CHWYTA



W pierwszych dwóch powojennych dekadach Wiesław nie mógł znaleźć sobie miejsca. Raz mieszkał w Gdyni, za chwilę przeniósł się do Lwówka Śląskiego. Później do Łodzi i Kartuz. Te też szybko opuścił i przez jakiś czas żył w Warszawie. Regularnie był w Poznaniu. Zatrudniał się w teatrze, stoczni Marynarki Wojennej, w Polskim Czerwonym Krzyżu czy w sierocińcu. Działal też w harcerstwie.

Nie miał trzydziestki, kiedy sąd skazał go za nierzad z osobą poniżej 15. roku życia. Trafił do Centralnego Więzienia Warszawa II, tak zwanej Gęsiówki.

Za kratami zaprzyjaźnił się z byłymi oficerami Armii Andersa i działaczami sanacji. Co prawda podpisał deklarację współpracy z SB – jak wielu – ale śledczy nic od niego nie wyciągnęli. Wyszedł po trzech latach, choć za wykorzystanie nieletniej groziła trzykrotnie wyższa kara. Mało tego. Mimo charakteru przestępstwa od razu po wyjściu na wolność dostał pracę w... Państwowych Zakładach Wychowawczych, instytucji prowadzącej sieć poprawczaków. Jako wychowawca i instruktor miał ciągły kontakt z młodzieżą. Dlaczego? Przecież władza musiała wiedzieć o wyroku.

PODEJRZANY JAK WIDMO

Naczelnik Wydziału IV Biura Śledczego MSW notuje: „Wysoki, twarz pociągła, włosy blond, czesane na bok, oczy szare, tuszy proporcjonalnej do wzrostu, nosi czarny wąsik”. Zdaniem bezpieki Wiesław jest „inteligentny, spostrzegawczy, ma miano spryciarza oraz człowieka z tupetem. Lubi rozkazywać i nie znosi sprzeciwu (...). Jest również bardzo dobrym konspiratorem”.

Nie pierwszy raz w aktach sporządzonych przez SB spotykam się z jednoznaczными twierdzeniami, których nie poparto żadnymi dowodami. Jakby agent chciał popisać się wykonaniem koronkowego rozpoznania, wiedząc jednocześnie, że nikt nie będzie weryfikował tego, co i jak ustalił. A może wszystko zmyślił?

Ten rzekomo świetny wywiad nijak ma się do tego, co dla SB stało się problemem nie do przeskoczenia. Dla nich Wiesław jest jak widmo. Co rusz pojawiał się w jakimś miejscu, w ogóle tego nie ukrywając, ale bezpieka nie była w stanie do niego dotrzeć. Taka sytuacja trwała latami.

W 1958 roku, siedem lat po wyjściu z więzienia, 33-letnim wówczas Wiesławem znów interesują się śledczy. Wtedy jeszcze nie chodzi o porwanie Bohdana. Podejrzewają go o defraudację 17,6 tysięcy złotych. To nieco więcej niż równowartość przeciętnego rocznego wynagrodzenia w Polsce. Pieniądze miał zabrać z kas domu kultury w Lwówku Śląskim, którego był kierownikiem, oraz domu dziecka w Łodzi. Po pięciu latach prokuratura umorzyła dochodzenie z powodu „nieustalenia miejsca pobytu”.

W tamtym czasie Guda-Wołkowiński regularnie był u rodziców w Poznaniu. Dzwonił do nich, pisał listy. Był też oficjalnie zatrudniony. Dla SB to za mało, by człowieka odnaleźć, zatrzymać i przesłuchać w sprawie podejrzeń. Ta aura tajemnicy okazuje się bardzo na rękę. Skoro delikwent się „ukrywa”, pewnie ma coś na sumieniu.

„MOCNE” DOWODY

W marcu 1964 roku milicjanci ze specgrupy śledczej dochodzą do wniosku, że mają mocne dowody przeciwko Wiesławowi.

„Zatrzymaliśmy poszukiwanego Wiesława Guda-Wołkowińskiego podejrzanego do sprawy krypt. »Zagubiony« i uzyskaliśmy sankcję (...) na areszt do dnia 30 kwietnia 1964 r.” – czytamy w czterostronicowym raporcie opisującym rzekomy związek mężczyzny z porwaniem i morderstwem. Nie ma w nim choćby jednej silnej przesłanki wskazującej na udział Wiesława w tej sprawie. To tylko ciąg luźnych skojarzeń typu: wśród 380 zapisanych w notesie kontaktów do osób i instytucji, pod pozycją 266 znajdujemy adres poczty nr 1 w Warszawie przy Świętokrzyskiej 31/33. Przypomnij-

my: nadano tam „oficjalną” informację o uprowadzeniu Piaseckiego.

To największy urząd pocztowy w mieście, w samym centrum, każdego dnia korzystają z niego tysiące osób. Być może porywacz wybrał go właśnie z tego względu. By łatwiej ukryć się w anonimowym tłumie.

Przez lata do akt sprawy nie trafiło nic, co uprawdopodobniło udział Wiesława w najgłośniejszej sprawie kryminalnej PRL. Do dziś, po 68 latach, nie wiadomo nawet, jaki był motyw porywaczy. Najpewniej chodziło o ojca 16-latk.

Być może znaczenie miał jego majątek. W tamtym czasie prowadzone przez Bolesława stowarzyszenie PAX miało aż 120 mln zł obrotu rocznie, taka kwota pada w dziennikach Mieczysława Rakowskiego. Dla porównania: według ZUS średnie roczne zarobki w Polsce wynosiły wtedy 15,3 tys. zł. Prowadzili wydawnictwo i szkołę – wspomniane prywatne liceum dla chłopców w Warszawie. Mieli również monopol na sprzedaż dewocjonaliów w całym kraju.

Nie można wykluczyć, że porwanie i zabójstwo były zemstą za antysemicką działalność przed wojną lub w jej trakcie. Piasecki w 1934 roku współtworzył faszystowski Obóz Narodowo-Radykalny, a później stanął na czele antykomunistycznego i skrajnie antysemickiego Ruchu Narodowo-Radykalnego „Falan-ga”, którego członkowie zabijali uczestników pokojowych manifestacji. W czasie II wojny światowej zorganizował kilka podziemnych struktur, które za jednako wrogich Polsce uważały Niemców i Żydów.

Swoich zwolenników miała też teoria spiskowa, że za zbrodnią stał sam Piasecki senior. Zniknięcie syna miało wzbudzić ogólnospołeczne współczucie wobec polityka i w ten sposób wzmocnić jego pozycję w obozie władzy.

WAŻNY INTERES PAŃSTWA

Wątek rzekomego udziału Wiesława w sprawie Piaseckiego umorzono dopiero w 1972 roku. Aż osiem lat po jego aresztowaniu.

Jedyny zarzut – udziału w porwaniu – usłyszał taksówkarz Ekerling. Ostatecznie i ten wątek nie doczekał się aktu oskarżenia. Taka miała być decyzja Zenona Kliszki i Wiesława Gomułki podjęta ponoć przez wzgląd na „ważny interes państwa”. Skutek był taki, że nikogo nie postawiono przed sądem. Widać najtęjsze umysły MSW ze specgrupy „Zagubiony” na nikogo nie zebrały choćby najsłabszych dowodów. Na oficjalne zamknięcie postępowania zdecydowano się dopiero na początku lat osiemdziesiątych.

– To najdłuższe, najbardziej wielowątkowe i zagadkowe śledztwo w PRL – charakteryzował prof. Szymon Rudnicki, historyk, znawca dziejów ONR-u i Piaseckiego, autor książek na ten temat.

Wiesław Guda-Wołkowiński zmarł w sierpniu 1993 roku. Miał 68 lat. ●

Korzystałem z: maszynopisu niewydanej jeszcze książki „Ból. Honor. Odwaga” opowiadającej historię Komitetu Porozumiewawczego Lekarzy Demokratów i Socjalistów mojego autorstwa; akt sprawy o sygn. IPN BU 003189/275/J z Archiwum IPN; teczek Felicjana Gudy-Wołkowińskiego ze zbiorów Archiwum Głównej Biblioteki Lekarskiej oraz S. Rudnicki „Zagubiony – Bohdan Piasecki. Najdłuższe śledztwo PRL”; A. Dudek, G. Pytel „Bolesław Piasecki. Próba biografii politycznej”; Z. Przetakiewicz „Od ONR-u do PAX-u (wspomnienia)”; reportażu „Kryptonim »ZAGUBIONY«: uprowadzenie Bohdana Piaseckiego w materiałach bezpieki” z 2021 r., prod. IPN.

W czterostronicowym raporcie opisującym rzekomy związek Wiesława z porwaniem i morderstwem, nie ma choćby jednej silnej przesłanki wskazującej na jego udział w tej sprawie. To tylko ciąg luźnych skojarzeń

weekendówka
170

KRZYŻÓWKA Z TAKĄ BRODĄ

Jakoś na początku lat 80. do szatni hokejowej drużyny New York Islanders wparował niejaki Butch Goring, jedna z wielkich legend klubu (jego numer, 91, jest dziś przez „Wyspiarzy” zastrzeżony) i oznajmił, że oto nie będzie golił brody na czas trwania play-offów. Faza play-off, czyli pucharowa rywalizacja systemem przegrywający – odpada, toczona z reguły do kilku zwycięstw, to najważniejsza część sezonu ligi NHL, a jej triumfator podnosi Puchar Stanleya, trofeum-marzenie każdego hokeisty, dość powszechnie uznawane za najtrudniejsze do wywalczenia w sportowym świecie.

Za pomysłem Goringa poszli inni gracze Islanders, bo broda miała być symbolem jednoczącym graczy a także przypominającym o play-offach i ważnej misji do wypełnienia: w końcu jak tylko człowiek spojrzał w lustro, to ją widział, i już wiedział, że trzeba będzie wyjechać na łód i zrobić swoje.

Pomysł okazał się strzałem w dziesiątkę, bo Islanders zdobywali Puchar Stanleya w czterech kolejnych latach: 1980, 1981, 1982, 1983. W 1984 już się nie udało, ale na Wayne’a Gretzky’ego i jego Edmonton Oilers potrzeba było czegoś więcej niż włosy na twarzy...

Ale wracając do brody... historia z brodą Goringa mogła tak wyglądać, acz wcale nie musiała. O tym, że to od Butcha wzięła się tradycja „play-offowej brody” przekonywał jego ówczesny kolega, Mike Bossy (hokejowa legenda jeszcze większa niż Goring), ale równie dobrze pomysłodawcami mogli być Szwedzi grający w NYI, Stefan Persson i Anders Kallur, którzy zwyczaj zapuszczania zarostu na czas sportowej imprezy mogli podpatrzeć u swego rodaka, Bjorna Borga. Sławny tenista miał zwyczaj nie golić się podczas turnieju na kortach Wimbledonu.

Generalnie dla Skandynawów broda to coś specjalnego. Podobnie w szwedzkiej wiosce Dönsborg jest tradycja wypędzania mężczyzn bez brody z wioski na 24 godziny - nie wiada, czy tyle im ewentualnie wystarczy, by nadrobić zaległości, biorąc pod uwagę, że broda rośnie z prędkością ok. 0,5 mm na dzień.

Za to na pewno ludy północy z dawien dawna brodę lubili i szanowali. Wikingowie nosili brody, dbali też o nie regularnie je czesząc i przystyżgając. Broda Norwega Hansa Langsetha (w wieku 21 lat wyemigrował do USA) w chwili jego śmierci w 1927 roku mierzyła 5 m 33 cm. Niektórzy badacze spekulują też, że to Wikingowie właśnie, już w 800 r. n.e., mogli celebrowali święto brody.

Obecnie Światowy Dzień Brody – będący wszakże świętem nieoficjalnym, obchodzony jest w pierwszą sobotę września. Czyli dziś. Z tej okazji zapraszamy na „Weekendówkę” fryzjerską, gdzie hasel związanych z zarostem i włosami znajdziecie, nomen omen, w brod.

Andrzej Kulasek, andrzej.kulasek@agora.pl

**KRZYŻÓWKA
FRYZJERSKA**
**Litery w kolorowych polach,
czytane kolejno rzędami,
utworzą rozwiązanie.****Poziomo:**

- 5)** przyrząd do usuwania zbędnego owłosienia
8) Adam, autor wiersza „Golono, strzyżono”
10) noszone przez ortodoksyjnych Żydów
11) włosów – po obcięciu (u jednych wolne, u innych szybsze)
12) stracił ją Samson, gdy stracił włosy
13) nastrojowy wiersz, taki jak „Włosy” Edwarda Stachury
14) długowłosa przedstawiciel pokolenia dzieci kwiatów
16) czepia się psiego ogona
17) wity z kwiatów, łodygi i liści, ozdobi dziewczęcą głowę

- 18)** brodacze monachijskie
19) maszynka w salonie fryzjerskim
21) ... I Brodaty, książę z dynastii Piastów, syn Bolesława I Wysokiego
23) ... brodata, jaszczurka występująca w Australii
24) „... fryzjera damskiego”, powieść Eduarda Mendosy
26) wiersz Franciszka Dionizego Książnina
27) fryzura z krzaczasto nastroszonych i mocno skręconych włosów
28) włosów – szamponem
30) „Człowiek z ...”, tytuł płyty Jozszi Brody (wpisujemy w mianowniku)
33) długowłosa istota ze świata Tolkiena (np. Legolas, Elrond)
35) specjalista od przystyżgania i pielęgnacji zarostu
36) bujna czupryna
37) u dawnych Słowian przechodził obrzęd postrzyżyn

- 38)** nadawanie włosom konkretnego wyglądu, kształtu

Pionowo:

- 1)** kosmetyk do pielęgnacji brody
2) przydomek cesarza Nerona
3) ... antyczny, z aktorami występującymi w perukach (onkosach)
4) potocznie o niezadbanej fryzurze, nieuczesanych włosach (dzisiaj mam ... na głowie)
5) ... włosy na czworo
6) urządzenia ułatwiające modelowanie brody, wąsów
7) włosów – grzebieniem lub szczotką
9) żartobliwie o wymyślnym kobiecym uczesaniu
10) wyrób sztucznych włosów, tupecików
15) z białą brodą, w czerwonej szacie, roznosi świąteczne prezenty

**Rozwiązanie „Weekendówki”
nr 169 z 30.08:**

Poziomo: 3) Manama 7) Mława
8) Małomice 11) Marrakesz
12) Międzybóże 13) Milo 14) Miśnia
15) Maszewo 18) Młociny 19)
Malmö 21) Malibu 24) Mińsk
Mazowiecki 27) Mirmilto
29) Marienbad 30) Mrozy
31) Mediolan 32) Metz 33)
Millhaven.

Pionowo: 1) Miami 2) Madryt
3) Managua 4) Monza 5)
Modlin 6) Mikołajki 7) Memfis
9) Melsztyn 10) Macondo
12) Mumbai 13) Monako 16)
Moskwa 17) Marsylia 18)
Muszyna 20) Małogoszcz
22) Milwaukee 23) Miki 25)
Mannheim 26) Mohylew 27)
Malaga 28) Martin.

**HASŁO:
MAŁOMIASTECZKOWY**

- 18)** żartobliwie o bokobrodach
20) muzyka kojarząca się z dreadami
22) zakład, w którym pracowali cyrulicy
25) lalka, którą Golarz Filip zostawił w Akademii Pana Kleksa
28) może mieć na głowie tonsurę, czyli wygolone kółko
29) czesać się z ..., czyli nosić włosy zaczesane do tyłu (wpisujemy w mianowniku)
31) stan ciągłego napięcia nerwowego (można osiwieć!)
32) koza – spiczasta, nieco zakręcona w górę
33) imię Wąsacza, polityka, ministra skarbu w rządzie Jerzego Buzka
34) ma wszystkie włosy z głowy
35) dawniej nazywane faworytami

Leszek Rydz

**Literówka • Quizy
Sudoku • Krzyżówki**

Szukaj  w  APLIKACJI
WYBORCZEJ



Zeskanuj QR kod
i pobierz aplikację



Kraj/34392298